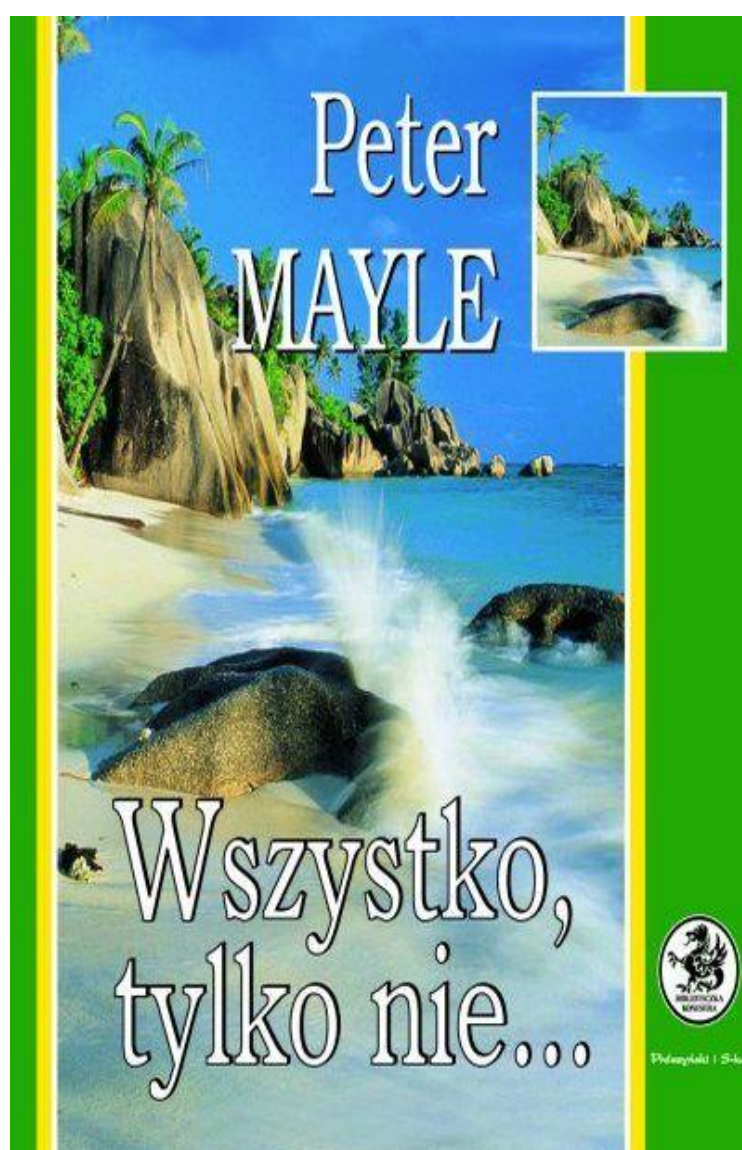




**Peter Mayle**

**Wszystko, tylko nie...**

Przełożyła Małgorzata Dobrowolska



Prószyński i S-ka

TLR

*Jeremy'emu poświęcam*

## Od autora

Chciałbym podziękować Elizabeth O'Hara Boyce i Richardowi La Plante'owi za życzliwą pomoc w uzyskaniu informacji na temat hodowli trufli i karate. Wszelkie nieścisłości należy przypisywać jedynie mnie, nie im.

Utwór jest fikcją literacką. Osoby i ich nazwiska są wymyślone i nie mają żadnego odniesienia do rzeczywistości, może z wyjątkiem jednego bohatera - lorda Glebe'a.

# 1

Coś się w końcu nawinie, powtarzał sobie Bennett. W dobre dni - dni, kiedy słońce świeciło, a poczta nie przynosiła rachunków, łatwiej przychodziło mu wierzyć, że nagłe pogorszenie jego sytuacji materialnej to tylko przelotna chmurka na firmamencie życia, czkawka losu, nie więcej niż chwilowa niedogodność. Mimo wszystko nie mógł ignorować faktów: jego kieszenie były puste, jego czek nie cieszyły się zaufaniem, a finansowe widoki na przyszłość - jak oświadczył dyrektor jego banku, delectując się złą nowiną z ponurą satysfakcją, typową dla wszystkich dyrektorów banków - były mgliste i niezadowalające.

Ale Bennett cierpiał na nieuleczalny optymizm i nie miał ochoty opuszczać Francji. Tak więc, uzbrojony w niewiele więcej niż dobre oko do nieruchomości i nagłą potrzebę pozyskania zleceń, przyłączył się do gromady agentów wagabundów, czasem nie lepiej wykwalifikowanych niż on sam, którym życie upływało na przeczesywaniu wiejskich terenów Prowansji. Tak jak i oni, spędzał całe dni, poszukując ruin z charakterem, stodół z potencjałem, obiecujących chlewów, owczarni obdarzonych osobowością, nieużywanych gołębników i wszelkiego rodzaju wążących się ruder, które, przy ogromnej dozie wyobraźni, i jeszcze większej - pieniędzy, mogłyby zostać przeobrażone w godną pożądaną siedzibę.

Nie był to lekki chleb. Konkurencja była ostra; prawdę mówiąc, zdarzały się dni, kiedy wydawało mu się, że pośrednicy nieruchomości pienią się na tym kamienistym gruncie bujniej niż klienci. Rynek został rozmiękczony, a winowajcą był francuski frank - zbyt mocny, zwłaszcza dla Amerykanów, Brytyjczyków, Duńczyków i Szwedów. Szwajcarzy mieli pieniądze, ale czekali - roztropni i cierpliwi jak zawsze - aż kurs franka zacznie spadać. Klienci rekrutowali się głównie spośród nadzianych markami Niemców albo paryżan pragnących zainwestować gotówkę, którą odkryli niespodziewanie pod babcinym materacem. Ale i oni trafiali się z rzadka i profit był nietęgi.

Wówczas to, ubiegłego lata, dzięki rzuconej pół żartem uwadze nie najwyższego lotu, musiał to przyznać, otworzyła się przed nim perspektywa ubocznej, acz potencjalnie obiecującej działalności, dzięki której miał szanse poszerzyć swoje kwalifikacje o funkcję dostawcy nieruchomości dla angielskiej arystokracji.

Był gościem na jednym z przyjęć wydawanych przez członków społeczności sezonowych uchodźców, którzy każdego lata ściągają do Prowansji po swoją roczną rację słońca i czosnku. Jako człowiek miejscowy, dysponujący takimi atutami towarzyskimi, jak dobra angielszczyzna, przyzwoita prezencja oraz wolny stan, innymi słowy, jako zawsze mile widziany kawaler do wzięcia, Bennett nigdy nie narzekał na brak zaproszeń. Mężnie znosił plotkarskie towarzystwo w zamian za pełny żołądek.

Nuda była wkalkulowana w ryzyko zawodowe, psikus stanowił na nią antidotum, tak jak w ów świetlisty, sierpniowy wieczór, kiedy ciepło dnia wciąż jeszcze biło od nagranych słońcem kamiennych płyt tarasu, z którego rozciągał się widok na całą dolinę, aż po średniowieczną linię dachów Bonnieux, odcinających się na tle nieba. Lekko wstawiony i znieczulony przez ciągnące się w nieskończoność spekulacje współbiesiadników na temat przyszłości brytyjskiej polityki oraz perspektyw zatrudnienia, rysujących się przed młodszymi członkami rodziny królewskiej, Bennett postanowił się rozerwać, wymyślając jakiś świeży koszmar dla zamężnych posiadaczy letnich domów. To będzie dla nich pewna odmiana, myślał, nowy temat do rozmów, kiedy wrócą do domu, egzotyczny dodatek do zwykłych narzekań na włamywaczy, zamrożone rury, wandalów dewastujących baseny i personel o lepkich palcach.

Sensacyjna wiadomość, wypowiedziana z przymrużeniem oka pomiędzy dwoma kęsami wędzonego łososa, wymierzona była w samo serce wiejskiego osiadłego życia: w instalację wodno-kanalizacyjną. Poinformował swoich słuchaczy o nowej, wrażej odmianie żuków gnojowych, o których rzekomo słyszał, a które miały atakować każdy nieużywany przez jakiś czas zbiornik asenizacyjny, powodując niemiłe dla powonienia skutki w sieci kanalizacyjnej. Naturalnie, władze usiłowały całą sprawę wyciszyć, twierdził, jako że żuki gnojowe i turyści to niezbyt szczęśliwe połączenie. Ale żuki trwały w pogotowiu, czekając stosownej chwili, kiedy domy opustoszeją i będą mogły wyruszyć na podbój rur.

Adresaci tej rewelacji - dwie siostry z Oksfordu oraz ich mężowie o jednakowo różowych policzkach - słuchali go z rosnącym przerażeniem. Ku swojemu zaskoczeniu, Bennett zdał sobie sprawę, że potraktowano go z całą powagą.

- Ależ to absolutnie upiorne - oświadczyła jedna z sióstr ze swoim nienaganym, południowoangielskim akcentem. - Co człowiek robi w takiej sytuacji? Rozumie pan, nasz dom stoi w zimie pusty całymi miesiącami.

- Cóż, jedyna skuteczna metoda to regularne splukiwanie - odparł Bennett. - Podtopić małe gnojki, ot co. Nie umieją nurkować, niestety. Czy ktoś ma ochotę na ostatnią krewetkę? Szkoda, żeby się zmarnowała. - Bennett uśmiechnął się, przeprosił i ruszył w przeciwny koniec tarasu, w stronę ładnej dziewczyny, która, jego zdaniem, pilnie potrzebowała wsparcia, osaczona przez miejscowego dekoratora wnętrz i osławionego nudziarza w jednej osobie. Podchodząc bliżej, usłyszał znajomy refren na temat czaru, nieprzemijającego czaru spatynowanych obić w „hinduskie” wzory i pośpieszył w sukurs z jakimś lżejszym tematem.

Tymczasem siostry z Oksfordu szerzyły wśród gości nowinę o inwazji żuków gnojowych, która, nim wieczór dobiegł końca, zdążyła tym sposobem osiągnąć rozmiary regularnej epidemii, zagrażającej instalacjom sanitarnym wszystkich pozostających bez opieki domów od St-Remy po Aix. W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa zaniepokojeni właściciele domów letniskowych zawiązali błyskawiczną koalicję, zasadzając się na nieświadomego niczego Bennetta i zastępując mu drogę, kiedy właśnie miał wychodzić.

- Te żuki... - zagaił rzecznik grupy, były minister, odpoczywający przed kolejnymi wyborami - ...wygląda na to, że to dosyć paskudna sprawa.

Zarumienione od słońca twarze, na których malował się w tej chwili wyraz uroczystej powagi, skinęły potakująco.

- Zastanawialiśmy się, czy byłoby możliwe, żeby miał pan oko na te sprawy, kiedy my wyjedziemy. Był, że tak powiem, naszym człowiekiem tu, na miejscu. - Tu zniżył głos, jak to czynią Anglicy, kiedy są zmuszeni poruszyć przyziemny temat. - Oczywiście, wynagrodzilibyśmy to panu odpowiednio. Normalne komercyjne warunki. Nie ośmielilibyśmy się panu tego proponować na innej zasadzie.

Bennett spojrzał na nich (zamożnych panów w średnim wieku, niewątpliwie posiadających równie zamożnych przyjaciół w średnim wieku) i podjął spontaniczną decyzję.

- Oczywiście - powiedział. - Z przyjemnością wyświadczę państwu tę drobną przysługę. Ale nie chcę słyszeć o pieniądzach... - Zamachał ręką, opędzając się od wyrazów wdzięczności. Przysługi mają to do siebie, że często owocują nowymi kontaktami, a te z kolei transakcjami, jak to nieraz słyszał od ludzi z branży. Większość z nich wykonywała dla swoich klientów różne drobne prace pod ich nieobecność: od zaopatrywania lodówki po zwolnienie trunkowego ogrodnika. Ale żaden z



nich - tego był pewien - nie został obdarzony tym wyrazem najwyższego zaufania, z jakim wiązało się stanowisko oficjalnego operatora spłuczki, strażnika zbiornika asenizacyjnego, inspektora sanitarnego. Podczas cichych zimowych miesięcy, które miały wkrótce nadejść, zabawnie będzie potraktować to zadanie z całą powagą.

Bennett nacisnął porcelanową dźwignię, wsłuchując się z aprobatą w energiczny szum wody, po czym odfajkował kolejne nazwisko na swojej liście: Carlson, musztardowy baron z Nottingham, który miał się podobno szczycić, że jego majątek powstał z tego, co ludzie zostawiają na swoich talerzach. Człowiek bogaty i nieobawiający się tego okazać, szczególnie jeśli chodzi o wystrój łazienki, gdzie jego gust wyraźnie grawitował w stronę przepychu. Bennett zszedł po stopniach z podwyższenia, na którym był umieszczony tron, przeciął wykładaną mozaiką posadzkę i umył ręce nad umywalką wpuszczoną w blok polerowanego granitu. Spojrzał przez okno na to, co Carlson nazwał z udaną skromnością swoim małym ogródkiem: kilka akrów starannie utrzymanych tarasów, gęsto obsadzonych dojrzałymi drzewami oliwkowymi. Importowanymi z Włoch, jak mu powiedział gospodarz. Żadne z nich nie miało mniej niż dwieście lat. Bennett próbował kiedyś oszacować ich koszt i doszedł do kwoty, za którą można by nabyć niewielki dom.

Zszedł na dół, mijając szare, nieforemne bryły mebli w pokrowcach chroniących przed kurzem, i włączył alarm, zanim wyszedł na zewnątrz. Stojąc na starannie zagrabionym, oczyszczonym z chwastów podjeździe, wciągnął głęboko w płuca rześkie poranne powietrze i rozejrzał się po okolicy. Wszystko wokół zapowiadało wiosnę: parujące gwałtownie mgły w leżącej u jego stóp dolinie i kwiaty migdałowca, lśniące bielą na tle czystego, błękitnego nieba. Jak mógłby żyć gdzie indziej? Jak mógł w ogóle rozważać taką możliwość? Pamiętał uwagę jednego ze swoich przyjaciół, wtedy, przed laty, kiedy wyjeżdżał do Francji. „Cudowny kraj, chłopie. Cóż, ludzie, niestety, zupełnie niemożliwi. Wrócisz tu, zobaczysz”. Tymczasem Bennett polubił Francuzów i został.

Ale jak długo mogło to jeszcze potrwać? Kontakty i transakcje, na które liczył jako na owoc swoich darmowych usług, nie chciały się zmaterializować. Właściciele domów byli mu wdzięczni. Przesyłali mu kartki na Boże Narodzenie, fotografie swoich dzieci na kucykach, czasem pudding z Fortnum & Mason<sup>1</sup>, czasem butelkę porto. Ale jak dotąd, żadnych klientów. Wkrótce nadejdzie Wielkanoc, pokrowce

---

<sup>1</sup> \*Ekskluzywny sklep spożywczy w Londynie, zaopatrujący m.in. rodzinę królewską (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

opadną z wykwintnych mebli i właściciele powrócą, aby wziąć w swoje ręce to, w czym Bennett tak sumiennie ich wyręczał przez całą zimę. Cóż, warto było w każdym razie spróbować. Może coś z tego wyniknie, kiedy ruszy sezon.

Ale nie w najbliższym czasie. W drodze powrotnej do swojego małego domku w St-Martin-le-Vieux, Bennett rozważał scenariusze działania, jakie mu pozostały. Perspektywa powrotu do produkcji reklam telewizyjnych, którymi się zajmował przez dziesięć lat w Londynie i w Paryżu, nie była nęcąca. Uciekł od tego właśnie w chwili, gdy branżę przejmowali nieogoleni młodzi ludzie z kolczykami w uszach, złudzeniami na temat własnej kreatywności i ową nieodzowną wizytówką artysty - włosami ściągniętymi w kucyk. Nie miał już cierpliwości spełniać ich zachcianek. Rozpuściły go lata współpracy z autentycznie utalentowanymi reżyserami, którzy teraz awansowali do Hollywood. Nowa rasa źle wychowanych arogantów pokrywała brak pomysłów nadmiarem efektów specjalnych, żyjąc nadzieją, że któregoś dnia zadzwoni telefon z propozycją nakręcenia rockowego wideoklipu. Nie, nie byłby w stanie do tego wrócić.

Mógłby spróbować zebrać do kupy pieniądze, które mu jeszcze pozostały, i wyruszyć na poszukiwanie skurczybyka, który ukradł jego łódź, ale Karaiby to duży obszar, a zarówno łódź, jak i Eddie Brynford-Smith mogli się teraz nazywać inaczej. Pamiętał nastrój euforii tamtego szampańskiego wieczoru w „Błękitnym Barze” w Cannes, kiedy ochrzcili elegancki, czterdziestopięciostopowy jacht „Pływającym Funtem” i snuli plany na przyszłość. Bennett wyłożył pieniądze - wszystko, co kiedykolwiek zarobił na produkcji reklam - a Brynford-Smith miał się zająć czarterem. Wyruszył, biorąc kurs na Barbados, z załogą złożoną wyłącznie z dziewcząt, i od tej pory wszelki słuch o nim zaginął. Listy Bennetta wracały bez odpowiedzi, a kiedy zadzwonił do jacht klubu na Barbados, okazało się, że nic tam nie wiadomo arii na temat łodzi, ani na temat jej szypra. Szybki Eddie się ulotnił. W czarnych momentach swojego życia Bennett hołubił w duszy nadzieję, że diabli go wzięli gdzieś w Trójkącie Bermudzkim.

I to - musiał przyznać sam przed sobą - byłoby wszystko, jeśli chodzi o rysujące się przed nim perspektywy: krok wstecz, czyli powrót do reklam telewizyjnych, albo kosztowne polowanie na pływającą igłę w wodnym stogu siana. Czas był najwyższy zastanowić się poważnie nad przyszłością. Postanawiając sobie popracować nad tym w domu przez resztę dnia, Bennett przeciął szosę N 100 i wjechał na stromą, krętą drogę, wiodącą do wsi.



St-Martin uniknęło losu turystycznej atrakcji dzięki swojemu burmistrzowi, staremu komuniście, żywiącemu głęboką nieufność do rządu, klasy średniej i postępu. Była to ostatnia wieś w górach Luberon, w której wybrukowano ulice i założono wodociągi, a podania obcokrajowców palących się do odrestaurowywania nadgryzionych zębem czasu kamiennych domków, czasem liczących sobie po trzy-sta lub czterysta lat, były odrzucane przy użyciu wszelkich możliwych wpływów, jakich burmistrz był w stanie użyć. Bennett głosowałby na niego tylko za to. Kochał życie w tym malowniczym, anachronicznym zakątku, praktycznie nietkniętym ręką architekta czy dekoratora wnętrz, pośród domów niewiedzących, co to tandetne, jaskrawe obicia, jedwabne tapety i muszle klozetowe na postumentach. Zimy w St-Martin były chłodne i spokojne, latem zapach tymianku i lawendy rywalizował z uporczywym zapaszkiem studzienek ściekowych. Turyści przyjeżdżali i odjeżdżali, ale nigdy się nie zatrzymywali. Nie było gdzie się zatrzymać.

Dom Bennetta, stojący w wąskim, stromym zaułku przy końcu głównej ulicy, miał nieodparty, zniewalający urok rzeczy niemal darmowej. Należał do wiejskiego doktora, jeszcze jednego kawalera, którego Bennett spotkał na proszonej kolacji i który podzielał jego zainteresowanie starym winem i młodymi kobietami. Dwaj mężczyźni się zaprzyjaźnili i kiedy doktor wyjechał na trzyletni kontrakt na wyspę Mauritius, zaoferował Bennettowi swój dom. Postawił tylko jeden warunek, że *femme de menage*, oddana osoba imieniem Georgette, zachowa posadę gospodyni.

Bennett otworzył sfatygowane dębowe drzwi i wzdrygnął się, słysząc dochodzący z kuchni ryk radia Monte Carlo. Muzyka pop, która wydawała się uwięziona w latach siedemdziesiątych, z wyciem domagała się wypuszczenia na wolność. Jego starania, żeby zapoznać swoją gospodynię z urokami Mozarta i Brahmsa, spotkały się ze zdecydowaną odmową. Georgette lubiła, żeby przy pracy przygrywał jej le beat.

Wszystkie meble, proste, ciężkie i ciemne, były odsunięte pod ściany salonu, a Georgette, na czworakach, kołysząc siedzeniem w rytm muzyki, atakowała nieskazitelnie czyste kafelki podłogi za pomocą mieszaniny oleju lnianego i wody. Dom był dla niej nie tyle pracą, ile hobby: klejnotem, który należało nieustannie szorować, pucować, woskować i polerować. Kurz był zakazany, nieporządek był przestępstwem. Bennetta często nawiedzała myśl, że gdyby stał nieruchomo dostatecznie długo, zostałby złożony w kostkę i pieczołowicie ułożony na półce w szafie.

- *Bonjour*, Georgette! - wrzasnął, przekrzykując radio.

Kłęcząca postać podniosła się ze stęknięciem na nogi i odwróciła, wsparta pod boki, aby mu się przyjrzeć. Kosmyk czarnych, przetykanych siwizną włosów wytknął się spod jaskrawożółtej bejsbolowej czapki z logo Ricarda, którą wkładała do najcięższych prac. Georgette była, jak by to z galanterią określił Francuz, „kobietą w pewnym wieku”, gdzieś w owym tajemniczym przedziale pomiędzy czterdziestką a sześćdziesiątką. Harmonizowała z umeblowaniem domu: równie niska, masywna i nie do zdarcia, jak te sprzęty.

Jej brązowa, pokryta zmarszczkami twarz zastygła w wyrazie dezaprobaty.

- Znów pił pan koniak w łóżku - powiedziała kobieta. - Znalazłam kieliszek na podłodze. En plus, bieliznę i koszule wrzucone do bidetu, jak gdybym nie miała dosyć roboty. - Machnęła ręką w jego stronę. - Niech pan tu nie stoi na mokrym. Kawa i kanapka są w kuchni.

Patrzyła za nim, kiedy szedł na palcach przez salon w stronę lśniącej czystością, mikroskopijnej kuchenki, gdzie stała taca ze śniadaniem: nakrochmalona lnia-  
na serwetka, duża biała filiżanka, miód lawendowy i przekrojona na pół bagietka, posmarowana jasnym normandzkim masłem. Bennett włączył dzbanek do parzenia kawy, ściszył radio do znośnego poziomu i wbił zęby w ciepłą, chrupiącą skórkę. Po chwili wytknął głowę przez kuchenne drzwi.

- Georgette?

Bejsbolowa czapka uniosła się znad lustrowanej uważnie podłogi.

- Co tam znowu?

- Ile czasu ci to zajmie? Miałem zamiar popracować dzisiaj w domu.

Kolejne stęknięcie. Georgette przysiadła na piętach i spojrzała na niego.

- Wykluczone. Co pan myśli, że dom sprząta się sam? Trzeba go przygotować do wiosny. Josephine przychodzi dzisiaj, żeby mi pomóc odwrócić materac. I Jean-Luc, ze swoją drabiną, do okien. No i jeszcze trzepanie dywanów. - Wykręciła szmatę takim gestem, jakby ukrecała łeb kurczakowi. - Nie będzie tu panu wygodnie. Zresztą może pan popracować w kawiarni. - Zmarszczyła brwi, patrząc mu pod nogi. - Kruszy pan na podłogę - fuknęła.

Bennett wycofał się, wycierając usta z miną winowajcy. Wiedział, że jego obyczaje stanowią codzienne wyzwanie dla ładu i porządku - tak jak je rozumiała Geo-

rgette. Ale jej sympatia dla niego była aż nadto widoczna w tym, co robiła. Mogła strofować go i sztorcować niczym niechlujnego uczniaka, ale dbała o niego jak o księcia: gotowała dla niego, naprawiała jego ubrania, niańczyła go, kiedy dostał grypy, a raz usłyszał przypadkiem, jak mówi o nim „mój mały angielski milord”. Jednak ciepłe słowa i komplementy skierowane bezpośrednio do niego najwyraźniej nie wchodziły w zakres usług świadczonych przez Georgette. Kiedy wychodził z domu po śniadaniu, krzyknęła za nim, żeby nie wracał przed wieczorem i nie zapomniał wytrzeć butów, zanim wejdzie do domu.

Ruszył główną ulicą w kierunku piekarni, z jej lśniącymi, stalowo-mosiężnymi stojakami na chleb, które nieodmiennie usiłowali kupić handlarze staroci. Wiedział, że im się to nie uda, jak długo właścicielem będzie Barbier. Piekarz z prawdziwego zdarzenia, o zawodowo przygarbionych plecach, chronicznie bladej cerze i uporczywym przywiązaniu do starych, wypróbowanych metod działania. Bennett pomyślał o tym z przyjemnością i przystanął, żeby odetchnąć zapachem świeżych bochenków i ciastek migdałowych.

- Młodzieńcze!

Madame Joux kiwała na niego z otwartych drzwi sąsiadującego z piekarnią sklepiku spożywczego. Bennett podszedł posłusznie, przygotowany na najgorsze. Jego rachunek w sklepie - limit, który udało mu się uzyskać, dopiero kiedy Georgette niemal siłą przekonała madame Joux do tych nowomodnych wymysłów - został przekroczony. Usługi kredytowe, zawsze traktowane z nieufnością w każdej szanującej się francuskiej wiosce - mogły być cofnięte w każdej chwili. Czuł to w powietrzu.

Ujął krzepką dłoń madame Joux i pochylił się nad nią z galanterią, wdychając nikły aromat rokfortu i wędzonej kiełbasy, który przywarł do jej palców.

- Madame - powiedział - jak zawsze jest pani ozdobą tego pięknego poranka. - Ośmielony tym, co uznał za zapowiedź niezbyt mądrego uśmiešku, wypływającego na twarz matrony, zdecydował się zahaczyć o kwestię rachunku.

- Jestem niepokieszony. Skończyły mi się czeki. Nie ma pani pojęcia, jakie te dzisiejsze banki są ślamazarne. Gdyby to ode mnie...

Madame Joux przerwała tę tyradę, uderzając go żartobliwie w pierś grzbietem dłoni.

- Drobiazg - powiedziała. - Ufam panu jak synowi. Przy okazji, moja mała Solange przyjeżdża w ten weekend z Awinionu. Musi pan do nas wpaść na rodzinny obiadek.

Uśmiech Bennetta przygasł. Madame Joux od kilku miesięcy usiłowała zaaranżować romans pomiędzy nim a „małą Solange”.

Osobiście nie miał nic przeciwko dziewczynie - prawdę mówiąc, była urocza, zdarzała się nawet taka chwila w czasie wiejskiej zabawy kiedy omal się nie zapomniał przy *paso doble* pod drzewami. Uratowała go myśl, że mógłby stać się kolejnym ogniwem w dynastii Jouxów.

- Madame - powiedział - nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Gdyby nie moja ciocia staruszka...

- Co za ciocia?

- Ta, która mieszka w Menton i cierpi na zwapnienie żył. Muszę być przy niej w ten weekend. Mówi się o operacji.

Madame Joux była koneserem, jeśli chodzi o operacje innych osób, zawsze mając nadzieję, że wynikną jakieś fascynujące powikłania. Wydeła wargi i skinęła głową. Bennett poklepał ją po ramieniu i oddalił się pośpiesznie, zanim przyszedłoby jej do głowy zasugerować, żeby przywiózł swoją fikcyjną ciotkę do St-Martin na rekonwalescencję. Będzie musiał przycupnąć podczas weekendu i przygotować się na serię pytań z dziedziny chirurgii podczas nadchodzącego tygodnia. Idąc dalej w dół ulicy, Bennett rozmyślał nad dyplomatycznymi zawłościami wiejskiego życia, uświadamiając sobie przy tym, jak bardzo w tym życiu zasmakował.

Schylając głowę, dał nurka w wąskie drzwi urzędu pocztowego. St-Martin, a właściwie jego burmistrz nie widział powodu, aby dostarczać pocztę do domów, uznając to za burżuazyjną fanaberię, mieszkańcy wioski musieli więc odbierać swoje listy u jego szwagra, niejakiego Papina, który interesował się żywo całą przychodzącą korespondencją i, jak powszechnie przypuszczano, otwierał nad parą listy, których wygląd mógłby w jakikolwiek sposób sugerować osobisty charakter. Na widok Bennetta klasnął językiem o podniebienie.

- Dzisiaj żadnych listów miłosnych, monsieur. Żadnych bilecików. Tylko dwa rachunki. Pchnął w jego stronę dwie szare koperty, leżące na poplamionym plastikowym kontuarze. - Aha, i pańska gazeta.

Bennett wsunął rachunki do kieszeni, skinął Papinowi głową i zabrał swój egzemplarz „International Herald Tribune” do pobliskiej „Cafe Crillon”, pełniącej w St-Martin funkcję centrum życia towarzyskiego, kwatery głównej miejscowego klubu gry w bule, a także lokalu gastronomicznego, gdzie każdego dnia w południe można było zjeść lunch za pięćdziesiąt franków. Sala była długa i ciemna, wyposażona w ciągnący się wzdłuż jednej ze ścian ospowaty cynkowy kontuar, krzesła i stoły, poustawiane w dość przypadkowych pozycjach na nagiej kafłowej posadzce oraz automat do gier telewizyjnych, który dwa lata wcześniej przegrał batalię z nabytym entuzjastycznym graczem i od tamtej pory stał nieczynny.

Jeżeli miejsce to posiadało mimo wszystko jakiś klimat, to wyłącznie dzięki Annie Marii i Leonowi, parze młodych ludzi, którzy zamienili urzędniczą egzystencję w Lyonie na karierę, jak to określała Anna Maria, „w branży gastronomiczno-hotelarskiej”. W wiosce traktowano ich z pewną podejrzliwością, uważając za nietutejszych i nienaturalnie pogodnych. Musiałoby upłynąć ze dwadzieścia lat, nim zostaliby zaakceptowani. Dla Bennetta, również „elementu napływowego”, którego życie nie nauczyło jeszcze, że powinien się wyzbyć swojego optymizmu, stanowili cudowną odmianę na tle odzywających się monosylabami wieśniaków, którzy każdego dnia grali w karty w głębi sali, nasłuchując odgłosów zwiastujących nieuchronne zniszczenie się najbardziej ponurych przepowiedni.

Leon podniósł wzrok znad egzemplarza „Le Provençal”, rozłożonego na kontuarze. - *Bonjour, chef. Du champagne!* - Uścisnął dłoń Bennetta i uniósł brwi. - *Biere? Pastaga!* - W pojęciu Leona dobrym klientem był ten, kto zaczynał pić wkrótce po śniadaniu, więc z pewnym rozczarowaniem przyjął zamówienie Bennetta na filiżankę kawy. - *Może jakieś małe co nieco do tego? Calva, własnego wyrobu?*

Bennett pokręcił głową.

- *Może po lunchu. Co tam Andzia dzisiaj pitrasi?*

Różowa, okrągła jak księżyc w pełni twarz Leona rozpromieniła się. Ucałował czubki swoich krótkich, pulchnych palców.

- *Rewelacja - boczek, soczewica i lionские kielbaski. Za dobre na pięćdziesiąt franków.* - Wzruszył ramionami. - *Ale co zrobić? Tutaj ludzie oczekują uczyty za friko.*

- *Ciężkie masz życie, Leonie.*



- Ma się rozumieć. A po życiu śmierć. - Leon uśmiechnął się i nalał sobie piwa, podczas gdy Bennett zaniósł swoją kawę do stolika pod oknem i rozłożył gazetę.

„Herald Tribune” była jego drobną, codzienną słabostką. Lubił poręczny format tej gazety, równowagę w doborze tematyki i rezerwę, z jaką redakcja traktowała ciągle polityczne sensacje, dzięki którym gazety po drugiej stronie kanału La Manche zmieniały się w pralnię publicznych brudów. W końcu zarzucił czytanie brytyjskiej prasy, kiedy sobie uświadomił, że nazwiska osób, które stawiano tam co chwila pod pręgierzem, przestały mu cokolwiek mówić.

Popijał kawę i zapoznawał się ze stanem świata oglądanego przez pryzmat pierwszej strony gazety. Niepokoje w Rosji. Spory w Unii Europejskiej. Kłótnie w senacie USA. Śmierć zasłużonego hollywoodzkiego aktora. Nie jest to najweselszy dzień „Heralda”, pomyślał Bennett i zapatrzył się w okno, wychodzące na wiejski rynek, gdzie miniaturowe francuskie flagi trzepotały na wietrze nad pomnikiem bohaterów wojny. Słońce było teraz wyżej, błękit nieba miał głębszy ton, a szaroniebieskie, widniejące w oddali góry robiły wrażenie zasnutych delikatną mgiełką. Za nic nie zamieniłby tego życia na biurowy młyn w jakimś posepnym północnym mieście.

Ale wciąż nie dawało mu spokoju pytanie o środki. Czy mógł sobie pozwolić na to, żeby zostać? Zaczął robić notatki na odwrocie koperty. Aktywa: doskonałe zdrowie, kolokwialna francuszczyzna, którą nasiąknął podczas lat spędzonych w Paryżu, brak zobowiązań rodzinnych, niewielka garderoba, złożona z dobrych, choć wysłużonych ubrań, zegarek Cartiera, który zdołał jak dotąd uniknąć lombardu, peugeot kupiony z drugiej ręki i około dwudziestu tysięcy franków w gotówce: pozostałość z przypadającej na niego części prowizji po sprzedaży pewnego domu. Pasywa: domowe rachunki, wynagrodzenie Georgette i zniechęcający brak błyskotliwych pomysłów na zarobienie dużej sumy pieniędzy. Miał dosyć, żeby przetrwać kolejne dwa czy trzy miesiące, pod warunkiem, że będzie się ograniczał. Ale oszczędność nigdy nie była jego mocną stroną, a dziesięć lat w branży reklamowej, z pulą reprezentacyjną do własnej dyspozycji, nie stanowiło dobrej szkoły.

Niech to szlag. Coś przecież wymyśli. Zawsze tak było do tej pory. Odsunął kopertę i podszedł do baru.

- Leon? Chciałbym kieliszek szampana. Ale dobrego. Nie tego octu, który serwowałaś na sylwestra. - Położył na ocynkowanym blacie stufrankowy banknot i pchnął w jego stronę.

Twarz Leona nie straciła sympatycznego wyrazu.

- Był tani.

- Był okropny, przyjacielu.

- Jasne, że był. Za dziesięć franków od lampki. - Leon uniósł w górę palec. - Znajdę ci prawdziwy skarb. - Zniknął za drzwiami prowadzącymi na zaplecze, w których pojawił się po chwili, piastując z przesadną pieczołowitością butelkę, którą wyciągnął w stronę Bennetta - *Voilà!* Perrier-Jouet, rocznik 1988. - Postawił butelkę na blacie i odwinął sreberko. - Świętujesz coś?

Bennett patrzył, jak Leon obraca korek, dopóki ten nie wyskoczył ze stłumionym westchnieniem, po czym wciągnął w nozdrza znajomy zapach, smakując ulotną zapowiedź dobrobytu, z którą zawsze mu się kojarzył szampan.

- Za chwilę wpadnę na doskonały pomysł.

Leon skinął głową i nappełnił wysoki, wąski kieliszek. Bennett wsłuchał się w delikatny syk wina i pochylił głowę, wdychając jego rozgrzewający serce bukiet. Starzy wieśniacy w głębi sali odwrócili się na ten przejaw zagranicznej ekstrawagancji, pokręcili głowami z dezaprobatą, po czym wrócili do swoich kart i do swoich szklaneczek rose, z którymi nie rozstawali się przez cały ranek.

Bennett poczuł szybkie, chłodne igiełki na języku i otworzył gazetę na rubryce, zatytułowanej „Ogłoszenia drobne - międzynarodowe”, gdzie rajskie enklawy podatkowe i okazje do zrobienia świetnego interesu sąsiadowały z ofertą usług o bardziej osobistym charakterze. W lewej kolumnie ekskluzywne biuro matrymonialne o światowym zasięgu oferowało „odpowiedzialnym osobom” kontakt z przedstawicielami elity przemysłowej o osobowościach typu alfa. Po prawej stronie, na wypadek, gdyby coś nie wyszło, widniał numer telefonu, pod którym można było uzyskać szybki rozwód za 495 dolarów. Kiedy już przejrzał listę wolnych od podatku samochodów, paryskich apartamentów klasy *grand luxe* i agencji towarzyskich od Mayfair po Wiesbaden, rzeczywiście przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Po co czekać, aż coś się trafi, i liczyć, że los obejdzie się z nim łaskawie? On weźmie inicjatywę w swoje ręce i stanie się kowalem własnego losu. Zamieści ogłoszenie, proponując swoje usługi.

Po kilku przeróbkach i poprawkach oraz kolejnym kieliszku szampana wypitym dla natchnienia Bennett usiadł wygodnie, by ocenić owoc swoich wysiłków.

*ANGLIK BEZ ZOBOWIĄZAŃ Po trzydziestce, dobra prezencja, biegły francuski, poszukuje interesującej, nietuzinkowej pracy, najchętniej w okolicy Aix/ Awinionu. Otwarty na wszelkie propozycje, z wyjątkiem matrymonialnych.*

Po południu zadzwoni do gazety i zamieści ogłoszenie. Niedługo rozpocznie się sezon. Powinny być dziesiątki odpowiedzi. Krew zaczęła mu zwawiej krążyć w żyłach w przeczuciu zbliżającej się przygody, a apetyt otrzymał zdecydowaną ostrogę. Jego uwaga zwróciła się w stronę specjalów Anny Marii.

TLR

## 2

- Te już się nie nadadzą na kolejne lato - powiedziała Georgette, podnosząc do góry ostatnią parę białych bawełnianych spodni Bennetta. Są skończone. *Fini*.

- Moim zdaniem, wyglądają całkiem dobrze, Georgette. Są znoszone, owszem. Lubię stare ubrania.

- *Non*. Za dużo przeszły. Za często musiałam je szorować. Wino, zupa, sos - z każdego posiłku robi pan katastrofę. Czy Anglicy nie używają serwetek? Pokręciła głową i rzuciła zdymisjonowane spodnie na stos koszul i krótkich spodenek, które nie spełniały jej wyśrubowanych wymogów. Później miały być odstawione do misji Białych Pokutników i rozdane biednym.

- Georgette, nie da się jeść raków w ubraniu bez jakiejś drobnej kraksy. Niestety, nawet we Francji człowiek nie ma prawa zasiadać do obiadu nago.

- *Quelle horreur* - wzdrygnęła się Georgette. - Niech pan sobie wyobrazi Papi-na. Albo madame Joux.

- Nie mieszajmy do tego prywatnych osób, Georgette.

- Jak pan sobie życzy. Spodnie idą na szmelc.

Bennett westchnął. To prawda, miał skłonność do różnych niefortunnych wpa-dek przy stole. Prawdą było również, że białe spodnie rzadko kiedy dotrwały do końca posiłku niezaplamięte. Mówiąc szczerze, uniesiony entuzjazmem chwili, nieczęsto dawał im szansę na przetrwanie bodaj pierwszego dania. Ale w obecnej sytuacji kupno nowych ubrań nie wchodziło w rachubę. Podjął ostatnią próbę odroczenia wyroku. Spodnie miały dla niego wartość sentymentalną, kupił je w prezencie jedna z jego przyjaciółek, którą wciąż miło wspominał. Chyba można je zostawić na ten jeden, ostatni sezon?

Georgette pochyliła się w jego stronę, stukając go kilkakrotnie w pierś swoim stalowym palcem.

- *Non, non et non*. Będzie pan tu chodził w łachmanach i robił mi wstyd przed całą wsią?

Bennett doświadczył już kiedyś, czym są dąsy Georgette, w związku z pewną starą tweedową marynarką, którą uparł się zatrzymać wbrew jej życzeniu. Ukarala go, nie odzywając się do niego przez tydzień, i celowo zbyt mocno nakrochmalila jego bieliznę osobistą. Nie miał ochoty narażać się na coś takiego po raz drugi.

- Doskonale, Georgette. Każę mojemu szoferowi zawieźć się w przyszłym tygodniu do Paryża i zakupię kompletną garderobę na lato. U Charveta.

- Aha, a ja wygram Tour de France. - Zgarnęła stos ubrań z podłogi i zniknęła w kuchni, rechocząc triumfalnie.

Bennett spojrział na zegarek i stwierdził, że jest jedenasta. Poczta powinna już nadejść, a wraz z nią należało się spodziewać odpowiedzi. Od ukazania się ogłoszenia minęły ponad dwa tygodnie - bezowocny czas, spędzony głównie z klientem z Zurychu, który ostatecznie zdecydował, że jego wyobrażenie o urokach wiejskiego życia ucieleśnia nie Prowansja, ale apartament w Genewie. Kiedy Georgette podkreśliła stojące w kuchni radio do roboczego poziomu, Bennett wyniósł się z mieszkania i ruszył w dół ulicy, w kierunku, jak miał nadzieję, całego worka odpowiedzi i własnej świetlanej przyszłości.

Monsieur Papin łypnął na niego ze swojego okienka, skinał mu głową na dzień dobry i wydobył gazetę oraz dużą brązową kopertę z przegródki znajdującej się za jego plecami. Gazetę oddał bez targów, natomiast kopertę zważył w dłoni znaczącym gestem.

- Ważna przesyłka - powiedział. - Z Paryża.

- *Ah, bon* - mruknął Bennett.

- Płaci pan siedem pięćdziesiąt za niedostateczne ofrankowanie. Albo, jeżeli pan woli, mogę ją odesłać z powrotem.

Był to powszechnie znany we wsi „napiwek Papina”, drobna kwota, którą okraszał należność, kiedy uznawał, że rynek to udźwignie. Trzy franki tu, pięć tam - i uzbierało się dosyć, żeby sprawić sobie na święta parę ładnych butelek. Bennett podał mu żadaną kwotę i poprosił o rachunek. Papin skrzywił się i oświadczył, że go przygotowuje. Dwaj mężczyźni rozstali się w atmosferze lodowatej uprzejmości. Bennett do mało kogo żywił antypatię, ale dla Papina gotów był zrobić wyjątek.

W kawiarni panowała cisza, którą zakłócało jedynie rżenie lodówki i odgłos kart plaskających o blat stołu z głębi sali. Starzy mężczyźni odwrócili głowy jak na



komendę, kiedy wszedł do środka, Bennett skinął im na powitanie. Głowy wróciły do poprzedniej pozycji. Bennett wziął swoją szklaneczkę rose i usadowił się przy stoliku pod oknem. Koperta była opasła i wyglądała obiecująco. Nim ją otworzył i zaczął przeglądać zawartość, wzniósł w duchu toast na rzecz świętego patrona zużożających synów Albionu.

Propozycja, aby zainwestować ćwierć miliona franków w Pizza Sympa, najszybciej rosnącą sieć usług na Lazurowym Wybrzeżu, była pierwsza, która została odłożona na bok jako niewypał. W ślad za nią podążył list napisany lawendowym atramentem przez mieszkańca Neuilly, poszukującego młodego towarzysza celem realizacji wspólnych, naturalnych zainteresowań. Agencja towarzyska z Cannes obiecywała godziwe wynagrodzenie panom o odpowiedniej kindersztubie i wyrobieniu, prosząc równocześnie o nagie zdjęcie do swoich akt. Przez moment miał ochotę wręczyć to Papinowi.

No, wreszcie praca, którą mógłby wykonywać w ubraniu. Saudyjski książę poszukiwał szofera-tłumacza na lato. Miejsce pracy: Cap Ferra, trzy mercedesy do wyboru, bezpłatne zakwaterowanie, dodatek mundurowy, referencje konieczne. To mogłoby być, gdyby udało mu się jakoś przeskoczyć sprawę referencji. Georgette? Leon? Jego klienci od zbiorników asenizacyjnych? Wciąż miał niewielki zapas opatrzonego herbem papieru z Izby Lordów, pozostawionego przez pewnego hrabiego, który wynajmował jeden z domów ubiegłego lata. Mógłby sam sobie napisać referencje. Książęcy list zapoczątkował kupkę propozycji do rozważenia.

Ale kupka się nie powiększała, w miarę jak Bennett przerzucał kolejną porcję odpowiedzi. Postanowił, że nie zostanie świadkiem Jehowy, przewodnikiem wycieczek, nauczycielem na pół etatu w szkole językowej ani naganiaczem klientów dla armatora statku spacerowego z Antibes. Wspomnienia doświadczeń z jednostkami pływającymi były zbyt świeże i zbyt bolesne. W końcu pozostała jedna koperta, którą zostawił sobie na koniec.

To był ów głęboki, zdecydowany błękit, ulubiony wśród angielskiego establishmentu, przywodzący na myśl ekskluzywny sklep Smythsons przy Bond Street, gdzie panowie w garniturach w prążki przychodzą omawiać tak subtelne i zarazem najwyższej wagi kwestie, jak ozdobnie strzępione brzegi czy wypukłe tłoczenia w kolorze tła. Ostrożnie otworzył kopertę i zobaczył, że była wyłożona ciemniejszą, również niebieską bibułką, w dokładnie tym samym odcieniu, co krótki, drukowany nagłówek listu.

## DOMAINE DES ROCHERS

*Piszę w odpowiedzi na Pańskie ogłoszenie. Niewykluczone, że moglibyśmy znaleźć obszar wspólnych zainteresowań. Jeżeli chciałby Pan to omówić, proszę zatelefonować do mnie pod numer 90-90-00-77.*

*Julian Poe*

Bennett uważnie studiował zdecydowane, kanciaste pismo i głęboką czerń atramentu, potem podniósł papier do światła i zobaczył rąbek znaku wodnego. Wszystko w tym liście sugerowało dostatek i wyrafinowany gust i Bennett już podnosił się z krzesła, żeby podejść do baru i skorzystać z kawiarnianego telefonu, kiedy zdał sobie sprawę, że dochodzi południe. Czy ludzie pokroju Juliana Poe zasiadają do lunchu punktualnie o dwunastej? Jeśli zakłóci mu spokój przy posiłku, nie będzie to dobry początek. Wahał się przez chwilę, po czym postanowił zaryzykować.

Głos po drugiej stronie był głosem Francuza, powściągliwym i bezosobowym. Głosem służącego. Bennett poprosił z panem Poe.

- Kogo mam przedstawić?

- Moje nazwisko Bennett. Nie, chwileczkę. Proszę powiedzieć, że to skrytka 84 z „Herald Tribune”.

Usłyszał w słuchawce szcęknięcie, ale połączenie nie zostało przerwane. Bennett na migi pokazał Leonowi, żeby mu podał jeszcze jedną szklaneczkę wina. Czuł nierozumną nadzieję, pewność, że coś z tego wszystkiego wyniknie. Oto co widok luksusowego papieru listowego może zrobić z człowiekiem, który właśnie stracił ostatnią parę białych spodni.

Znów szcęknięcie w słuchawce.

- Bardzo to wszystko tajemnicze. Czy mam się do pana zwracać per skrytka 84, czy ma pan nazwisko? - Głos dobrze harmonizował z papierem listowym: potoczny, głęboki i pewny siebie. Głos człowieka z wyżyn społecznych. Prawdopodobnie absolwent Eton, tak jak ten gnojek Brynford-Smith.

- Tak, przepraszam. Nazywam się Bennett.

- Cóż, panie Bennett, powinniśmy się spotkać. Rozumiem, że nie mieszka pan zbyt daleko od Bonnieux?

- Konkretnie w St-Martin-le-Vieux. Jakieś pół mili.

- Wyśmienicie. Wobec tego może wpadłby pan do mnie dziś wieczorem, około szóstej? Jeżeli nie poczujemy do siebie natychmiastowej odrazy, moglibyśmy zjeść razem kolację.

Bennett zanotował wskazówki, jakich udzielił mu Poe co do dojazdu, zafundował sobie dobry lunch, po czym wrócił myślami do krótkiej rozmowy. Sądząc po głosie, Poe robił wrażenie miłego i zrelaksowanego, a z tego, co powiedział na temat swojej posiadłości, wyglądało, że jest właścicielem większej części góry powyżej Bon-nieux. Bennett zachodził w głowę, na czym może polegać ta praca i jak się powinien ubrać na rozmowę kwalifikacyjną.

Stał przed lustrem w swojej sypialni, próbując ocenić wrażenie, jakie wywarłby na potencjalnym pracodawcy. Miał sześć stóp wzrostu bez jednego cala, był szczupły, jak często bywają kawalerowie nienawykli do regularnych posiłków, jego twarz była pociągła, skóra napięta, z widocznymi zmarszczkami od słońca wokół błękitnych oczu i wyraźnie zarysowanymi liniami po obu stronach ust. Włosy, proste i ciemnobrązowe, były może nieco zbyt długie, ale lśniące, jako że Georgette dawno temu przekonała go o dobroczynnym wpływie *savon de Marseille* na skórę głowy.

Od szyi w dół był bez zarzutu. Różowa koszula, granatowy włóczkowy krawat, blezer i szare flanelowe spodnie, które sprawił sobie przed laty u londyńskiego krawca Douga Haywarda, kiedy pieniądze napływały szeroką strugą. Do tego buty z kordobańskiej skóry kupione przy St James's Street w Londynie. Zawsze kupował najlepsze ubrania, na jakie go było stać, raczej klasyczne niż modne, przestrzegając zasady, że wygląd sugerujący prosperitę stanowi atut w interesach, zwłaszcza gdy te ostatnie nie idą najlepiej. Milioner może sobie pozwolić na to, żeby się ubierać jak własny ogrodnik. Bennetta nie było stać na taki luksus. Poza tym lubił czuć na sobie dobrze uszyte, dobrze leżące ubrania, które wydawały się nabierać szyku wraz z wiekiem.

Wybrał z szuflady jedwabną chusteczkę i już ją wsuwał do górnej kieszonki blezera, kiedy poczuł jakiś opór i wydobyl saszetkę z suszoną lawendą. Georgette nabrała zwyczaju przyprawiania jego ubrań. Wciąż znajdował gałązki tymianku, rozmarynu lub małe kostki mydła o zapachu mimozy między swoimi skarpetkami i bielizną. Saszetki z lawendą stanowiły nowość. Dziękował w duchu, że naj-

nowszym hitem nie okazał się na przykład czosnek. Po raz ostatni musnął wystającą z kieszonki chusteczkę i ruszył w stronę Domaine des Rochers.

Szosa D 36 wije się krętą linią od Bonnieux w kierunku południowym, zbiegając, już jako D 943, z gór Luberon w stronę bardziej równinnych i mniej dzikich terenów wokół Lourmarin. Jest to wąski, kręty korkociąg, wyrąbany w skale, idealne miejsce na nocną zasadzkę dla dwudziestowiecznego rozbójnika. Pogłoski o napściach z bronią w ręku krążyły ostatnio po wiejskich kafejkach. Scenariusz był zawsze taki sam. Szosę blokuje samochód, rzekomo zepsuty, obok stoi samotna postać. Niczego niepodejrzewający automobilista zatrzymuje się, żeby zaoferować pomoc. Z kryjówki w pobliskich krzakach wyskakują przyjaciele samotnika, często wyposażeni w broń palną. Uczynny kierowca zostaje na szosie, mając przed sobą dziesięć mil spaceru ku cywilizacji, podczas gdy jego samochód poddawany jest rutynowym czynnościom przed ponowną sprzedażą w jakimś warsztacie w ciemnym marsylskim zaułku.

Ale w piękny wiosenny poranek, kiedy słońce lizało wapienne szczyty gór, z szosy roztaczały się wspaniałe widoki i Bennett był w doskonałym nastroju, mijając wysoką żelazną bramę, wyznaczającą granicę posiadłości Juliana Poe. Droga o zwykłej żwirowej nawierzchni, gładkiej i dobrze utrzymanej, wiała się tędy i owędy, w zależności od ukształtowania terenu, ale zawsze pod górę. Poe przeprosił go podczas rozmowy telefonicznej za te dodatkowe sześć kilometrów terenowej jazdy, ale zapewnił, że cel jest tego wart.

I miał rację. Bennett pokonał ostatni zakręt i zatrzymał samochód, podziwiając w niemym zachwycie roztaczający się przed nim widok.

Wyglądało to tak, jakby czubek góry został ścięty, tworząc potężną platformę, wystarczająco równą, aby nadawała się pod budowę. Na wprost niego otwierała się szeroka aleja długości pół mili, obrzeżona dwoma idealnie równymi rzędami rozłożystych platanów, wiodąca w kierunku masywnego łuku, wybitego w kamiennym murze. Po drugiej stronie muru widniały spadziste płaszczyzny dachu. Wieczne słońce wydobywało ciepłe tony kryjącej go spłowiałej terakoty. W jednym z rogów tego, co wyglądało na dziedziniec, wznosiła się wieżyczka gołębnika. W oddali, za budynkami, masyw Grand Luberon ciągnął się aż po wschodni horyzont. Na północy widniała łysa biała czapa Mont Ventoux, na południu równiny rozciągające się aż po Aix, Marsylię i Morze Śródziemne. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać czegoś takiego jak linia elektryczna, słup wysokiego napięcia czy jakiegokolwiek inne

zabudowania. Była to najwspanialej usytuowana posiadłość, jaką Bennett widział w swoim życiu.

Ruszył powoli wysadzaną platanami aleją, zastanawiając się, co robi właściciel takiej nieruchomości, mając piętnaście mil do najbliższej wioski, kiedy w deszczowy wieczór skończy mu się zapas mleka albo papierosów. Ale, rzecz jasna, ludziom pokroju Juliana Poe zapasy się nie kończą. Od tego mają służbę.

Coraz bardziej podekscytowany tym, co miała mu przynieść najbliższa przyszłość, Bennett przejechał pod kamiennym łukiem i zatrzymał samochód obok ciemnozielonego range-rovera i długiego, czarnego citroena, zaparkowanych po jednej stronie ogromnego dziedzińca. Poszedł pieszo w stronę domu, mijając fontannę, której nie powstydziliby się średniej wielkości miasteczko, z trzema wielkimi kamiennymi gargulcami, wypływającymi wodę do okrągłej sadzawki. Kiedy rozglądał się za czymś tak nowoczesnym, jak dzwonek, wysokie, rzeźbione skrzydła podwójnych drzwi otwarły się na oścież. Mężczyzna w czarnym garniturze, wysoki jak na Japończyka, skłonił głowę gestem powitania.

- Monsieur Bennett? - Bennett odwzajemnił ukłon.

- Proszę za mną.

Ruszyli długim korytarzem, wykładanym polerowanymi kamiennymi płytami, których surowość łagodził stłumiony blask perskich chodników. Bennett ukradkiem przesunął palcem po blacie zabytkowego dębowego stolika do gry. Ani śladu kurzu. Nawet Georgette by się nie przyczepiła, pomyślał, po czym gwizdnął cicho pod nosem, kiedy znaleźli się w pomieszczeniu wystarczająco przestronnym, aby dostarczyć jej zajęcia aż do emerytury.

Niski strop klasycznego, wiejskiego, prowansalskiego domostwa został usunięty, prawdopodobnie kosztem kilku pokoi, znajdujących się na górze, a tradycyjne małe okna zastąpiono wysokimi, szerokimi płaszczyznami litego szkła, osadzonymi w kamiennych ścianach, co stwarzało taki efekt, jakby krajobraz wchodził do domu. Za dekoracyjnymi pasami lawendy i kępami drzew oliwkowych Bennett dostrzegł słupki i łączące je poprzeczne żerdzie ogrodzenia wybiegu dla koni oraz wierzchowca kasztanowej maści, podziwiającego zachód słońca. Scena jakby zaaranżowana dla fotografa, pomyślał i obejrzał się, aby popatrzeć na równie fotogeniczne wnętrze.



Ogień tańczył, płonące bale sypały iskrami na kominku z kamiennych bloków, z gzymsem na wysokości głowy stojącego mężczyzny. W całym pokoju na tle gipsowych ścian barwy złamanej bieli rozmieszczone były dziesiątki obrazów i starych, czarno-białych fotografii, oprawionych w najróżniejsze ramy i stanowiących mozaikę równie zróżnicowanych stylów: Sisley obok Hockneya, Hopper obok Lar-tigue'a. Meble były duże, miękkie i obite owymi artystycznie spłowiałymi materia-łami, które przypominają dekoratorów wnętrz o upojny zawrót głowy. Był to wy-godnie urządzone, stylowy salon. Odwrócony plecami, widoczny jako sylwetka na tle szklanego panelu, z telefonem komórkowym przy uchu stał mężczyzna. Bennett uznał, że musi to być Julian Poe.

- Monsieur?

Bennett odwrócił się gwałtownie i byłby stracił z tacy kieliszek szampana, gdyby Japończyk nie odchylił się szybkim, płynnym ruchem, gibki niczym bokser unikający ciosu.

- Może wolałby pan usiąść?

Bennett wziął kieliszek i uśmiechnął się do niego.

- Dziękuję, postoję. Rozprostuję nogi.

Mężczyzna znów skłonił głowę i oddalił się bezszelestnie, podczas gdy Ben-nett podszedł do kominka, żeby się przyjrzeć obrazom. Był pewien, że kilka z nich widział wcześniej w paryskich muzeach. Czyżby Poe je wypożyczył? Czy mogły to być podróbki? Z pewnością na to nie wyglądały, chociaż w tych czasach człowiek nigdy nie mógł mieć pewności. Zastanawiał się właśnie, czy to nie zbyt delikatna materia, aby ją poruszyć, kiedy usłyszał kroki za plecami, odwrócił się i ujrzał uśmiechniętą twarz oraz wyciągniętą dłoń gospodarza.

- Skrytka 84, nieprawdaż?

W pierwszej chwili Bennett odniósł wrażenie, że stoi przed nim ktoś, kto za-  
błąkał się tutaj ze stron ekskluzywnego magazynu dla dystyngowanych dżentelme-  
nów. Julian Poe był olśniewający: od nieskazitelnie ostrzyżonych szpakowatych  
włosów po lśniące czubki ciemnobrązowych butów, których głęboki, trwały blask  
mógł być uzyskany jedynie przez całe lata glansowania. Na ramiona miał narzuc-  
ony czarny kaszmirowy kardigan, pod nim koszulę z grubego jedwabiu barwy zwa-  
rzzonej śmietany i do tego spodnie z płowej gabardyny. Bennett był rad, że poświę-  
cił tyle uwagi sprawie odpowiedniego stroju, i zanotował sobie w myśli, żeby za-  
płacić rachunek u krawca, jak tylko znów będzie przy pieniądzach.

- Widzę, że Shimo zdążył już dać panu drinka. Ciekawe, czy znalazłby jednego  
i dla mnie. - Poe rozejrzał się wokół siebie, podczas gdy Japończyk sunął w jego  
stronę. - O, wspaniale. - Wziął kieliszek i wręczył kamerdynerowi swój telefon. -  
Pańskie zdrowie, panie Bennett.

Bennett uniósł kieliszek, obserwując, jak Poe z namysłem pociąga pierwszy,  
nieduży łyk. Próbując oszacować jego wiek, uznał, że musi być dobrze zakonser-  
wowanym pięćdziesięciolatkiem. Jego twarz była opalona, o ledwie zarysowują-  
cych się zmarszczkach, sylwetka wyprostowana i sprężysta, brzuch płaski.

- No, teraz lepiej. - Poe uśmiechnął się do Bennetta. - Zauważyłem, że kiedy  
zaczynam pić w porze lunchu, popołudnie lekko mi się rozmywa, jeśli natomiast  
nie zaczynam, o szóstej dostaję zadyszki. Mam nadzieję, że trafił pan do nas bez  
kłopotów?

Bennett pokiwał głową.

- Muszę powiedzieć, że to wspaniałe miejsce. Znam dobrze Luberon, ale nigdy  
nie widziałem czegoś takiego, jak to.

- Bo niczego takiego nie ma. Zajął mi pięć lat, nim je znalazłem, i niemal  
drugie tyle, zanim je odpowiednio dopieściłem. - Poe odwrócił się do okna. - Może  
byśmy wyjrzeli na zewnątrz, dopóki słońce nie zaszło? - Wyjął z kieszeni mały  
czarny prostokąt wielkości karty kredytowej i wycelował w szklaną tafle, która  
wsunęła się w głąb ściany.

Obaj mężczyźni przeszli przez taras i zeszli na dół, kierując się w stronę wybiegu dla koni.

- Kiedy tutaj jechałem - powiedział Bennett - zastanawiałem się, w jaki sposób pan załatwia te wszystkie praktyczne sprawy, jak elektryczność czy bochenek chleba, którego nagle zabrakło. Nie można powiedzieć, żeby miał pan supermarket na sąsiedniej ulicy.

- Och, jakoś sobie radzimy - odparł Poe lekkim tonem. - Mamy dwa generatory w tamtej szopie, na miejscu jest kilkusobowy personel, a na zakupy wyskakujemy raz w tygodniu do Nicei. To tylko trzy kwadransy. O, proszę spojrzeć, tam, za tymi cyprysami. Widzi pan?

Bennett spojrział w kierunku, w jakim Poe skinął niedbale głową, i zobaczył helikopter, który przycupnął za zasłoną drzew niczym gigantyczny konik polny. Już miał zamiar zrobić na ten temat jakąś uprzejmą uwagę, stanowiącą wstęp do równie uprzejmej wymiany zdań, kiedy pośpieszny tupot kopyt końskich kazał im się obejrzeć za siebie. Spoza drzew rosnących poniżej wybiegu ukazali się dwaj jeźdźcy na koniach, pędzący galopem teraz, kiedy wynurzyli się z płytkiej niecki w trawiastym terenie. Bennett usłyszał dziewczęcy śmiech, a potem okrzyk, gdy konie zmieniły kierunek i ruszyły w ich stronę.

Dziewczyna lekko zeskoczyła z siodła, gibka i zwinna. Jej towarzysz, mocno zbudowany mężczyzna o ciemnej, cygańskiej twarzy, dotknął na widok gospodarza daszka swojej czapki, po czym podprowadził oba konie w stronę niewielkiego kompleksu zabudowań w sąsiedztwie wybiegu.

Poe promieniał i Bennett rozumiał powód. Dziewczyna musiała mieć ze sześć stóp wzrostu, ciemnobrązowe, splątane włosy, sięgające ramion, pełne, duże usta i zarumienioną twarz o wydatnych kościach policzkowych. Jej bryczesy były wystarczająco dopasowane, żeby pokazać, że nie ma problemów z nadwagą, a kiedy biegła w ich stronę, stwierdził z zachwytem, że nie należy do entuzjastek biustonoszy. Był pewien, że już ją gdzieś widział, i wierzyć mu się nie chciało, że nie pamięta gdzie.

- *Salut, cheri.* - Podsunęła mężczyźnie oba policzki do ucałowania i odwróciła się, spoglądając na Bennetta swoimi kocimi, lekko skośnymi oczyma spod uniesionych brwi.

- Chou-Chou, to jest pan Bennett. Mieszka nieopodal, w St-Martin.

Chou-Chou wyciągnęła dłoń w rękawiczce. Bennett wolałby policzek i zaczął się zastanawiać, czy jest to córka gospodarza, czy raczej kolejny perfekcyjny element luksusowego wyposażenia.

- Bardzo mi miło.

Poe otoczył ramieniem kibić dziewczyny, przy czym jego dłoń spoczęła na jej biodrze gestem, który trudno byłoby nazwać ojcowskim. Bennett uznał, że jest to raczej gest posiadacza, i z żalem pożegnał hipotezę córki.

- Robi się chłodno - powiedział Poe. - Chodźmy do środka i pogadajmy.

Chou-Chou przeprosiła i poszła na górę, żeby się wykąpać i przebrać. Dwaj mężczyźni usadowili się naprzeciw kominka. Czuwający w pogotowiu Shimo napełniał opróżnione kieliszki. Bennett zauważył, z wewnętrznym rozbawieniem i nutką autoironii, że automatycznie przyjęli pozycje bogacz-biedak: Poe wyciągnięty w swoim fotelu, Bennett pochylony w jego stronę.

- Zaintrygowała mnie jedna rzecz w pańskim ogłoszeniu - powiedział Poe. - Pamięta pan? „Otwarty na wszelkie propozycje, z wyjątkiem matrymonialnych”. Nie robi pan wrażenia człowieka pokierowanego w małżeńskich szrankach. - Poe pochylił głowę na bok, jakby nasłuchiwał. - Czy może pańskie blizny zdążyły się już zagoić?

Bennett wzruszył ramionami.

- Nie, nigdy tego nie próbowałem. Moi rodzice stanowili dla mnie wystarczająco odstraszący przykład. -1, zachęcany od czasu do czasu przez rozmówcę uśmiechem lub skinieniem głowy, przedstawił mu swoją skróconą genealogię. Jego matka była Włoszką, niezłą sopranistką o aspiracjach primadonny, ojciec jednym z tych ekscentryków, których Anglia tak wielu wydała na świat: ni to pisarzem, ni to podróżnikiem, dziwakiem, urodzonym w niewłaściwym stuleciu. Był ciągle w drodze, pedałuując na rowerze przez Himalaje, studiując andyjską florę, dzieląc życie koczowniczych plemion Hindukuszu. Ciągnęło go do odludnych, wysoko położonych miejsc, ograniczał więc do minimum swoje powroty do Londynu. Jednak to właśnie podczas jednej z takich wizyt poznał matkę Bennetta, śpiewającą jakąś drugoplanową rolę w Covent Garden. Zmyleni przez namiętność, którą wzięli za miłość, pobrali się, czego owocem był Bennett, ale osiadłe życie nie pociągało żadnego z nich. Dziecko zostało odstawione na wychowanie do dalekiego krewnego w Dorset, a później posiane do szkoły z internatem. Jego ojciec zniknął, uzbrojony w

plecak i podręczny słownik języka bantu. Matka uciekła do Mediolanu z młodym tenorem, który tak pięknie wyglądał w trykotach. Bennett wychowywał się w towarzystwie innych chłopców, których rodzice wiedli wędrowny żywot.

Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu i pociągnąć łyk szampana.

- No tak. - Poe skinął głową. - Wyobrażam sobie, że musiało to pana usposobić cynicznie do uroków rodzinnego życia - Czy widuje ich pan czasem? Swoją matkę i ojca?

Bennett przebiegł w myślach minione lata. Matki by nie poznał, gdyby ją spotkał na ulicy. Ojca widział po raz ostatni, kiedy skończył osiemnaście lat i został przez niego zaproszony na lunch do jego londyńskiego klubu, celem omówienia perspektyw przyszłej kariery chłopca. Pamiętał to doskonale: jedzenie jak dla niemowlaków, mdłe i bezbarwne, doskonałe wino, wymizerowana, pobrużdżona twarz ojca, a w niej nieobecne, szalone oczy człowieka, nałogowo spragnionego widoków, ciągnących się setkami mil i źle się czującego w bliskim sąsiedztwie ludzi. Przy kawie udzielił Bennettowi swojej zbawiennej rady na przyszłość: „W gruncie rzeczy nieważne, co będziesz robił, byleś tylko nie wstąpił do baletu”. Ta perła mądrości życiowej została przypieczętowana czekiem na tysiąc funtów i szklaneczką porto. Od tamtego czasu Bennett go nie widział, chociaż otrzymał kiedyś widokówkę z Kaszmiru z życzeniami z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Miał wówczas dwadzieścia cztery lata.

Poe się roześmiał.

- Proszę mi wybaczyć - usprawiedliwił się - ale pańska opowieść nie jest pozbawiona komizmu. - Spojrzał na zegarek. - Mam nadzieję, że będzie mógł pan zostać na kolacji. Chciałbym usłyszeć więcej, a dziś wieczorem mamy pożegnanie z zimowym jadłospisem. Myślę, że uzna pan to za jeden z przyjemniejszych aspektów domowego życia.

Bennett z radością przyjął zaproszenie. Najwyraźniej zaliczył pierwszy test i stwierdził, że sam również poczuł do swojego rozmówcy sympatię, jaką zwykle wzbudzają dobrzy słuchacze. Dopił swojego szampana i zaczął się zastanawiać, czy Chou-Chou wśliźnie się na wieczór w „coś małego i wydekoltowanego”. Sprawy nabierały rumieńców.

- Jeżeli chciałby pan umyć ręce, łazienka jest tam, zaraz na początku korytarza.



Bennett, który zdążył stać się prawdziwym znawcą łaźni i ubikacji, skorzystał z okazji, żeby złożyć niezawodową wizytę, i znalazł się w pomieszczeniu przypominającym miniaturową, wyposażoną w instalację wodno-kanalizacyjną galerię fotograficzną. Ściany pokrywały liczne pamiątki, dokumentujące sportowe życie Juliana Poe: Poe na nartach, Poe na pokładach różnych jachtów, Poe ze strzelbami, w towarzystwie rozmaitych martwych stworzeń, przypuszczalnie w Afryce, albo stojący obok monstrualnej ryby, zwisającej z wędkarskiego kołowrotka. Jego żywi towarzysze wszyscy byli mężczyznami, wszyscy opaleni na brąz, wszyscy uśmiechnięci w nieustannym blasku słońca, które rozjaśnia życie bogatych i uprzywilejowanych. Wycierając ręce w ręcznik, opatrzony dyskretnym monogramem, Bennett zachodził w głowę, czym trudni się Poe, żeby to wszystko sfinansować.

Kiedy wrócił do salonu, okazało się, że jego gospodarz znów rozmawia przez telefon. Już chciał wrócić do studiowania otaczających kominek obrazów, kiedy kołyszącym się krokiem modelki weszła do pokoju Chou-Chou. Sukienka miała modny, skąpy krój, nogi były długie, obcasy wysokie, i Bennett odruchowo poprawił krawat.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Julian zawsze rozmawia przez telefon, kiedy go potrzebuję. Czy mógłby mi pan pomóc? - Podała mu ciężki złoty łańcuch. - To zapięcie jest strasznie skomplikowane. - Odwróciła się do niego plecami i odgarnęła włosy.

Bennett wspiął się na palce, wdychając piżmową, kosztowną woń perfum, którą wydzielał jej odsłonięty kark, kiedy majstrował przy zapięciu.

- Przepraszam - usprawiedliwił się. - Nie mam zbyt wielkiej wprawy, jeśli chodzi o naszyjniki. Ale gdyby potrzebowała pani kiedyś pomocy przy wiązaniu muszki, jestem prawdziwym asem. - No, nareszcie. Cofnął się o krok, kurtyna włosów opadła i jego puls wrócił do normy.

- Dzięki - powiedziała Chou-Chou. - Julianowi zazwyczaj zajmuje to znacznie więcej czasu.

Nie dziwię mu się, pomyślał w duchu Bennett.

- Proszę powiedzieć mi jedną rzecz - podjął. - Wiem, że już się kiedyś spotkaliśmy, jestem pewien, że widziałem gdzieś pani twarz. Czy pani jest modelką?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Już nie... Julian...

- O Julianie dobrze lub wcale. - Poe skończył rozmawiać przez telefon i przyglądał się im, uśmiechając się pod nosem. - Musi mi pan wybaczyć te telefony. Ci faceci z Wall Street nie mają za grosz szacunku dla europejskiego czasu. Czasami mam wrażenie, że czekają do chwili, kiedy zyskają pewność, że właśnie siadam do kolacji. Chodźmy, dobrze? Umieram z głodu.

Chou-Chou poszła przodem, Bennett, który uważał możliwość podążania za piękną kobietą za jeden z drobnych prezentów, jakie czasem otrzymujemy od losu, robił, co mógł, żeby nie wpatrywać się zbyt ostentacyjnie w rozkołysane biodra i imponująco długie nogi. Dziewczyna musiała się schylić w niskich drzwiach, prowadzących do mniejszego pomieszczenia o łukowym sklepieniu, rozświetlonego blaskiem świec. Shimo poprowadził ich do stołu, wskazując miejsce każdemu z nich, i skinął głową w stronę młodej pokojówki, stojącej w kącie pokoju. Poe strzepnął swoją serwetkę i zatknął ją za kołnierz koszuli. Bennett, mając w pamięci uwagi Georgette na temat Anglików i ich obyczajów, poszedł za jego przykładem.

Poe zatarł ręce.

- Ma pan dzisiaj szczęście, panie Bennett. Właśnie dojadamy ostatnie trufle. To moja wielka słabostka. Jestem pewien, że wie pan o nich wszystko.

- Co nieco. W tej chwili są trochę nie na moją kieszeń.

Poe skinął głową ze zrozumieniem.

- W poprzednim sezonie szły po cztery tysiące franków za kilogram. Moi znajomi z Ameryki nie byli w stanie w to uwierzyć - czterysta dolarów za funt! I to jeszcze, jak mówi ten stary zbój z Carpen- tras, „po znajomości”. W Paryżu dwa razy tyle. W tym biznesie jest pełno łajdaków. Fascynujące. O, dzięki, Shimo. - Poe uniósł kieliszek z winem, obejrzał kolor pod światło, przysunął go do nosa i powąchał.

Bennett wyobraził sobie, że należy do kategorii ludzi, którzy odsyłają z powrotem wino we własnym domu, jeśli nie spełni ich oczekiwań.

- A więc? Na czym to stanęliśmy w pańskiej opowieści? O ile pamiętam, zniechęcono pana do kariery baletowej, ale wierzę, że nie załamał się pan mimo doznanego zawodu. Co było dalej?

Dalej był dłuższy okres dryfowania w różnych kierunkach, od zajęcia do zajęcia, od kraju do kraju. Uczył angielskiej literatury w niewielkiej prywatnej szkole w Connecticut, czerpiąc z tego dość mizerną satysfakcję, potem próbował szczęścia w public relations, by wreszcie podjąć pracę w londyńskiej firmie, zajmującej się produkcją filmową. To zajęcie polubił i był w tym na tyle dobry, że został wysłany do Paryża jako szef tamtejszego przedstawicielstwa. Rozkręcił interes, nabył akcje firmy i prosperował.

Poe uniósł dłoń.

- Niech pan tam sobie przez chwilę prosperuje, a my zajmijmy się tym. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy pozwolili im wystygnać.

Dziewczyna podająca do stołu postawiła przez nimi duże, białe talerze. Na każdym z nich, absurdalny na tle surowej elegancji porcelany, leżał owinięty w folię pakuneczek, nieco mniejszy niż piłka tenisowa.

- Wygląda to cokolwiek siermiężnie - powiedział Poe - ale jest praktyczne. Wewnątrz folii jest trufla i plasterek pasztetu z gęsich wątróbek. Przy podgrzewaniu pasztet się rozpuszcza i nasącza truflę. - Odwinął folię i pochylił głowę z ukontentowaniem - Mmm. Niech no pan to powącha.

Bennett usłuchał i wciągnął w płuca bogaty, dojrzały aromat, który uderzył go w nozdrza wraz z rozgrzanym powietrzem, wydobywającym się z otwartej folii. Czarny, bulwiasty kształt lśnił od roztopionego tłuszczu, brzydki, zachwycający i skandalicznie drogi.

Bennett oszacował go na jakieś ćwierć funta, czyli sto dolarów - „jak dla przyjaciół”.

- Fantastyczne, prawda? - powiedział Poe. - Teraz niech pan weźmie dobrą szczyptę tego. - Wskazał małe srebrne naczynie, stojące przed talerzem Bennetta. - To *fleur de sel*, „kwiat solny” z Guerande. Zbierają go tam każdego lata. Najlepsza sól we Francji.

Bennett posypał truflę grubą, szarobiałą solą, ukroił plasterk i wbił w niego zęby. Jadał już wcześniej truflę, ale nigdy nic tak okazałego, tak dostatniego, tak

bardzo dogadzającego podniebieniu. To było wspaniałe. Zauważył, że Chou-Chou atakuje swoją porcję, jakby nie miała nic w ustach od tygodnia, wycierając kawałkiem chleba resztki stopionego tłuszczu.

Bennett i Poe skończyli swoje trufle i pociągnęli po łyku wina.

Poe osuszył wargi serwetką i usiadł wygodnie.

- A więc prosperował pan?

Rzeczywiście prosperował przez kilka lat. Ale wraz z sukcesem i bezpieczeństwem finansowym pojawiła się choroba zawodowa. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, był znudzony i rozdrażniony nieustanną koniecznością głaskania pod włos swoich klientów, symulowania zainteresowania ich poglądami na film i proces twórczy podczas niekończących się lunchów, chuchania i dmuchania na reżyserów i modelki, znoszenia ich humorów. Czuł, że zmienił się w wysoko opłacaną niańkę. Tak więc pewnego pięknego kwietniowego dnia, kiedy myśl o kolejnym, długim, pracowitym lecie spędzonym w Paryżu, ciążyła mu niczym pokuta, postanowił z tym skończyć. Sprzedał akcje, sprzedał mieszkanie i wyruszył na południe. To tam, w barze portowym w Antibes poznał Edwarda Brynford-Smitha, jednego z mniej dystygowanych absolwentów Eton.

Na wzmiankę o Eton Poe się uśmiechnął.

- Też tam byłem, przypuszczalnie trochę wcześniej niż pański przyjaciel. Choć jest tam tyle tych podwójnych nazwisk, że człowiek może się pogubić. Przepraszam. Niech pan mówi dalej.

Brynford-Smith mawiał o sobie: człowiek-awizo. Żył z czeków przekazywanych mu sporadycznie przez rodzinny zarząd powierniczy, interesików, które udawało mu się od czasu do czasu zrobić na nieruchomościach, i tego, co zarobił, wynajmując się jako kapitan jachtów czarterowych. Był niewysoki, sympatyczny i jowialny, przynajmniej te jego cechy były widoczne na pierwszy rzut oka. Inne, jak umiejętność wyniuchania nadarzającej się okazji i wolny od wszelkich skrupułów brak uczciwości, nie rzucały się tak bardzo w oczy i któregoś wieczoru Bennett przyłapał się na tym, że kiwa aprobująco głową, kiedy Brynford-Smith roztaczał przed nim perspektywy wygodnego życia w nieustannym słonecznym blasku: latem na Lazurowym Wybrzeżu, zimą na Karaibach. Wszystkim, czego potrzebowali, był jacht.

Bennett kochał morze: jego widok, jego szum, morskie kąpiele. Ale nienawidził jachtów. Uważał je za niewygodne i przyprawiające o klaustrofobię. Odstęczał go brak prywatności, niemożność opuszczenia łodzi oraz owa przemiana, w wyniku której szyper, dotąd sympatyczny facet, przedzierzgał się w ryczącego paranoika, współczesną wersję kapitana Bligha<sup>\*2</sup>, kiedy tylko tracono z oczu stały ląd. Mimo wszystko, jak podkreślał Brynford-Smith, jacht, który można wynajmować przez dziesięć miesięcy w roku („murowane, chłopie, na bank”), to atrakcyjny biznes. Bennett połknął przynętę, włożył w jacht wszystkie pieniądze, jakie miał, po czym uzgodnili, że przyleci w późniejszym terminie na Barbados, żeby dołączyć do swojego współnika. I tyle go widział od tamtej pory.

Poe zmarszczył czoło, czy to pod wpływem współczucia, czy dezaprobaty dla takiego braku rozwagi w interesach.

- Ale przecież musieliście panowie mieć jakąś formalną umowę?

- Och, wielostronicową - potwierdził Bennett. - Ale formalne umowy są przewidziane dla ludzi przestrzegających prawa. Nie na wiele się przydają, kiedy twój współnik daje nogę wraz z kapitałem, a ty nie wiesz, gdzie go szukać.

Chou-Chou słuchała uważnie, bawiąc się złotym łańcuchem, otaczającym smukłą kolumnę jej szyi.

- Czy nie mógłby pan go poszukać? Jak można schować coś tak dużego jak jacht?

- Na Karaibach można by schować małą flotę. Poza tym, jeśli mam być szczerzy, wyprztykałem się do czysta.

- Wyprztykał się pan? - Dziewczynę zawiodła jej angielszczyzna. - Co to znaczy wyprztykać się?

- *Fauche*, moja droga - wyjaśnił Poe. - Splajtować. - Cóż, panie Bennett, musimy zobaczyć, co da się w tej sprawie zrobić. Przynajmniej możemy zadbać, żeby dzisiaj nie wyszedł pan od nas głodny.

Podano następne danie, gęste, ciemne *daube* z wołowiny, wina, bekonu, czosnku, marchwi, ziół i oliwek, parujące i wonne. Mięso było niemal czarne.

---

<sup>2</sup> \*Mający swój historyczny pierwowzór czarny charakter, negatywny bohater słynnego osiemnastowiecznego buntu na „Bounty”, którego temat podejmuje ponad 200 książek i 5 filmów .



-To popisowe zimowe danie naszej kucharki. Przygotowuje się je przez cztery dni. Marynowało się od weekendu. Notabene, niegodziwa kobieta wyciąga mi na ten cel moje najlepsze wino. Przekona się pan, że to jest niesamowicie smaczne.

Bennett skosztował delikatnego, pikantnego mięsa i uderzyła go myśl, że Anglicy z wyższych sfer nader często poprzedzają swoje zachwyty jakimś słówkiem o negatywnej wymowie: piekielnie ładna, straszliwie zdolny, okropnie miły. Podzielił się tym spostrzeżeniem z gospodarzem, który pociągnął w zadumie łyk wina, nim odpowiedział.

- Interesujące, prawda? Londyński cockney czy farmer z Yorkshire nigdy by się tak nie wyrazili. Bernard Shaw pewnie potrafiłby to panu wyjaśnić. Być może ma to coś wspólnego z panicznym lękiem angielskiej klasy średniej przed niczym nieostudzonym entuzjazmem? Ale to naprawdę jest niesamowicie smaczne, nie uważa pan?

Bennett czuł, że sprawy idą w dobrym kierunku. Poe był miłym kompanem i wyglądało na to, że go polubił. Ale, poza tamtą wzmianką na temat Eton, bardzo niewiele ujawnił na swój temat, a jeszcze mniej na temat pracy, którą miał mu zaproponować. Już sam miał poruszyć tę sprawę, kiedy za krzesłem gospodarza pojawił się Shimo i szepnął mu coś do ucha. Poe zmarszczył brwi, po czym skinął głową i wstał.

- Przepraszam - powiedział. - Znów jeden z tych okropnych telefonów.

Bennett został sam z Chou-Chou, która zdążyła się rozprawić z porcją daube, mogącą zwalić z nóg drwala. Widywał już francuskie dziewczęta podobne do niej: piękne, smukłe i obdarzone apetytem, na widok którego inspektor Michelina wpadłby pod stół<sup>3</sup>. Przypuszczalnie sprawka galijskich genów. Bennett wrócił do wcześniejszej przerwanej rozmowy.

- Wspomniała pani, że pracowała jako modelka.

- Ach tak, byłam dziewczyną od Etoile. Wie pan? Duża firma kosmetyczna. Wykupują prawo do twojej twarzy na trzy lata. Wyłączne. Płacą ci *une grosse for-*

---

<sup>3</sup> \*Michelin - renomowane francuskie wydawnictwo, wydające co roku przewodnik po hotelach i restauracjach, zatrudniające kilkuset inspektorów, którzy incognito sprawdzają jakość świadczonych przez restauratorów usług. Zobacz też Peter Mayle, „Lekcje francuskiego”.

*tune* i potem możesz sobie kupić stadninę koni i osiaść na laurach. Tylko że w moim wypadku tak nie było.

- Co się stało?

Chou-Chou wyjęła papierosa ze srebrnego pudełeczka, leżącego obok niej, i zapaliła go, zanim Bennett zdążył zrobić szarmancki i być może przy okazji niebezpieczny użytek z którejś ze świec. Wydmuchnęła dym w kierunku sklepionego sufitu.

- Poznałam Juliana sześć miesięcy po podpisaniu umowy. Nie chciał, żebym pracowała.

- Więc?

- Dogadał się z zarządem Etoile. No i koniec, kropka.

- Nie rozumiem.

- Wykupił kontrakt.

Zamożność gospodarza, i bez tego szacowana wysoko, podskoczyła w kalkulacjach Bennetta o parę milionów. Supermodelki na wyłącznych kontraktach, o czym wiedział, mając z nimi do czynienia w poprzedniej pracy, zarabiały rocznie okrągłe, siedmiocyfrowe sumki.

- Wygląda na to, że jest człowiekiem, który dostaje to, czego chce.

Chou-Chou skinęła głową.

- Zawsze.

Pokojówka weszła, żeby sprzątnąć po kolacji. Kiedy Poe wrócił do stołu, Bennett, objedzony świeżym kozim serem i gruszkami, słuchał zafascynowany ploteczek Chou-Chou na temat jej koleżanek z branży, z których większość wydawała się uzależniona albo od heroiny, albo od swoich dermatologów.

Poe przysłuchiwał się przez chwilę, po czym spojrzał na zegarek.

- Kochanie, przykro mi przerywać tę niezmiernie interesującą litanię ludzkich przywar, ale pan Bennett i ja musimy porozmawiać. - Uśmiechnął się do niej, muskając jej policzek grzbietem dłoni. - Zobaczymy się później. - Odwrócił się do Bennetta - Będzie nam wygodniej w salonie.

Bennett odsunął się na bok, przepuszczając w drzwiach Chou- Chou.

- Ukłony dla pani dermatologa. Czy on się przypadkiem nie nazywa *monsieur Peau*\*<sup>4</sup>?

Dziewczyna zachichotała.

- Dobranoc, panie Bennett. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Poe skrzywił się na tę facecję i poszedł przodem w stronę salonu, zatrzymując się przy stoliku stojącym za kanapą.

- Kawa? Koniak? Proszę się obsłużyć i to samo dla mnie. - Podczas gdy Bennett krzątał się przy filiżankach kawy i pękatych kieliszkach do koniaku, zastanawiając się, czy jego gospodarzowi zdarzało się kiedykolwiek zrobić coś sobie samemu, Poe podszedł do dużego nawilżacza w kącie pokoju. - Ma pan ochotę na cygaro? Mogę je polecić. To cohiby. Ulubiona marka Fidela, zanim rzucił palenie.

- Z przyjemnością zapalę - powiedział Bennett. - Czy można je tutaj dostać?

- Nie mam pojęcia. Na szczęście Castro mi je podsyła. Od czasu do czasu robimy razem jakiś interes. Kuba się zmienia. Ciekawe miejsce. - Przyciął dwa cygara i podał jedno z nich Bennettowi.

Dwaj mężczyźni usadowili się w fotelach. Dym unosił się w górę, rozsnuwając błękitne cienie na tle ognia. Nastąpiła chwila pełnej ukontentowania ciszy, kiedy pierwszy łyk koniaku spływał w dół przełyku, aksamitny i rozgrzewający.

- Jedno, ostatnie pytanie - powiedział Poe. - Jeżeli mamy razem pracować, myślę, że możemy sobie darować formalności. Nie mogę wciąż zwracać się do pana per „panie Bennett”. Jak ma pan na imię?

- Prawdę mówiąc, nigdy go nie używam. - Bennett dmuchnął delikatnie w rozżarzony koniec swojego cygara. - To był genialny pomysł mojej mamy. Najadłem się wstydu w szkolnych latach, po czym się z nim rozstałem.

- Niech zgadnę - przerwał mu Poe. - Coś włoskiego i niezbyt odpowiedniego?

- Luciano.

---

<sup>4</sup>\* Peau - skóra (franc.). Wymawia się podobnie jak angielskie „Poe”.

- Rozumiem. Cóż, wobec tego pozostaniemy przy Bennecie. - Poe odstawił swój kieliszek. - A więc do rzeczy. To, o czym myślę, nie jest konwencjonalnym zajęciem, ale sądząc z tego, co mi pan opowiedział o sobie, nie powinno to panu przeszkadzać. Proszę się nie niepokoić, nie chodzi o poważne rozmijanie się z prawem. - Poe zawiesił głos i uśmiechnął się. - W każdym razie nie z pańskiego punktu widzenia.

TLR

- Istnieją interesujące dane statystyczne - powiedział Poe - mające związek z tym, co chciałbym panu zaproponować. Otóż blisko czterdzieści procent wszystkich zatrudnionych we Francji to ludzie na posadach państwowych. Z pewnością pamięta pan z czasów spędzonych w Paryżu, co to oznacza dla uczciwie pracujących ludzi, takich jak pan i ja?

Bennett skinął głową. Pamiętał zalew skomplikowanych formularzy, „papierową biegunkę”, jak to nazywał, ponure lenistwo nadętych biurokratów, godziny spędzone w ciasnych biurowych klitkach na dyskusjach w sprawie najnowszego zamachu fiskusa na dochody jego firmy.

- Zgadza się - potwierdził. - Był to jeden z powodów mojej rezygnacji. Tonąłem po uszy w biurokracji.

- Otóż to. Wszystkim tym milionom irytujących drobnych prze- kładaczy papierków trzeba wypłacić pensje, zafundować opiekę zdrowotną, pięciodniowy urlop oraz indeksowaną emeryturę. - Poe strzepnął popiół ze swojego cygara. - Wspaniały system, o ile jest pan jednym z jego beneficjentów, ale cholernie kosztowny dla całej reszty. Czy zna pan wysokość francuskich stawek podatkowych dla ludzi winnych takiej zbrodni, jak przyzwoity dochód? Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt procent. Czasem więcej - urwał i przysunął do twarzy swój kieliszek koniaku, pocierając go lekko o policzek.

- To prawda - powiedział Bennett. - Ale wszyscy oszukują.

Poe się uśmiechnął.

- No właśnie. I z pańską pomocą zamierzam się do nich przyłączyć. Jeszcze jeden koniak?

Bennett przyniósł karafkę i patrzył, jak jasnozłoty płyn spływa, wirując, na dno kieliszków. Myśl, że on, niemal kompletnie splukany eksdozorca-wolontariusz mógłby pomóc komuś takiemu, jak Poe, była dziwnie satysfakcjonująca i Bennett postanowił sobie w duchu przyjąć jego ofertę, na czymkolwiek by miała polegać.

Poe podziękował mu i ciągnął dalej.



- Od paru lat posiadam mieszkanie w Monako, gdzie władze mają znacznie rozsądniejsze podejście do kwestii podatku dochodowego. Ale są dwa małe problemy. Po pierwsze, moje odczucia, jeśli chodzi o Monako, bardzo przypominają to, co pan czuje wobec jachtów: za ciasne i zdecydowanie zbyt zatłoczone. A po drugie, pomimo wszystkich tych biurokratycznych nonsensów bardzo lubię mieszkać we Francji. Ograniczanie mojego pobytu do sześciu miesięcy w roku jest męczące i niewygodne.

Wiedza Bennetta na temat restrykcji podatkowych, nakładanych przez państwo na bogatych obywateli, była raczej pobieżna.

- Dlaczego do sześciu miesięcy w roku?

- Jeżeli przekroczę ten limit - nawet o jeden dzień - jestem, z punktu widzenia fiskusa, uważany za stałego mieszkańca Francji, czy mi się to podoba, czy nie. - Poe zaciągnął się głęboko cygarem i wypuścił kółeczko dymu, Bennett zauważył bez zdziwienia, że było idealnie okrągłe. - Jak pan wie, nie ma oficjalnej granicy pomiędzy Monako i Francją. Żadnych kontroli celnych, paszportów, procedury imigracyjnej. Dlatego władzom trudno dokładnie ocenić, ile czasu człowiek faktycznie tam spędził.

- I, jak rozumiem, nie zamierzają wierzyć nikomu na słowo?

Poe wstał, zwrócony plecami do ognia i spojrzał na Bennetta, kręcąc powoli głową.

- To nie jest tak. Widzi pan, nie do nich należy udowodnienie, że pan nie mieszkał w Monako, to pańską rzeczą jest udowodnić, że pan tam mieszkał. I, w prawdziwie francuskim stylu, zastrzegają sobie prawo interpretowania wszelkich wątpliwości na pańską niekorzyść. Rozumie pan, na czym polega problem?

- Oczywiście - zapewnił Bennett. - Ale w jaki sposób może pan udowodnić, że pan tam mieszka? Meldować się u księcia Rainiera? Zgłaszać się codziennie na komisariat?

- Na szczęście nie jest aż tak źle. Ale musi pan pozostawić wyraźne, niebudzące wątpliwości ślady swojego pobytu: rachunki z restauracji, mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu, kwity z warsztatów samochodowych, z pralni, od dostawców wina, tego typu sprawy. I musi pan nakręcić solidny rachunek telefo-

niczny. Wie pan, jak francuskie władze kochają rachunki telefoniczne. Innymi słowy, w świetle papierków musi to być wiarygodny stały pobyt.

- Ach tak - mruknął Bennett.

- Widzę, że coś nam zaczyna świtać.

- Mam być panem.

- Na papierze. Przez najbliższych sześć miesięcy, potem zobaczymy, co dalej. Będę panu co miesiąc wypłacał należność w gotówce, dzięki czemu uniknie pan wszelkich problemów podatkowych. Oczywiście, będzie pan mieszkał w moim apartamencie w Monako. Będzie pan jeździł moim samochodem, otwierał rachunki na moje nazwisko u tamtejszych dostawców i w dwóch lub trzech restauracjach, sygnował wszystko moim podpisem. Dam panu egzemplarz na wzór. Przekona się pan, że łatwiej go podrobić, kiedy się go odwróci do góry nogami. Opanuje to pan w kilka godzin. - Poe uśmiechnął się do Bennetta i rozłożył szeroko ręce. - Niezbyt uciążliwa praca, przyzna pan? A korzyści, że tak powiem, „nieoszacowane”. Myślę, że to odpowiednie słowo.

Bennett dopił swój koniak, przezwyciężył pokusę nalania sobie kolejnej lampki i próbował nie okazywać podniecenia wobec perspektywy otrzymywania wynagrodzenia za to, że będzie żył jak milioner. Oczywiście, wszystko to było szachrajstwo, ale wymierzone w kogoś, kto sobie na to w pełni zasłużył.

Poe storpedował jego dobre chęci, wlewając kapkę koniaku w jego kieliszek.

- I jak to się panu podoba? Pytania? Zastrzeżenia?

- Cóż, muszę przyznać, że miałbym kilka. No więc pan mnie dopiero poznał i już czyni mnie pan swoim wspólnikiem w kombinacjach podatkowych?

- Przejmuje się pan tym? Sam pan powiedział, że wszyscy oszukują. Czy naprawdę będzie to miało znaczenie dla kogokolwiek, oprócz pana i mnie? Czy Francja upadnie? Czy emeryci zostaną wyrzuceni na bruk? Czy szpitale zostaną zamknięte? Czy będzie ogólnonarodowa katastrofa i frank poleci na łeb na szyję? Czy prezydent będzie musiał zrezygnować ze swoich czterodaniowych obiadków u Lipa, czy gdzie tam ostatnio jada?

- Nie - powiedział Bennett. - Jeśli o to chodzi, to nie przypuszczam.

- Więc skoro uzgodniliśmy, że nasze społeczne sumienie jest czyste, to cóż jeszcze może nas niepokoić? Ryzyko wpadki?

- Zawsze istnieje.

- Minimalne - zapewnił go Poe. - O ile, rzecz jasna, któryś z nas nie okaże się niedyskretny. - Uśmiechnął się, unosząc znacząco brew. - Mogę panu obiecać, że to nie będę ja.

- Ale założmy, tylko teoretycznie, założmy, że w takiej sytuacji to ja okazałbym się niedyskretny. No więc... - Bennett ciągnął dalej, ośmielony po koniaku - ...założmy, że odrobnię swoje sześć miesięcy, a potem... no, wywinę panu jakiś numer. Zacznę pana szantażować czy cokolwiek. Jak może mi pan ufać, że czegoś takiego nie zrobię?

Poe westchnął, jak gdyby wyjaśniał proste zagadnienie tępemu dziecku.

- Interesy nigdy nie powinny się opierać na zaufaniu, o czym, zdaje się, miał pan okazję się przekonać w związku ze swoim przyjacielem Brynford-Smithem. - Przyglądał się Bennettowi przez dłuższą chwilę, czekając, aż jego słowa do niego dotrą. - Wiem, że rozmawiamy teoretycznie, więc niech pan tego nie bierze do siebie. Ale gdyby pan zrobił coś... niestosownego, wyparłbym się jakiegokolwiek znajomości z panem i oskarżył pana o fałszerstwo, kradzież oraz o podszywanie się pod moją osobę. Byłoby to dla mnie nużące i żmudne, ale dla pana znacznie gorsze. Moi prawnicy nie są przyjemniaczkami, a francuskie więzienia - w najwyższym stopniu niemile. Tak słyszałem.

Bennett zamrugał oczami.

- Mógłbym prysnąć z kraju.

- A ja mógłbym pana znaleźć. A raczej Shimo mógłby pana znaleźć. To człowiek o bardzo długich rękach.

Bennett wyobraził sobie nagle, co by z nim zrobił ów poruszający się bezszelstnie Japończyk, i nie było to podanie mu kieliszka szampana. Spojrzał w sympatyczne, zrelaksowane oblicze Juliana Poe. Życzliwy ton i czający się za nim złowróżbny podtekst stanowiły w ustach tego człowieka nieporównanie bardziej sugestywną kombinację niż otwarta groźba.

Poe się roześmiał, podszedł do Bennetta i poklepał go po ramieniu.

- Ale nie psujmy sobie miłego wieczoru. To byłby nasz mały sekret, drobne udogodnienie, korzystne dla obu stron. Proszę pomyśleć: spędziłby pan lato w komforcie, mając pieniądze w kieszeni. Ja mógłbym zostać tutaj, gdzie zostać pragnę. Jedynym człowiekiem, który by na tym ucierpiał, byłby poborca podatkowy, a mam uczucie, że obaj byliśmy dla niego w przeszłości aż nadto hojni. - Poe przeciągnął się po raz ostatni cygarem i wrzucił niedopałek do ognia. - I kto wie? Może mógłbym panu pomóc odszukać pańskiego nieuchwytnego przyjaciela żeglarza. Znam parę osób na Karaibach.

Bennett wyobraził sobie siebie w Monako - wypłacalnego, od- karmionego, dysponującego czasem, żeby przemyśleć resztę swojego życia. Jaką miał alternatywę? Praca w biurze, o ile uda mu się ją znaleźć. Obwożenie saudyjskiego księcia po bulwarze La Croisette. Albo kolejne lato przebiedowane w Luberon. Do licha, czy to nie była właśnie taka okazja, na jaką liczył, kiedy zamieszczał swoje ogłoszenie? Dlaczego z niej nie skorzystać? Dlaczego nie skosztować dla odmiany bez-troskiego życia?

Podniósł wzrok i spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę.

- Zgoda.

- Ogromnie się cieszę. - Kolejne klepięcie po ramieniu. - Proszę zostawić swój adres, rano przyślę Shimo, żeby pana wprowadził w szczegóły. - Poe przeciągnął się i ziewnął. - Będzie mi pan musiał wybaczyć, ale potrzebuję swoich ośmiu godzin snu.

Wyszli w chłód i ciszę nocy pod czarny, przepastny, ponakłuwa- ny punkci- kami gwiazd nieboskłon. Bennett obejrzał się, siedząc w samochodzie, i zobaczył ciemną sylwetkę w obramowaniu jasno oświetlonych drzwi, z ręką uniesioną poże- gnalnym gestem. Wyjechał z dziedzińca i wielkie, drewniane wrota zasunęły się za nim. Od początku do końca był to perfekcyjnie zaaranżowany wieczór, równie per- fekcyjny jak - był o tym przekonany - wszystkie wieczory u Juliana Poe.

Shimo zaparkował swojego wielkiego citroena przy głównym placu wioski i poszedł pieszo w górę ulicy. Jego egzotyczny wygląd i oficjalny czarny garnitur ściągnęły na siebie uwagę grupki kobiet, ucinających sobie pogawędkę pod skle- pem spożywczym. Przerwały rozmowę i gapiły się na niego otwarcie, odprowadza- jąc go wzrokiem, ciekawe, w którą stronę pójdzie. Pokiwały do siebie głowami, kiedy skręcił w uliczkę, prowadzącą do domu Bennetta. Później zapytają Georgette,

co za interes mógł mieć taki gość do jej Anglika. Shimo nie zwracał na nie uwagi. Był przyzwyczajony do niedyskretnych spojrzeń, tak charakterystycznych u tej pozabawionej elementarnych manier białej rasy.

Zapukał do drzwi. Bennett otworzył i dwaj mężczyźni z powagą wymienili ukłony.

- *Bonjour, monsieur* Bennett.

- *Bonjour, monsieur* Shimo.

- *Bonjour, bonjour.* - Georgette pojawiła się w kuchennych drzwiach, z oczyma roziskrzonymi ciekawością pod daszkiem bejsbolowej czapki - *Alors, un petit cafe?*  
- Wróciła do kuchni i wyłączyła radio, żeby nie przeszkadzało jej podsłuchiwać. Bennett drapał się po głowie, podczas gdy Shimo patrzył na niego beznamiętnym wzrokiem. Georgette, jako nieoficjalny uczestnik spotkania, a następnie wiejski sprawozdawca, zapewniłaby im taką samą dyskrecję, co komunikat nadany w głównym wydaniu wiadomości. Przeniesienie się do kawiarni było niewiele lepszym rozwiązaniem. Bennett spróbował zmienić język.

- Mówi pan, zdaje się, po angielsku?

Ledwie dostrzegalny ślad uśmiechu.

- Oczywiście. Mówię wszystkimi europejskimi językami.

Bennett uśmiechnął się z ulgą.

- Wobec tego będziemy rozmawiać po angielsku. - Wskazał ruchem głowy drzwi do kuchni. - Ona nie rozumie ani słowa. Siadajmy, proszę.

- Być może będzie pan chciał coś sobie zanotować - powiedział Shimo. - Wszystkie informacje są tutaj, nic na papierze, oczywiście - dodał, dotykając swojego czoła. - I zanim przystąpimy do rzeczy, będę musiał pana poprosić o zwrot listu, który pan otrzymał od naszego wspólnego przyjaciela.

Bennett poszedł po notatnik i list. Tymczasem wkroczyła z kawą Georgette i próbowała wciągnąć gościa w rozmowę. Wyszła naburmuszona, kiedy podziękował jej po angielsku.

- Proszę bardzo. - Bennett położył na stole niebieską kopertę i pchnął w stronę Japończyka.



Shimo sprawdził, czy list jest w środku, po czym włożył ją do kieszeni, zapalił papierosa i zaczął mówić ściszym, monotonnym głosem:

- Adres to Residence Grimaldi, avenue de Monte Carlo, tuż przy Place de Casino. Dwa ostatnie piętra. Samochód to ciemny mercedes 38 SL, z monakijską rejestracją. Przegląd miał zrobiony w ubiegłym tygodniu. Znajdzie go pan w podziemnym garażu. Obok jest wolne miejsce na pański samochód. Zostały otwarte rachunki w trzech restauracjach: w „Coupole”, w „Ludwiku XV” i w „Roger Verge Cafe”. Niech pan tam zamawia swoje posiłki. Kiedy pan otrzyma rachunki pod koniec miesiąca, proszę do mnie zadzwonić i podać mi kwoty. Czeki będą przychodziły do pana, a pan będzie je wysyłał z poczty w Monako. To samo dotyczy rachunków za telefon i za elektryczność i mandatów za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Niech pan się koniecznie postara o trzy lub cztery w miesiącu. Jak dotąd, wszystko jasne?

Bennett podniósł głowę znad notatek.

- Nie wydaje się to zbyt uciążliwe. Proszę mi powiedzieć, czy ktoś przychodzi sprzątać mieszkanie?

Shimo zgasił niedopałek papierosa.

- Poprzednia gospodyni została odesłana z powrotem na Filipiny. Wynajmie pan inną. Nie ją - zaznaczył, wskazując ledwie dostrzegalnym ruchem głowy kuchenne drzwi. - Proszę płacić gotówką.

- O właśnie - wpadł mu w słowo Bennett. - To jest kolejna sprawa, którą chciałbym poruszyć. Prawdę mówiąc, w tej chwili trochę u mnie krucho z pieniędzmi. Rachunki do popłacenia tutaj...

Shimo uniósł dłoń i Bennett po raz pierwszy zauważył wydatne wybrzuszenie wokół kostek wskazującego i środkowego palca oraz pas stwardniałej niczym skorpupa skóry, biegnący wzdłuż zewnętrznej krawędzi dłoni Japończyka. Bardzo użyteczne, gdyby ktoś chciał rozbić cegłę. Albo złamać kark.

- Dwadzieścia tysięcy franków będzie dostarczane do mieszkania piętnastego każdego miesiąca. - Shimo wyjął z kieszeni zwykłą brązową kopertę. - Tu jest pierwsza wypłata. W środku są też kluczyki do samochodu i do mieszkania oraz podpis naszego przyjaciela. Zadzwonię do pana do Monako jutro o ósmej wiecz-

rem, żeby się upewnić, czy się pan zainstalował bez kłopotów. - Spojrzał na swój zegarek. - Jakież pytania?

Bennett studiował przez chwilę swoje notatki, po czym pokręcił głową.

- Nie. Wszystko wydaje się jasne.

Shimo wstał i Bennett odprowadził go do drzwi. Japończyk odwrócił się i skłonił głowę na pożegnanie.

- Życzę panu przyjemnego pobytu w Monako. - Nie wiadomo dlaczego w jego ustach zabrzmiało to jak rozkaz.

Kiedy Bennett wrócił do salonu, zastał tam już inspektora śledczego w bejsbolowej czapce. Wciąż nastroszona, Georgette zbierała na tacę filiżanki i patrzyła z dezaprobatą na zmiążdżony niedopałek papierosa Shimo.

- Aha - burknęła. - Japończyk. Na pewno macie ze sobą jakieś interesy.

Bennett zastanawiał się przez sekundę.

- Prawdę mówiąc, Georgette, myślę o kupnie samochodu. Toyoty. To bardzo dobre samochody. Bardzo solidne.

- Ale nie tanie. - Georgette nadstawiła ucha, oczekując dalszych informacji.

Bennett wziął głęboki wdech.

- Zgadza się. Ale będę miał dużo jeżdżenia przez najbliższych kilka miesięcy. W związku z tą robotą. Prawdę mówiąc, muszę wyjechać jutro. - Zobaczył, że oczy Georgette się zwięzają. - Nie martw się. Dopilnuję, żebyś dostała swoją wypłatę.

- A kto się zajmie pańskimi ubraniami? Kto będzie szorował i cerował? Kto będzie się cackał z pańskimi koszulami jak z niemowlętami, co?

- Tym też się nie martw. Będę mieszkał w hotelach.

Georgette wydeła usta i wydmuchnęła powietrze z wyrazem najwyższej dezaprobaty.

- Ci barbarzyńcy. Używają krochmalu, jakby to był dżem. Tak słyszałam.

Wieczorem, kiedy Bennett przygotowywał się do dłuższej nieobecności, Georgette poszła do „Cafe Crillon” na swoją dzienną rację anyżówki i ploteczek. Mon-

sieur Papin odpoczywał, jak zwykle, po wyczerpującym dniu, spędzonym na zdzieraniu „napiwków” ze swoich klientów i otwieraniu kopert nad parą. Trzy mieszkanki wsi zdążyły go już poinformować o cudzoziemcu, który tego dnia odwiedził Bennetta („Coś niesłychanego, Japonais w garniturze”), przysunął się więc boczkiem i stanął obok Georgette, gotów do wysłuchania oczekiwanych rewelacji.

- A więc, *ma belle* - szepnął konfidencyjnie, jakby proponował jej schadzkę za parkingiem - mieliście dzisiaj wizytę?

Georgette, nie chcąc się przyznać, zwłaszcza przed Papinem, którego nie cierpiała, że nie ma pojęcia, o czym jej gospodarz rozmawiał z gościem, odczekała chwilę, po czym posłała mu znaczące spojrzenie spod oka.

- Nie twój interes. Istnieje coś takiego jak prywatne sprawy. - Pociągnęła solidny łyk anyżówki i otrząsnęła się z lubością.

- Ten Japończyk miał *une grosse citroen*. I garnitur. To na pewno jakaś ważna osoba. Czyżby przyjaciel pana Benneta?

- Papin, powiem ci to, i ani słowa więcej. Pan Bennett wyjeżdża jutro na dłużej w pewnej sprawie. Nie jestem upoważniona, żeby cię wtajemniczać, w jakiej.

Papin skinął głową i postukał się palcem w skrzydełko nosa.

- Pewnie będzie chciał, żeby mu odsyłać korespondencję.

- Owszem - odparła Georgette. - Do mnie. Nieotwieraną, o ile to możliwe. - Opróżniła swoją szklaneczkę, stuknęła nią o blat i opuściła kawiarnię w nastroju całkiem miłej satysfakcji. Ten mały skurczybyk, usiłujący wtykać nos w jej sprawę! No, może niezupełnie jej, ale prawie.

Georgette się uparta, że obejmie pieczę nad pakowaniem, wkładając każdy but Bennetta do osobnego foliowego woreczka, owijając koszule w specjalną bibułę, tak samo postępując ze skarpetkami, bielizną i krawatami, cały czas mrucząc pod nosem na temat skandalicznej niekompetencji komercyjnych pralni i nieustannego zagrożenia ze strony żarłocznych moli, czających się w zakamarkach obcych i niewątpliwie kiepsko sprzątanym hotelowym szaf. Bennett żałował, że nie może jej zabrać ze sobą. Nigdy nie była dalej niż w Awinionie, godzinę drogi od St-Martin i dwupoziomowe mieszkanie w Monako byłoby dla niej jak inny świat.

- Będzie mi ciebie brakowało, Georgette.

Prychnięcie w odpowiedzi.

- Naprawdę. Ale będę w kontakcie. Jestem pewien, że uda mi się wpaść od czasu do czasu.

Georgette pociągnęła nosem, wygładziła ostatnią warstwę bibułki, oddzielającej trzy złożone w kostkę swetry, i zamknęła sfatygowaną skórzaną walizkę ze stęknieniem wyrażającym satysfakcję.

- *Voilà.*

Bennett sprawdził kieszenie marynarki, czując krzepiące wybrzuszenie pliku gotówki. Klucze. Paszport, na wszelki wypadek. Był gotów do drogi.

- Cóż - powiedział. - Trzymaj się ciepło.

- A gdyby ktoś o pana pytał? Co mam powiedzieć?

- Powiedz, że jestem w podróży. - Podniósł walizkę. - Przyślę ci pocztówkę. Mnóstwo pocztówek.

Georgette zrezygnowała z dalszych prób wyciągnięcia z Bennetta czegoś więcej na temat jego wyjazdu, jeszcze raz pociągnęła nosem i poklepała go szorstkim gestem po ramieniu.

- Niech pan nie zapomina zmieniać skarpetek.

Bennett trzymał się stałej prędkości siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę oraz zewnętrznego pasa autostrady, przepuszczając mercedesy i bmw, mijające w pędzie jego niewielki samochód ze wzgardliwym parsknięciem, wydobywającym się z rury wydechowej. Choć sezon dopiero się zaczynał, na drodze pełno było samochodów z niemieckimi i szwajcarskimi rejestracjami, których właścicielom śpieszno było do słońca po długiej, północnej zimie. Za tydzień lub dwa będą gnać z powrotem, z lekka przyrumienieni, do swoich biur w Monachium i klinik w Genewie, po czym zaczną myśleć o powtórzeniu tego samego w sierpniu. Bennett zaczął doceniać własną luksusową sytuację i czuł, jak wszystkie jego obawy związane z podjętą decyzją topnieją wobec perspektywy sześciu miesięcy dobrze opłacanego słońca. Jak Poe to określił? „Nieszkodliwe kłamstewko. Jedynym człowiekiem, który ucierpi, będzie poborca podatkowy”. Był to kuszący argument i Bennett nie widział w tym większego przestępstwa niż w licznych drobnych, kreatywnych poprawkach, praktykowanych na co dzień w wielkich korporacjach w imię świętej sprawy, jaką była wyższa dywidenda i usatysfakcjonowani akcjonariusze.

Spojrzał na zegarek, mijając drogowskaz w kierunku Cannes i Antibes. Za późno na lunch. Zresztą i tak pilno mu było zobaczyć swoje letnie lokum, poczuć ekskluzywną atmosferę miejsca, które Brynford-Smith zawsze nazywał, z nutką zazdrości w głosie, „plażą milionerów”, i zacząć żyć na poziomie Juliana Poe. W Niecei porzucił autostradę i jechał dalej szosą wijącą się wzdłuż wybrzeża, mijając Villefranche, Beaulieu i Eze, wspominając wszystkie miłe chwile, które spędził z różnymi dziewczynami w różnych hotelach, w czasach, kiedy uwieńczeniem udanej sesji zdjęciowej w Paryżu był obowiązkowo weekend spędzony na Riwierze. Szukanie interesujących plenerów, tak to nazywali, dopóki księgowy firmy tego nie ukrócił, kiedy Bennett usiłował raz podciągnąć kupno oraz konsumpcję półtorali-trowej butli margaux, rocznik 73, pod „posiłek regeneracyjny dla ekipy”.

Wjechał do Monako, czując się nagle cokolwiek siermiężnie w swoim małym zakurczonym samochodzie, skręcił w prawo, w ulicę prowadzącą w stronę portu i stanął, żeby się zorientować w sytuacji.

Monako jest maleńkie. Całe księstwo mieści się na obszarze mniej więcej rozmiarów Hyde Parku, toteż ekspansja i rozwój przez całe lata skierowane były wwyż i dziś większość około dwudziesto-tysięcznej monakijskiej społeczności mieszka w miniaturowych drapaczach chmur. Obywatel numer jeden, będąc księciem i aktualnym przedstawicielem najstarszej rodziny panującej na świecie, dysponuje większą przestrzenią życiową, mając do swojego użytku pałac z orkiestrą,

gwardią i baterią zabytkowych dział, mających odeprzeć ewentualnych najeźdźców, gdyby takowi zdecydowali się oderwać od stołów do gry. Policjanci są liczni i przyodziani w nieskazitelne mundury. Przestępczość jest czymś, o czym się czyta w zagranicznych gazetach. Monako jest miejscem, gdzie człowiek i jego pieniądze mogą zażywać spokoju.

Bennett objechał powoli port dookoła, skręcił w ulicę prowadzącą na wzgórze, na którym stoi kasyno, i odszukał zjazd do parkingu, znajdującego się w podziemiach Residence Grimaldi. Posłużył się kluczem, żeby otworzyć szlaban, ostrożnie ominął wysuniętą paszczę białego rolls-royce'a i wjechał na wolne miejsce obok mercedesa Juliana Poe. Wszystko było tak, jak zapowiedział Shimo. Wysiadł z samochodu i cofnął się o parę kroków, rozglądając się po pomieszczeniu, które mogłoby być podziemnym salonem sprzedaży ekskluzywnych samochodów. Jego peugeot był zdecydowanie najmniejszy i z całą pewnością najbrudniejszy ze wszystkich wehikułów, znajdujących się w zasięgu wzroku. Zaczął się zastanawiać, czy w Monako można dostać mandat za posiadanie nieumytego pojazdu.

Wyłożona lustrami oraz wykładziną dywanową winda uniosła go na najwyższe piętro z pełnym rezygnacji hydraulicznym westchnieniem, jak gdyby nie przywykła do wożenia takich starych i wysłużonych walizek. Bennett minął niewielki hol, wyjął klucz i otworzył drzwi, niemające żadnych znaków szczególnych poza okrągłym, czarnym okiem judasza.

Poe był najwyraźniej człowiekiem lubującym się we wspaniałych widokach. Przez szklaną ścianę, oddzielającą salon od tarasu, przyozdobionego donicami geranium i oleandrów, Bennett widział w oddali ruchliwą, migotliwą taflę Morza Śródziemnego, skrzącą się w popołudniowym słońcu. Pokój był chłodny i nowoczesny - szkło, polerowana stal i skóra - pozbawiony jakichkolwiek osobistych akcentów poza kilkoma książkami, stosem płyt kompaktowych obok stereofonicznego radia oraz kolekcją oprawionych, podpisanych plakatów reklamowych z lat trzydziestych, zachwalających uroki zimy w Cannes i Monte Carlo. W przeciwległym rogu salonu widniały spiralne schody, prowadzące na dół, gdzie Bennett stwierdził, że całe piętro zostało wypatroszone i przerobione na jeden gigantyczny, jednoosobowy moduł sypialny, złożony z łazienki, garderoby i właściwej sypialni. W najwyższym stopniu egoistyczne i komfortowe rozwiązanie, w którym nie przewidziano możliwości noclegu dla ewentualnych gości, niezamierzających dzielić łoża z gospodarzem. Bennett postawił walizkę na podłodze, otworzył przesuwane drzwi i znalazł się na drugim, nieco mniejszym tarasie, tym razem wychodzącym



na wschód. Taras do podziwiania wschodu słońca. Powietrze było łagodne, o dobrych dziesięć stopni cieplejsze niż w górskim rejonie Vaucluse, i kiedy patrzył w dół na żaglówki halsujące po lśniących wodach zatoki, poczuł, że szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło. Lato spędzone tutaj nie zapowiadało się zbyt uciążliwie.

Rozpakowanie walizki mogło poczekać. Były pilniejsze sprawy do załatwienia, trzeba było wypróbować mercedesa, zainkasować mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Zjechał windą do garażu i spędził kilka minut, siedząc w samochodzie Juliana Poe, ustawiając oparcie fotela i lusterka, wdychając z lubością woń skórzanej tapicerki, słuchając miłego dla ucha, solidnego odgłosu zatraskiwanych drzwi, przywodzącego na myśl zamykające się drzwi sejfu, a później zwielokrotnionego echem ryku, kiedy zapalił silnik. To był zupełnie inny świat niż jego osek peugeot, świat zachęcający do innego, bardziej zrelaksowanego stylu jazdy. Pierwszeństwo przejazdu wydawało się przypisane do samochodu. Bennett zauważył, że inni kierowcy traktują go z niezwykłą rewerencją. A może po prostu przepychanki na jezdni, podobnie jak przestępczość, ubóstwo i podatek dochodowy, nie miały prawa zakłócać przyjemnego, uporządkowanego rytmu życia Monako.

Bennett zrobił kilka postojów: żeby kupić wino, kawę, chleb, mleko oraz parę okularów słonecznych od Armaniego dla uczczenia swojego przyjazdu, ale nie udało mu się zarobić mandatu. Czyżby takie sprawy nie imaly się mercedesa? Postanowił wystawić pobłażliwość policji na próbę i zostawił samochód naprzeciw schodów prowadzących do kasyna, a sam poszedł do „Cafe de Paris” po drugiej stronie ulicy, zatrzymując się przy wejściu, żeby kupić słynny przewodnik po restauracjach Gaulta Millau. Wybrał stolik na tarasie i zamówił piwo u kelnera, na którego twarzy widniał jeszcze uśmiech znamionujący początek sezonu, mający zamienić się w sierpiu w grymas chronicznego przemęczenia.

Siedząc w słońcu, podziwiał roztaczający się przed nim imponujący widok. Na lewo rokokowa bryła „Grand Casino”, nazwanego niegdyś przez swoich co bardziej pechowych klientów piekielną katedrą, na prawo posągi oraz skrupulatnie strzyżone i podlewane ogrody należące do kasyna, gdzie armia ogrodników przesuwiała się wolno wśród palm w poszukiwaniu jakiegokolwiek chwastu, który byłby na tyle głupi, żeby próbować szczęścia w tak eksponowanym miejscu. Dokładnie naprzeciwko widniał „Hotel de Paris”, miejsce narodzin słynnych płonących naleśników *crepe Suzette*, bardzo dogodnie położony, gdyby któryś z gości chciał pilnie zainwestować w ruletkę lub w oczko. Bennett zaobserwował chwilowe poruszenie, kie-

dy w drzwiach hotelu pojawił się nadzwyczaj posunięty w latach mężczyzna w towarzystwie młodej, nadzwyczaj platynowej blondynki, zmarszczył się na widok słońca, po czym ruszył wolniutko w stronę kasyna, gdzie usłużne, wprawne ręce niemal go wniosły po schodach i dalej, w wieczny półmrok salonów gry.

Piwo zostało podane, a wraz z nim rachunek informujący Bennetta, że będzie go kosztowało trzydzieści franków, dokładnie trzy razy tyle, ile Leon liczył sobie za to w kawiarni w St-Martin. Co tam! Tego dnia miał nie tyle płacić, ile składać swój podpis. Zaczął wertować przewodnik w poszukiwaniu natchnienia. Przestudiował opisy trzech restauracji, które wybrał Poe, i postanowił zacząć od szczytu, czyli od kuchni Alaina Ducasse'a w „Ludwiku XV”, jednej z kilkunastu restauracji we Francji, której przyznano dziewiętnaście na dwadzieścia możliwych punktów, i niemal z całą pewnością jednej z najdroższych, w jakich jadał od wielu, wielu lat. Cieszył się, że podarował sobie lunch.

Myśl o kolacji przypomiała mu także o jego zadaniu domowym - niewinnej zabawie w fałszerza, czyli wdrożeniu ręki do zygzaków i zawijasów podpisu Juliana Poe. Dał napiwek kelnerowi, który skinął głową w podzięcie, po czym wrócił do mercedesa, gdzie wreszcie znalazł mandat za wycieraczkę. Wsunął go do kieszeni w poczuciu spełnionej misji i pojechał do swojego nowego domu, znajdującego się za rogiem.

Taras wciąż jeszcze skąpany był w wieczornym słońcu, którego ostatnie promienie kładły się złotą poświatą na ścianach salonu. Bennett przejrzał kolekcję płyt gospodarza, głównie muzykę operową, zastanawiając się mimochodem, czy w którymś z chórów nie śpiewa przypadkiem jego matka, i zdecydował się na wybór arii w wykonaniu Mirelli Freni. Odpowiednie tło muzyczne do podrabiania podpisów, pomyślał. Czy to, co zamierzał zrobić, było przestępstwem, czy też przyzwolenie właściciela podpisu rozgrzeszało fałszerza? Cóż, pytanie czysto akademickie. Jest tu, w Monako, i ma być Julianem Poe. Usadowił się na kanapie przed stolikiem do kawy, z bloczkiem papieru i wzorem podpisu, odwracając go z początku do góry nogami, tak jak mu radził Poe. Przypomniały mu się szkolne czasy, kiedy miał za karę napisać sto razy: „Nie będę rozmawiał na lekcji. Gadatliwość jest wrogiem wiedzy”. Cóż, skopiowanie czterech marnych liter wydawało się mniej uciążliwym zadaniem i po godzinie jego wersja podpisu wystarczająco przypominała oryginał, aby nie wzbudzić podejrzeń znudzonego kelnera.

Jego uwagę zwróciła jedna z książek leżących na stole - kwadratowy, czarny tom z fotografią sękatej, uwalanej ziemią dłoni, trzymającej nakrapianą, czarną bulwę. Tytuł, biały na czarnym tle okładki, brzmiał: „LA TRUFFE, albo tajemnice czarnego diamentu”. Bennett zaczął przerzucać stronicę. Zdjęcia psów grzebiących w ziemi, dalsze brudne ręce, dzierżące trufle lub pliki banknotów, pobrużdżone, ogorzałe twarze. I na początku rozdziału zatytułowanego „Trufle i szwindle” kilka stron zapisanych czarnym atramentem, zdecydowanym pismem Juliana Poe, zawierających notatki i liczby. Zaciekawiony, zabrał je ze sobą, żeby przeczytać przy kolacji.

Jego wiedza na temat trufli nie ograniczała się do okazjonalnej, ekstrawagancjkiej uczy. Nie sposób było żyć krócej lub dłużej we Francji i nie zdawać sobie sprawy z wagi, wręcz rewerencji, z jaką traktowano te grzyby o intensywnym zapachu - owe czarne, bezkształtne klejnoty w koronie francuskiej gastronomii. Ich ceny były monitorowane w gazetach, ich jakość, zmieniająca się z roku na rok, była przedmiotem ożywionych dyskusji w barach i restauracjach całego kraju. Ich wyższość nad białymi włoskimi truflami była głoszona przez smakoszy-patriotów od Lille po Carcassonne, i oby Bóg miał w swojej opiece śmiałka, który odważyłby się podać to w wątpliwość. W krajach anglosaskich istnieje powiedzenie, że schludność to największa cnota po pobożności, ale Francuzi dają pierwszeństwo żołądkowi przed mydłem i wodą, a trufla jest ikoną. Nie jest tajemnicą, że wiejski kościółek w St-Martin bywał świadkiem takich ceremonii, jak truflowa msza święta, odprawiana dla uczczenia wyjątkowo udanego sezonu. Innymi słowy, grzyby te bardzo przypominały obiekty kultu religijnego, mając ów dodatkowy, szczególny powab rzeczy nieprawdopodobnie, niewyobrażalnie drogiej. Albo, przy odpowiednich znajomościach, darmowej.

Bennett spędził kiedyś przejmująco zimny styczeń na stokach Mont Ventoux z wujem Georgette, Bertrandum, którego zimowym zajęciem zawsze było truflowe kłusownictwo. Cała wieś o tym wiedziała. Cała wieś milczała, przekupiona przez Bertranda, który roztropnie dzielił swoje łupy. Nigdy ich nie sprzedawał. Łowiecki dreszczyk, towarzyszący poszukiwaniom trufli, radość, że nie trzeba za nie płacić, i rozkosz, jaką stanowiły dla podniebienia, były wystarczającą nagrodą. Wuj Bertrand pracował z krótkołąpą, muskularną jamniczką i Bennett wciąż miał przed oczyma tę parę: mężczyznę na czworakach, badającego ostrożnie ziemię końcem kija, i obserwującego go psa, zastygłego w pełnym napięcia oczekiwaniu. To był

dobry dzień, zakończony w kuchni Bertranda najsmaczniejszym omletem, jaki jadł w swoim życiu. Wspomnienie tamtej uczty kazało mu sięgnąć po telefon.

Zarezerwował stolik w „Ludwiku XV” i sprawdził, czy rachunek został otwarty.

- Oczywiście, monsieur Poe, oczywiście. Do zobaczenia - powiedział zawodowo uprzejmy głos w słuchawce.

Jacyz ci ludzie są mili dla bogatych, pomyślał Bennett i zszedł na dół wziąć prysznic, witany dźwiękami „Traviaty” dochodzącymi z głośników zainstalowanych w sypialni i w olimpijskich rozmiarów łazience.

Pół godziny później, ubrany w lekki garnitur z szarej flaneli, białą koszulę i luźno zawiązaną muszkę w grochy, która miała mu przydać zasobnej, niefrasobliwej nonszalancji, wyszedł z kieliszkiem wina na taras, podziwiając palmy skąpane w blasku reflektorów i usiane światłami wybrzeże nocnego Monako. Przepych, wykwint, blask, owo nieuchwytnie, nieokreślone, magiczne „coś” wisiało w powietrzu. Jedną z najlepszych kolacji w Europie czekała na niego. Jedyńm, czego mu brakowało do szczęścia, było towarzystwo - ktoś, kto dzieliłby z nim jego nowe życie sponsorowanego bywalca bulwarów. Jutro zrobi użytek z telefonu, przekona się, czy któraś z jego dawnych dziewczyn zdołała uniknąć domku na wsi, volva w garażu i parki dzieci, z których to powodów tak wiele z nich wypadło z obiegu.

Wszedł do środka, żeby napełnić opróżniony kieliszek, przystanął na dźwięk telefonu i spojrział na zegarek. Była ósma.

- Tu Shimo. Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym. Udało mi się nawet dostać mandat za parkowanie.

- Żadnych problemów? Nikt nie dzwonił?

- Nie. A powinien?

Ledwie uchwytna pauza.

- Nie. Chyba nie. Ma pan numer tu do nas?

- Oczywiście.

- To dobrze.

Bennett spojrział na słuchawkę buczącą w jego dłoni i wzruszył ramionami. Monsieur Shimo nie był zbyt rozmowny. Może nie chciał się spóźnić na swój trening karate?

O sto mil stamtąd Shimo zdawał sprawę z rozmowy Julianowi Poe.

- Jest tam. Mówi, że nie ma żadnych problemów i że nikt nie dzwonił.

Poe wyciągnął rękę w stronę stojącego przed nim półmiska z czarnymi oliwkami, wybrał jedną i popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby zadzwonił. Wiesz, jaki jest nerwowy, jeśli chodzi o telefony. Kiedy ma to dostarczyć?

- W sobotę wieczorem. Zadzwonię przedtem do Bennetta i powiem mu, żeby nie wychodził z domu.

- Dobrze. - Poe nadgryzł oliwkę. - Długo czekaliśmy, Shimo.

Japończyk prawie się uśmiechnął.

- Warto było, monsieur Julian. Warto było.

Bennett został zaprowadzony do swojego stolika, pozwolił się namówić na lampkę szampana i zamyślił się nad urokami spożywania kolacji w pojedynkę. Pamiętał historyjkę, którą ktoś mu opowiedział na temat pewnego kawalera, wysoko usytuowanego w kołach towarzyskich Londynu, świetnej partii, człowieka stanowiącego cel i przedmiot zabiegów każdej matki, posiadającej córkę na wydaniu. Pewna wyjątkowo ambitna i uparta wdowa, sfrustrowana jego wypełnionym kalendarzem, ale zdecydowana go usidlić, zaprosiła na kolację z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Z dystyngowanym namaszczeniem mężczyzna wyjął swój kieszonkowy kalendarzyk, odszukał wspomnianą datę i ze smutkiem pokręcił głową. „Jakże mi przykro - powiedział. - Tego dnia jem kolację sam”.

Ta anegdota przemawiała do Bennetta. W jego naturze było coś z samotnika, jakiś rys, przypuszczalnie odziedziczony po ojcu, i od czasu do czasu lubił po prostu jeść i pić bez pośpiechu, bez rozpraszania się na towarzyską konwersację, ob-



serwując i podsłuchując innych stołowników, jeśli byli dostatecznie interesujący, czytając, jeśli nie byli.

Rozglądając się po sali, doszedł do wniosku, że towarzystwo zebrane tu dzisiejszego wieczoru nie zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Wszyscy stateczni, zamożni, na ogół w dość naciąganym „średnim wieku”, z kilkoma wyjątkami dla klasycznych przedstawicielek gatunku zwanego „*riviera girl*” - gibkich, obwieszonych biżuterią, okrytych permanentną opalenizną, śmiejących się jak na komendę z dowcipów swoich podstarzałych towarzyszy. W lipcu butik Monako będą się roić od podobnych dziewczyn, jachty będą nimi obwieszone, nocne kluby wypełni pobrzękiwanie trofeów od Cartiera i Bulgariego, obnoszonych z dumą niczym medale za zwycięską kampanię. Bennett napotkał wzrok jednej z nich - pięknej Eurazjatki o cerze w najsubtelniejszym odcieniu szafranu, przyobleczonej w ciemnozielony jedwab, dobrane do niego szmaragdy i dopełniający całości wyraz uprzejmego znużenia - i mrugnął porozumiewawczo. Spojrzenie dziewczyny poszybowało w górę, zatrzymując się na wysokości dwóch stóp nad jego głową. Bennett skierował uwagę na menu.

Krótki, zachwycający, ale pełny wahań i niezdecydowania rekonesans zakończył się kapitulacją. Zbyt wiele tego było, wszystko brzmiało wspaniale i Bennett postanowił zasięgnąć fachowej porady. Nieznacznie uniesiona brew wystarczyła, żeby szef sali zjawił się przy jego stoliku.

- Monsieur Poe?

- Mam zamiar oddać się w pańskie ręce. Co by mi pan doradził? Coś lekkiego byłoby w sam raz.

Pierwsza część konferencji trwała pięć minut. Potem wezwany został *sommelier*\*<sup>5</sup> i dwaj mężczyźni, nachyleni ku sobie, marszcząc czoła z głębokim namysłem, rozpoczęli debatę o smakach i konsystencjach, winnicach i rocznikach. Bennett rozparł się w krzesło, czując, że jest rozpieszczany według wszelkich reguł sztuki. Oto dwaj wysokiej klasy eksperci, znający na wylot wszelkie arkana gastronomii, głowili się nad precyzyjną kombinacją smaków, która zapewniłaby mu maksymalną przyjemność w ciągu najbliższych dwóch godzin. Uświadomił sobie, że ostatnim lokalem, w którym jadł, była kawiarnia w St-Martin, z jej papierowymi

---

<sup>5</sup>\* Kelner odpowiedzialny za serwowanie win.



serwetkami i potrawami za pięćdziesiąt franków. Cóż to by była za uczta dla Anny i Leona. Cóż to by była za uczta dla każdego. Bycie bogatym, nawet w czyimś zastępstwie, to świetna zabawa.

Szef sali i *sommelier* oddalili się zaaferowani, pojawił się natomiast wyświeżony jak z igły kelner, z namaszczeniem rozmieszczając sztucce i szkło, przesuwając o centymetr w lewo mały wazonik świeżych kwiatów, wygładzając nieistniejącą zmarszczkę na obrusie. Bennett wyjął notatki Juliana Poe i zaczął czytać.

Pierwszą stronę otwierał cytat niewiadomego autora: „Człowiek wynalazł szczepionki, antybiotyki, komputer, mknie przez kosmos i zatyka proporce na Księżycu, ale jak dotąd, nie udało mu się opanować hodowli trufli”. Niżej prosty wykres przedstawiał zbiory trufli we Francji, od szczytowego punktu ponad tysiąca ton w 1906 roku po 69 ton w 1987. Prognozy na lata 1995-96 były jeszcze bardziej pesymistyczne, marne dwadzieścia ton, przy popycie szacowanym na sześćdziesiąt do osiemdziesięciu ton. Bennett pociągnął w zamyśleniu łyk szampana. Nic dziwnego, że eleganckie paryskie delikatesy mogły za nie żądać po osiem tysięcy franków od kilograma. To był rynek sprzedawcy. Bennett próbował obliczyć, ile kosztowałaby tona, kiedy pełne uszanowania chrząknięcie *sommelier* kazało mu podnieść wzrok.

- Chassagne-Montrachet, rocznik 92.

Sreberko zostało rozcięte i korek wyciągnięty z należnym respektem, a nozdrza Bennetta napełniła upojna woń nektaru. Odłożył na bok notatki, kiedy pojawił się kelner z pierwszym daniem.

Świeże, ciepłe szparagi, zielone i fioletowe, skąpane w delikatnej emulsji z oliwy i octu balsamicznego, dzieło sztuki na talerzu, gdzie każdą pozostawioną kroplę sosu należało osuszyć kawałkiem chleba, przypominającego Bennettowi, jakim objawieniem był dla niego przed laty pierwszy bochenek prawdziwego francuskiego pieczywa. Nic chyba tak nie smakuje, jak nostalgia, pomyślał. Kiedy talerz wyglądał, jakby został wylizany kocim językiem, Bennett usiadł wygodnie i wrócił do notatek Juliana Poe.

Wskazywały one na coś znacznie poważniejszego niż chwilowe upodobanie kulinarne i Bennett, coraz bardziej zaintrygowany, czuł, że temat zaczyna go wciągać. Czyżby Poe próbował hodować trufle? Dlaczego podkreślił taki oto fragment? „Zarodnik z zeszłorocznej trufli, w chwili gdy ta ulega rozkładowi, zostaje przenie-

siony (przez owada, zwierzę, deszcz lub wiatr) do gleby, gdzie kiełkuje, przekształcając się w zarodek grzyba, którego grzybnia składa się z nitkowatych włókienek, zwanych strzępkami. Oplatają one korzenie drzew, których sokiem żywi się pasożytnicza trufła w procesie symbiozy, zwanym mikoryzą".

Dalej następowały uwagi dotyczące rodzajów gleb, ukształtowania terenu, wysokości nad poziomem morza, opadów deszczu oraz generalnego załamania francuskiej, ewidentnie malejącej produkcji trufli.

Kryzys ów najwyraźniej nie dotknął Monako, o czym Bennett przekonał się, kiedy podano główne danie, młodego morszczuka, złowionego w Morzu Śródziemnym zaledwie przed kilkoma godzinami, upieczonego na ogniu z drewnianych polan, okraszonego roztopionym masłem i gniecionymi truflami i podanego z lekko podsmażoną bazylią. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek próbował czegoś równie znakomitego, i spojrzał ze współczuciem w stronę „riviera girl”, siedzącej dwa stoliki dalej, która pogryzała coś, co wyglądało na postną sałatę. Zastanawiał się, czy pomiędzy daniami posysa swoje szmaragdy, żeby się pożywić.

Nastąpił niespieszny rytuał uprzątnięcia stołu przed ostatnim daniem. Talerze zostały zebrane, okruchy zmiecione do małej srebrnej trumienki, obrus wygładzony, deserowe sztucce ułożone, podczas gdy Bennett sączył swoje wino, żałując, że nie może zabrać do domu tego, co zostało w butelce. Zwykle wina popijał obficie, ale tempo spożycia spadało gwałtownie, kiedy trafił mu się jakiś wyjątkowy trunek. Gdzieś tutaj, pomyślał, leży ekonomiczny argument za kupowaniem wyłącznie dobrych roczników. Wszystko, czego potrzebował, to jakieś trzy czy cztery tysiące franków na początek. Pociągnął ostatni, długi łyk, odstawił kieliszek i patrzył, jak kelner ustawia przed nim zapiekankę z poziomek i orzeszków pinii z miną suplikanta składającego ofiarę bogom. Jak to będzie żyć w ten sposób na co dzień? Bennett pomyślał, że poważnie mu grozi uzależnienie, i chwyciwszy łyżeczkę, zaatakował deser.

Przy kawie i lampce koniaku dokończył lekturę notatek. Ostatnia część poświęcona była kalkulacjom, w których za podstawę przyjęto cztery tysiące franków od kilograma, jako średnią rynkową cenę detaliczną. Na marginesie Poe napisał: „minimum pięć ton rocznie”, i podkreślił grubo tę uwagę. Przy założonej cenie, szacowanej raczej ostrożnie, Bennett obliczył, że pięć ton trufli byłoby warte dwadzieścia milionów franków albo cztery miliony dolarów. Na rok. Jasny piorun. Facet kupował czy sprzedawał? W każdym razie cztero-gwiazdkowy obiad od czasu

do czasu był tu kroplą w morzu i Bennett złożył na rachunku swój nowy podpis z zamaszystym zawijaszem, dodając imponujący napiwek. Nigdzie taka nowina nie rozchodzi się równie szybko, jak w restauracji. Szef sali i sommelier osobiście odprowadzili Bennetta do drzwi, przy czym obaj wyrazili głębokie i szczere pragnienie ujrzenia go znowu w najbliższej przyszłości.

I zobaczycie, pomyślał Bennett. Objechał naokoło ogrody „Grand Casino” i położył się do swojego przepastnego łóża w stanie pełnego zadowolenia.

TLR

## 6

Kafelki głównego tarasu, które nie zdążyły się jeszcze nagrzać po nocy, chłodziły bose stopy Bennetta, kiedy nakrywał do śniadania: kawa, okulary przeciwsłoneczne, notes z adresami i telefon. Niebo było błękitne jak na pocztówce, jedynie szczyt Tete de Chien - góry wznoszącej się nad Monako niczym teatralna dekoracja - zdobił nikły pióropusz chmurki. W powietrzu czuło się już żar i Bennett zsunął frotowy szlafrok, żeby słońce mogło popracować nad jego przybladłą po zimie skórą. Odziedziczył włoską pigmentację matki i w ciągu tygodnia będzie opalony na brąz. Ta powtarzająca się rokrocznie przemiana nigdy nie przestała sprawiać mu przyjemności. Choćby medyczne autorytety nie wiem jak kręciły głowami, ostrzegając przed zgubnymi skutkami spalenia naskórka i przedwczesnym starzeniem, Bennett czuł się lepiej, kiedy był opalony, i zmarszczki go nie odstraszały. Przesunął krzesło, żeby siedzieć w słońcu, i zaczął kartkować notes w poszukiwaniu towarzystwa.

Życiorys Bennetta, jeśli chodzi o kobiety, przypominał życiorysy wielu samotnych mężczyzn, którzy woleli pozostać samotni - szereg związków, zakończonych czasem w przyjaźni, czasem nie, kiedy tykanie zegara biologicznego stawało się zbyt natarczywe. Najzupełniej naturalne, musiał to przyznać, nocne szept o małżeństwie, o urokach wicia gniazdka i małych bennetciatkach działały na niego niczym kubek zimnej wody na rozdokazywanego psa.

Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia to się może zmienić, czasem wręcz miał nadzieję, że tak się stanie, ale to wymagałoby kobiety, którą musiał dopiero spotkać. Do tego czasu sprawy miały przypuszczalnie wyglądać tak, jak dotąd: mieszanina uczucia i pożądania. Co nie znaczy, że widział w takim układzie coś złego, dopóki trwał. Przeglądając imiona w notesie, przypominał sobie, czasem z trudem, okoliczności różnych rozstań. Chantal miała łzy w oczach, ale była dzielna, Karinę oskarżyła go o ukryty mizoginizm i powiedziała mu, że pora dorosnąć. Marie-Pierre rzuciła w jego głowę wazonem z kwiatami. A może to była Rachel? Znalazienie towarzyszki na lato mogło się okazać trudniejsze, niż przypuszczał.

Jego palec zatrzymał się na literze „S” i Bennett przypomniał sobie tydzień spędzony przed dwoma laty na delegacji w Londynie, dziewczynę o włosach jak

słońce, kolację w „Caprice”, zmięte prześcieradła, obietnicę, że zadzwoni z Paryża. Dlaczego tego nie zrobił? Cóż, pewnie był zbyt zaabsorbowany unikaniem pociągów Marie-Pierre. Zawahał się. Lepiej późno niż wcale? Zdecydował, że tak, i zadzwonił na numer do pracy, który mu podała.

- Redeeming Features, dzień dobry.

- Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z Susie Barber? - Bennett pociągnął łyk kawy, podświadomie spodziewając się usłyszeć, że Susie Barber już tu nie pracuje. Dwa lata w produkcji filmowej, gdzie zmiana pracy jest zjawiskiem równie częstym, jak wyskoczenie na lunch, to szmat czasu. Mogła dostać propozycję z Los Angeles, mogła mieć kochanka, męża, dziecko. Mogła go nawet nie pamiętać. Te pesymistyczne rozmyślania przerwało wypowiedziane oficjalnym tonem: „Halo?”, któremu towarzyszyło pstryknięcie zapalniczki i odgłos zaciągania się papierosem. Pamiętał, jak mu powiedziała, że nie jest w stanie zadzwonić ani odebrać telefonu bez papierosa.

- Susie? Tu Bennett. Co tam u ciebie?

Cisza. Odgłos wypuszczanego dymu.

- Zaskoczenie, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

- Słuchaj, przepraszam cię. Wiem, że obiecałem zadzwonić z Paryża...

- I zadzwoniłeś?

- Tak. To znaczy nie. Nie, nie zadzwoniłem. Miałem straszne urwanie głowy, jeden z reżyserów trafił do pudła na dzień przed rozpoczęciem zdjęć, tkwiłem po uszy w tym bagnie...

- Bennett?

-Tak?

- To było dwa lata temu.

- Wiem, wiem. Cóż mogę na to powiedzieć? Byłem niewolnikiem swojej pracy, bezmyślną, gruboskórną istotą, zżeraną przez ambicję, dzień i noc za biurkiem, nie widziałem na oczy z niewyspania, nie było w moim życiu miejsca na taki luksus, jak ty. Boże, byłem pokrecony, nie do życia.

- Skończyłeś? Mam dzisiaj sporo roboty.

Ale nie odłożyła słuchawki i Bennett ciągnął śpiesznie dalej.

- Teraz wszystko się zmieniło. Jestem nowym człowiekiem. Prawdę mówiąc, wycofałem się z interesów. - Nie było odpowiedzi, ale Bennett wyczuł zaciekawienie po drugiej stronie słuchawki i poszedł za ciosem. - Jestem w Monako. Spodobałoby ci się tutaj, Suze. - Ciepło, słonecznie, taras z widokiem na morze, uprzejmi policjanci, wyśmienite jedzenie, przyjaźnie nastawieni tubylcy. Moglibyśmy tu spędzić wspaniałe chwile.

- My?

- Ja stawiam, Suze. Zafunduję ci bilet, będę przynosił szampana do łóżka oraz smarował plecy emulsją Ambre Solaire, będę ci napuszczał wody do wanny, obierał winogrona ze skórki, będę cię zabierał na piesze wędrówki po ogrodach „Grand Casino”, wszystko, co ci się tylko zamarzy. Przekonasz się, że dam się lubić. Odkryjesz nową, nieznaną stronę mojej natury. Będę troskliwy i opiekuńczy. I nie będę robił bałaganu. Przyrzekam.

- Wazeliniarz.

- Wspaniale. Kiedy możesz przyjechać?

- Nie powiedziałam, że przyjadę. Skąd wiesz, że nie jestem z kimś innym?

- Och, miałem nadzieję, że zachowałeś swoje serce dla mnie, gotowa nieść ukojenie i być radością samotnego mężczyzny. Zrobiłabyś dobry uczynek, Suze. I opaliłabyś się. Jak tam pogoda w Londynie? Jak zwykle? Szaro i mokro? Tu jest dwadzieścia pięć stopni. Właśnie jem śniadanie na tarasie.

- Chrzań się!

Ale Bennett się nie odchrzanił i po kolejnych pięciu minutach przypochlebiania się i zapewniania o swoim oddaniu udało mu się nakłonić Susie, żeby przyleciała w sobotę porannym samolotem do Nicei. Odłożył słuchawkę mile podekscytowany tym, co miała przynieść najbliższa przyszłość, zanotował sobie w myśli, żeby kupić kwiaty i zaopatrzyć lodówkę, i spędził resztę dnia, wygrzewając się w słońcu niczym ludzka jaszczurka.

Tydzień minął niepostrzeżenie, spowity w słoneczny, smakowity kokon. Bennett wypróbował dwie pozostałe restauracje, które zasugerował mu Poe, i stwierdził, że obie są znakomite. Zrobił mały wypad do Włoch i zaopatrzył się we



wszystko, czego potrzebował, na targu w Ventimiglia po drugiej stronie granicy. Co wieczór wstępował do „Cafe de Paris” na aperitif i obserwował pochód przeciągający w dole ulicą. Z każdym dniem, w miarę jak smar pieniędzy wygładzał ostre kany jego życia, coraz lepiej się czuł w roli bogatego próżniaka. Odkrywał, że podczas gdy trzeba lat, aby zaakceptować przeciwności losu, pomyślność jest czymś, do czego człowiek przystosowuje się niemal z dnia na dzień.

Jedyną przelotną chmurką na firmamencie tego tygodnia samotnego błogostanu był telefon od Shimo, który polecił mu, żeby nie wychodził z domu w sobotę wieczorem, ponieważ ma odebrać przesyłkę dla Juliana Poe. Ważną przesyłkę, powiedział Shimo tym swoim monotonnym, budzącym respekt głosem. Osobiście przyjedzie po nią tego samego wieczoru. Czy Bennett zrozumiał?

Bennett zrozumiał. Planował wprawdzie, że zabierze Susie do „Ludwika XV”, ale po chwilowej irytacji powiedział sobie, że kolacja we dwoje na tarasie, w dogodnej bliskości sypialni, może być lepszym, bardziej osobistym sposobem uczczenia przyjazdu Susie do Monako. Wędzony łosoś, potem coś smakowitego w galarecie na zimno, zamówionego na mieście z dostawą do domu. Ser, owoce, i wreszcie skok między prześcieradła. Czegóż więcej może pragnąć dziewczyna?

W sobotni rano Bennett, opalony, starannie ogolony i skropiony gustowną wodą kolońską siedział za kierownicą mercedesa, jadąc z opuszczonym dachem wzdłuż Corniche<sup>6</sup> w stronę nicejskiego lotniska. Jak mu powiedziała pewna stara pokojówka, pamiętająca dawne czasy Lazurowego Wybrzeża, kiedyś był to mały, niemal wiejski terminal, pachnący czarnym tytoniem i olejkiem do opalania, gdzie w niedzielne poranki można było zobaczyć podstarzałych brytyjskich uchodźców, sunących, wciąż w rannych pantoflach i przed potopowych szlafrokach, w stronę stojaków z prasą, w poszukiwaniu egzemplarza londyńskiego „Timesa”. Dziś trudno było w to uwierzyć, pomyślał Bennett, wjeżdżając w splątane spaghetti dróg dojazdowych, prowadzących do lotniska, mijając odporne na zanieczyszczenie środowiska palmy i lśniące, nowoczesne bloki, pobudowane za czasów mera Medicina, który rządził Niceą w latach gospodarczego boomu.

Nie było potrzeby sprawdzać na tablicy, który samolot przylatuje z Londynu. Szary, rzadki tłumek wysypywał się właśnie przez bramę. Nie mógł to być nikt inny, tylko Brytyjczycy. Twarze pokrywała jednolita, ziemista bladość, a ich właści-

---

<sup>6</sup>\*Nadmorska droga prowadząca z Genui do Nicei.

ciele, zwłaszcza mężczyźni, zaznaczali swoją przynależność klasową za pomocą stroju: nowe jasne panamy, koszule w jaskrawe paski i dwurzędowe blezery z nadmiarem mosiężnych guzików dla szlachetnie urodzonych, wytarte dżinsy, sfatygowane sportowe buty i torby wypchane wolnym od cła alkoholem - dla niżej usytuowanych na drabinie społecznej. Bennett przyglądał się właśnie tyczkowatemu jegomościowi, ubranemu w sandały, czarne skarpetki oraz krótkie spodenki, odsłaniające białe niczym brzuch ryby nogi o wystających kolanach, kiedy dostrzegł lśniąco włosy i wymachujące gwałtownie ramię Susie, ubranej, jakby się wybierała na elegancki lunch do „Ivy”<sup>7</sup>, w dopasowany czarny kostium i buty na wysokich obcasach. Jedynym szczegółem, mogącym świadczyć o wakacyjnym nastroju, były małe, modne okulary przeciwsłoneczne, które zderzyły się z jego okularami, kiedy wymienili powitalne cmoknięcia.

Bennett odsunął się o krok.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedział z uśmiechem. Była to prawda. Jej włosy były bardziej złociste niż te, które pamiętał, makijaż subtelny i przydający blasku, ciało zdradzało efekty bezlitosnych ćwiczeń, w sumie - bardziej wyrafinowana wersja chichoczącej, ładnej dziewczuszki, którą poznał przed dwoma laty.

Susie zdjęła okulary i przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę na bok.

- A ty jesteś obrzydliwie brązowy. Ale całkiem miło cię zobaczyć po osobie, w której towarzystwie musiałam siedzieć w samolocie.

- Chyba nie obok tego faceta w szortach? - zapytał Bennett, biorąc ją pod ramię i kierując się, przy akompaniamencie postukujących o posadzkę obcasików, w rejon odbioru bagażu.

Susie skinęła potakująco głową.

- Zapytał mnie, czy lubię piesze wędrówki. Wyobrażasz sobie? Czy ja wyglądam na piechura?

- Wyglądasz jak marzenie, które się spełniło.

- Wazeliniarz. O, tam jest moja, ta czarna. - Susie wskazała zwalisty kształt, przypominający rozmiarami kocioł parowca, i Bennett staszczył walizę z karuzeli,

---

<sup>7</sup> \*Znana londyńska restauracja.

zdumiewając się nad wymogami co do garderoby, jakim musi sprostać nowoczesna kobieta.

- Masz strasznie ciężkie kostiumy kąpielowe, Suze.

- Co ty za głupoty wygadujesz. Właśnie muszę sobie kupić kilka. Zawsze są lepsze we Francji. I kapelusz. Słońce bardzo źle wpływa na włosy.

Bennett, ryzykując przepuklinę, dźwignął walizę na wózek bagażowy.

- Czy jesteś w stanie przeżyć lunch bez kapelusza? Myślałem, że moglibyśmy pojechać do Nicei coś zjeść. Znam dobrą małą knajpkę przy targu kwiatowym.

Susie zaaprobowała mercedesa i spodobała jej się prosta rybna restauracja przy Cours Saleya. Jak go poinformowała, był to jeden z jej proteinowych dni, więc małże i dorada z rusztu wydawały się zdecydowanie odpowiednie. Ostatnio bardzo dba o zdrowie, jak mu wyjaśniła, zapalając kolejnego papierosa i wypijając kieliszek muszkatu, i ściśle przestrzega, żeby nie łączyć białek i węglowodanów w jednym posiłku. Bennett usiadł wygodnie i patrzył z przyjemnością, jak je, pije, pali i rozprawia o swoim życiu w ciągu ostatnich dwóch lat.

W pracy sprawy szły dobrze. Została awansowana z asystentki na producenta - przez duże „P”, jak podkreśliła - ze wszystkim, co taki awans okrasza, czyli pulą na wydatki osobiste, telefonem komórkowy w torebce, szerokim wyborem reprezentacyjnych ubrań w kolorze czarnym oraz członkostwem w jednym z najmodniejszych londyńskich klubów fitness, gdzie ona i jej podobne przedstawicielki płci pięknej trują się nad perfekcyjnym wyrzeźbieniem biustów i pośladków, wymieniając przy tym uwagi na temat mankamentów swoich mężczyzn. I tutaj, jak powiedziała Susie, wieści były, niestety, zasmucające. Pozwoliła nalać sobie kolejny kieliszek wina i poklepać się współczująco po rękę.

- W czym problem, Suze? Czyżby wszyscy fajni faceci byli żonaci?

- Gorzej - powiedziała, marszcząc nos. - Rozwiedzeni i rozczulający się nad sobą. Nie wyobrażasz sobie, ile razy musiałam przez cały obiad wysłuchiwać horrorów na temat byłych żon. A potem mają jeszcze czelność się do ciebie przystawiać. Zwierzęta.

- Oburzające - potwierdził Bennett, podziwiając obciążone połyskliwym jedwabiem udo, kiedy Susie wyprostowała się na swoim krześle i założyła nogę na

nogę. - Nic to. Wiek kawalerii jeszcze nie całkiem przeminął. Dopij swoje wino i pojedziemy kupić ci najelegantszy kapelusz w Nicei.

Susie spojrzała na niego znad kieliszka.

- Nie zapytałam - powiedziała. - Nie ożeniłeś się, prawda?

- Ja?

- Głupie pytanie. - Uśmiechnęła się. - Kto by cię chciał?

Bennett podał jej ramię i ruszyli pieszo słonecznymi ulicami, znajdującymi się za Promenade des Anglais, gdzie butikie zastawiały swoje sidła na tych, których czujność została uśpiona po dobrym obiadku i gotowi byli popełnić jakieś małe szaleństwo. Jeśli chodzi o zakupy, wytrzymałość Bennetta ograniczała się na ogół do półgodzinnej akcji, szybkiej i zdecydowanej, ale tym razem uczynił wyjątek, wchodząc za Susie do Saint Laurenta, Armaniego i Cacharela, pilnując jej torebki, kiedy znikła za zasłoną w miniaturowych kabinach i służąc za tłumacza oraz znawcę mody, kiedy się wynurzała, stawiając czoło bezwstydnym pochlebstwom młodych sprzedawczyń.

- *Mais cest genial!* - wykrzyknęła z zachwytem jedna z nich, kiedy Susie pojawiła się w czymś mikroskopijnym, wyglądającym, jakby zostało zrobione z trzech gazowych chusteczek do nosa. - *Moi, fadore ca. Cest tres, tres super.*

Susie odwróciła się do Bennetta.

- A gdzie reszta tego ubranka? - zapytał, mrugając oczami.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

Dwie godziny później, kiedy już Susie oświadczyła, że na dziś czuje się zaspokojona, jeśli chodzi o zakupy, jechali wolniutko, obładowani łupami, w tłumie samochodów walczących, by jak najszybciej opuścić Niceę. Ukośne promienie słońca, skłaniającego się ku wieczorowi, grzały im plecy, lekki oddech bryzy napływał od strony Morza Śródziemnego. Propozycja Bennetta, żeby zjeść kolację na tarasie, została przyjęta z aprobatą. Susie stwierdziła, że tak czy inaczej, nie zamierza pokazywać się publicznie w Monako, wśród tych wszystkich mewek opalonych na brąz, dopóki nie nabierze jakiegoś takiego koloru. Kiedy samochód wtaczał się stacecznie na wzgórze, na którym znajdował się Place du Casino, Bennett z przyjemnością myślał o tym, jak szczęśliwy obrót przybierają jego sprawy. Dawne ognie

jakże często tliły się najpiękniej we wspomnieniach i tam najlepiej było je pozostawić. Tym razem będzie inaczej.

Bennett otworzył przed Susie drzwi mieszkania i wszedł za nią, kuśtykając, obciążony bagażami.

- Cóż - zapytał - może być? Uboga chatka i skromna, ale przynajmniej mamy dach nad głową. - Odsunął drzwi prowadzące na taras. - Niebrzydki widok, prawda?

Susie spojrzała na zachód, gdzie słońce rozpoczynało właśnie swój imponujący spektakl pogrążania się w morzu.

- Fantastyczny - powiedziała. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. - Obrosłeś w piórka. To wszystko twoje?

- Coś w tym rodzaju, przynajmniej przez najbliższych sześć miesięcy. Opowiem ci przy kolacji.

Zeszli na dół i Susie natychmiast się zakochała w ogromnej łazience, przesuwając palcami po ułożonych w wielki stos ręcznikach z monogramem i butelkach z różnego rodzaju szklanych płynów do kąpieli z Grasse, studiując swoje trzy różne odbicia w wykładanych lustrami ścianach, wydając okrzyk zachwyty, kiedy Bennett pokazał jej głośniki, zainstalowane we wszystkich narożnikach pomieszczenia.

- Raj - powiedziała. - Myślę, że wezmę teraz muzyczną kąpiel, a ty tymczasem zrobisz coś męskiego i użytecznego w kuchni.

Bennett miał nadzieję, że zrobi coś męskiego w łazience, ale odsunął na bok myśl o higienicznych igraszkiach, mówiąc sobie, że będzie mnóstwo czasu później. Pokaże, że jest idealnym gospodarzem, cierpliwym i opiekuńczym.

- Zajmę się muzyką - powiedział - a szampan będzie podany za pięć minut. Może być?

Susie posłała mu całusa i pochyliła się, żeby odkręcić kran. Rzuciwszy ostatnie, pełne uznania spojrzenie na jej foremną i bezdyskusyjnie doskonale wyprofilowaną na siłowni sylwetkę w ujęciu od tyłu, Bennett poszedł na górę, nastawił symfonię Brahmsa i właśnie szedł w stronę lodówki, żeby wyjąć szampana, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Przez judasza zobaczył ciemną twarz i rozbiegane oczka nad zmiętym kołnierzykiem koszuli i przekrzywionym krawatem.



Otworzył drzwi. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna wcisnął mu pośpiesznie małą walizeczkę.

- *C'est pour monsieur Poe, d'accord?* - Odwrócił się i dźgnął przycisk windy, wyraźnie chcąc się jak najprędzej oddalić.

Bennett czuł zapach jego potu. Wyglądało na to, że dostarczanie przesyłek dla Juliana Poe jest nerwowym zajęciem.

Bennett wzruszył ramionami i zamknął drzwi. Spojrzał na walizeczkę, smukły prostokąt z żebrowanego aluminium, z małym szyfrowym zamkiem, umieszczonym pod rączką. Pewnie kieszonkowe Juliana Poe na weekend. Bennett sprawdził zatrzaski i przekonał się bez zdziwienia, że nie dają się otworzyć. Nie jego sprawa, tak czy inaczej. Postawił walizeczkę na stoliku w holu, żeby móc ją oddać Shimo bez zapraszania go do środka, i wrócił do kuchni, gdzie stwierdził, że w zlewie nagromadziły się nie wiedzieć kiedy brudne kieliszki. Pomyślał, że w przyszłym tygodniu będzie musiał coś zrobić w sprawie gospodyni. Bogaci faceci nie zmywają naczyń.

Dwaj Włosi, siedzący w ubłoconym, noszącym ślady długiej drogi fiacie, byli coraz bardziej sfrustrowani i zirytowani. Nie znaleźli wolnego miejsca w pobliżu budynku, a ile razy próbowali się wcisnąć na drugiego, przeganiał ich ten sam zadzierający nosa gliniarz, zmuszając ich do jeżdżenia w kółko. Dlatego przegapili tamtego człowieka. Pech chciał, że akurat byli z drugiej strony, kiedy wyszedł, i zobaczyli go dopiero, jak szedł szybkim krokiem w stronę podziemnego parkingu po drugiej stronie Place du Casino.

Kierowca zahamował gwałtownie.

-*Merda!* To on!

Pasażer, młodszy i roślejszy, o potężnych barach, zaczynających się na wysokości uszu, otworzył drzwi. ; - Zgarnę go. Nie ma problemu.

Kierowca pokręcił głową.

- Daj spokój. Nie ma sensu. Zostawił ją w mieszkaniu.

- *Merda.*

- Będziemy musieli ją stamtąd wydostać.



- *Merda.*

Bennett przeszedł sam siebie. Znalazł niewielką srebrną tacę i małe wazonik, w którym teraz znajdowała się pojedyncza róża wyjęta z bukietu kupionego tytułem niespodzianki, mającej stanowić preludium do kolacji. Ustawił kieliszek szampana obok wazonika, zszedł ostrożnie po schodach i zastukał do drzwi łazienki.

- Pani zamawiała szampana?

Z chmury gorącej, pachnącej pary dobiegł pełen zachwytu pisk. Susie, zanurzona po ramiona w pianie, wyciągnęła rękę po kieliszek.

- Fantastycznie - powiedziała. - Jesteś cudowny.

- Zadowolenie klienta jest naszym celem, madame. - Bennett postawił wazonik na marmurowej płycie w nogach wanny i spojrzał na nią. - Zdaje się, że zgubiła pani mydło. Czy mógłbym być pomocny?

- Bennett, prawdę mówiąc, jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić. - Uniosła brwi. - To znaczy, o ile nadal zamierzasz być cudowny.

- Przekonaj się.

- Zapomniałam kupić papierosy na Heathrow i zastanawiałam się właśnie, czy zechciałbyś być absolutnym aniołem, wyskoczyć i kupić mi paczkę? Obiecuję, że będę już częściowo ubrana, kiedy wrócisz. - Susie wciągnęła policzki i zatrzepotała gwałtownie rzęsami. - Może nawet znajdzie się dla ciebie napiwek.

Bennett uśmiechnął się, nabrał garść piany i spuścił jej na głowę.

- Zaraz wracam.

Na placu kłębił się weekendowy tłum, kiedy Bennett szedł w stronę „Cafe de Paris”, która wydawała się tego wieczoru opanowana przez zjazd biznesmenów - każdy z nich z widoczną z daleka plaketką z nazwiskiem w klapie garnituru. Morze garniturów zalało taras, a przy małym kiosku z pocztówkami, przewodnikami i papierosami stała kolejka trzech osób, czekających, aż dziewczyna za ladą skończy rozmawiać przez telefon. Bennett postanowił poczekać przy barze.

Stanął obok samotnego uczestnika zjazdu, którego nazwisko, według plakietki, brzmiało: „Cześć, jestem Rick Hoffman”, i zamówił szkocką. Zapłacił stufrankowym banknotem i Hoffman pokręcił głową.

- Wyobraża pan sobie, co za zdzierstwo? - zwrócił się do Bennetta.- Dopiero co policzyli mi sześć dolców za piwo. I jeszcze spodziewają się napiwku. A do tego patrzą na ciebie z góry, jak na jakiegoś przygłupa. - Jeszcze raz pokręcił głową, po czym przyjrzał się Bennettowi uważniej. - Pan nie jest z International Digits?

Bennett podziękował w duchu swojej szczęśliwej gwiazdzie.

- Niestety, nie - powiedział. - Jestem miejscowy.

Hoffman się rozjaśnił.

- Naprawdę? Proszę mi coś powiedzieć. - Przysunął się bliżej. - Gdzie tu można znaleźć te rzeczy?

- Kasyno jest po drugiej stronie ulicy.

- Nie, nie. Te rzeczy, rozumie pan. Dziewczynki.

- Niech pan zapyta portiera w swoim hotelu. Ale to nie będzie tanio - czuł się w obowiązku uprzedzić go Bennett.

Hoffman skinął głową, po czym przysunął się jeszcze bliżej.

- Te francuskie dzierlatki... Czy one... - urwał, żeby pociągnąć łyk piwa.

Bennett przygotował się na intymne pytanie, dotyczące, jak był przekonany, jakiejś bliskiej sercu tego osobnika fantazji seksualnej.

- Czy one co?

- Czy przyjmują American Express? Mam złotą kartę.

Twarz Bennetta przyoblekła się w wyraz powagi, kiedy nachylił się i szepnął Hoffmanowi do ucha:

- Nie uwierzyłby pan, co te dziewczyny potrafią zrobić z kartą American Express. - Dopił swoją szkocką. - Muszę lecieć. Powodzenia.

Kupił w kiosku paczkę papierosów i ruszył z powrotem przez plac, mając nadzieję, że poszukiwania rozkoszy seksualnych płatnych kartą kredytową zakończą

się dla Hoffmana pomyślnie, i myśląc z przyjemnością o własnym wieczorze. Dobrze było mieć znów przy sobie dziewczynę. Jeśli ten tydzień upłynąłby przyjemnie, być może Susie mogłaby wpaść znowu latem? Pokazałby jej Cannes i Saint-Tropez. Jadąc windą na górę, zastanawiał się, dokąd mógłby ją zabrać nazajutrz na poważny francuski niedzielny obiad. Życie było piękne.

- *Buona sera, signore.* - Susie zachichotała i okręciła się wokół siebie. - No jak, nadal ci się podoba?

Jeżeli już miałby coś powiedzieć, to skrawki gazy, w które była przyodziana, wydały mu się jeszcze bardziej skąpe i przezroczyste niż wtedy w butiku i musiał przełknąć ślinę, zanim odpowiedział.

- Tak się cieszę, że zdecydowałaś się na coś rozsądnego, Suze. Jestem pewien, że mama by pochwaliła twój wybór. Susie wydeła wargi.

- Ty wstrętny Angolu! Szkoda, że nie widziałeś tych miłych Włochów, jak cmokali, przewracali oczami, wykrzykiwali: *Bellissima!* na całe mieszkanie. To dla dziewczyny miód na duszę, mówię ci.

Bennett zmarszczył brwi.

- Jacy znowu Włosi? Kiedy to było?

- Nie musisz się od razu jeżyć, bo jeszcze pomyślę, że jesteś zazdrosny. Ktoś zapukał do drzwi. Pomyślałam, że zapomniałeś klucza, a to byli oni. Przyszli tylko po tę małą walizeczkę, która leżała w holu, i byli bardzo mili. Anglicy mogliby się od nich nauczyć paru rzeczy. Jesteś sobie na przykład w stanie wyobrazić, jak stary Henry z Chelsea woła: *Ciao, bella!* i nie wygląda przy tym na kompletną ciotę?

- Poczekaj, Suze. To Shimo miał odebrać tę walizeczkę. Nic nie wspominał o dwóch napalonych Włochach.

- Ty znowu swoje. Czarujących, tak bym to określiła, nie napalonych. Czarujących. Swoją drogą, kto to jest Shimo?

Bennett czuł, jak żołądek ściska mu się niedobrym przecuciem.

- Ktoś, do kogo lepiej zadzwonię.

Ale nie zastał go pod telefonem. Shimo był w drodze do Monako. Czy monsieur życzy sobie numer telefonu komórkowego? Bennett odłożył słuchawkę.

- O jasny gwint!
- Co się dzieje?
- Mam paskudne uczucie, że coś poszło nie tak.

TLR

- Bennett, wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zwymiotować. O co chodzi? Co tu się dzieje? - Susie napełniła swój opróżniony kieliszek i podeszła do Bennetta, który stał, wpatrując się w rozciągającą się poza tarasem śródziemnomorską noc.

- Nie mam jeszcze pewności, Suze, ale nie sądzę, żeby to była dobra wiadomość. - Westchnął. - Usiądźmy. Chyba pora na wyjaśnienia.

Oczy Susie się rozszerzyły, kiedy Bennett doszedł do instrukcji dotyczących walizeczki.

- O mój Boże - powiedziała. - Nie powinnam była im jej dawać, czy tak?

- Skąd mogłaś widzieć? Sam bym im ją pewnie dał na twoim miejscu. Pomyślałbym, że Shimo ich przysłał.

Patrzyli na siebie w milczeniu, Susie zdezorientowana, Bennett pogrążony w coraz bardziej pesymistycznych rozmyślaniach co do swojej najbliższej przyszłości. Jego dopiero co rozpoczęta kariera milionera niemal z całą pewnością dobiegła końca, jeśli ta cholerna walizeczka miała się okazać poważnym problemem. Wróciły do niego słowa Shimo. „To ważne. Przyjadę osobiście, żeby ją odebrać. Zrozumiał pan?”. Trudno było o prostsze polecenie, a on pokpił sprawę. Wstał i szedł właśnie, żeby nalać sobie whisky, kiedy zadzwonił dzwonek. Shimo pojawił się w towarzystwie zwałistego draba, który mógłby mieć słowo „goryl” wypisane na froncie swojego czarnego garnituru - obowiązującego, jak się wydawało, stroju pracowników Juliana Poe. Bennett wprowadził ich do salonu, gdzie przysiedli na kanapie jak dwa nastroszone kruki, słuchając jego nieskładnych, pełnych skruchy wyjaśnień.

Shimo zapalił papierosa i zaciągnął się, wydając dźwięk przypominający syk. Odwrócił się i spojrzał na Susie.

- A więc - powiedział - ci dwaj mężczyźni byli Włochami? Jest pani pewna? Na pewno nie Francuzami?

- Cóż, mówili po włosku. To często jest jakaś wskazówka, nieprawdaż?

Shimo przyglądał się jej z kamienną twarzą. Bennett szturchnął dziewczynę.

- Bez żartów, Suze. Nie pora na to.

Shimo pochylił się do przodu, strząsając popiół z papierosa do kryształowej popielnicy.

- Proszę opisać tych mężczyzn.

- Hm, obaj ciemnowłosi, ciemno ubrani, bardzo uprzejmi. Zaraz... aha, jeden z nich był, jakby to powiedzieć, napakowany. Wyglądał, wie pan, jakby miał za chwilę rozsadzić swój garnitur. - Zerknęła na milczącego towarzysza Shimo. - Coś jak ten pan. Mięśniak, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Shimo skinął głową.

- A ten drugi?

- Szczuplejszy, starszy, z wąsikami... - Susie zmarszczyła czoło, skoncentrowana. - Było jeszcze coś. Odrobinę utykał. Ale był uroczy, bardzo miły.

- Utykał? - Shimo znów skinął głową. - Wiem, kto to taki. Miała pani szczęście, że był przyjaźnie usposobiony. Nie zawsze taki jest. - Odwrócił się do ochroniarza. - To był Vallone. Jeden z ludzi Tuzziego. - Wstał, podszedł do biurka stojącego w kącie pokoju, podniósł słuchawkę telefonu i odwrócił się do nich plecami.

Susie i Bennett zamienili skonsternowane spojrzenia. Ochroniarz przeciągnął się, ziewnął i usiłował stłumić beknienie.

Shimo skończył krótką rozmowę, z której nic nie usłyszeli, po czym wrócił, stanął obok kanapy i spojrzał z góry na Bennetta.

- Pan pójdzie z nami. Pańska przyjaciółka może zostać i korzystać z rozrywek.

Pomimo lęku Bennett poczuł wzbierającą wściekłość.

- Nie ma mowy - powiedział. - Ona dopiero co przyjechała, mamy plany na dzisiejszy wieczór. - Spróbował zdobyć się na ujmujący uśmiech. - Nie widzieliśmy się od wieków, jest co nadrabiać, jestem przekonany, że pan to zrozumie.

Shimo nie odpowiedział.

- Proszę posłuchać, przykro mi z powodu tej walizeczki i oczywiście zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc, ale dzisiejszy wieczór nie wchodzi w rachubę. Pogadamy jutro.



Shimo wrzucił niedopałek papierosa do popielnicy.

- Panie Bennett, wychodzimy. Może pan pójść z własnej woli albo Gerard panu pomoże, co będzie bolesne. Mnie jest wszystko jedno.

Bennett spojrzał na Gerarda, który uśmiechnął się miło i splótł przed sobą swoje wielkie dłonie, napinając mięśnie, aż mu w stawach chrupnęło. Dźwięk skojarzył się Bennettowi z odgłosem łamanych kości. Odwrócił się do Susie i pokręcił głową.

- Przykro mi, że tak to wyszło, Suze. Dasz sobie radę? Wrócę najszybciej, jak się da.

- To znaczy kiedy?

Bennett wstał i spojrzał na Shimo.

- A więc?

- Nie jestem w stanie powiedzieć.

Susie odstawiła kieliszek na stół i sięgnęła po papierosy.

- Cudownie - powiedziała. - Witamy w cholernym Monako.

Droga na lotnisko w Nicei upłynęła niemal w całkowitym milczeniu. Shimo siedział z tyłu i ignorował pytania Bennetta, dopóki ten nie dał za wygraną, Gerard ograniczał swoje uwagi do soczystych wiązanek, rzucających półgębkiem pod adresem każdego samochodu, który nie dość szybko schodził im z drogi. Bennett domyślał się, że jadą na spotkanie z Julianem Poe, i czuł w środku lodowatą pustkę, niczym przestępca wieziony na ogłoszenie wyroku. Co za parszywe szczęście. Los dzielił go pałą przez łeb, kiedy wszystko zapowiadało się tak różowo. Z niedobrymi przeczuciami wsiadał do helikoptera, zapinając pasy przed odlotem do posiadłości Juliana Poe, gdzie, jak był przekonany, czekała go natychmiastowa odprawa.

Albo i coś gorszego, pomyślał, kiedy skierowali się na północny zachód, oddalając się od skąpanego w słońcu pasa wybrzeża w stronę czarnych, pustych, słabo zaludnionych połaci kraju. Poe był niewątpliwie potężnym człowiekiem, a niektórzy spośród jego pracowników, zwłaszcza ci dwaj, którzy teraz z nim, Bennettem, lecieli, należeli do budzących największą grozę funkcjonariuszy od czasów Paryża, gdzie miał do czynienia z przedstawicielami filmowych związków zawodowych oraz ich bojówkarzami.

Helikopter przechylił się raptownie i Bennett odruchowo chwycił za oparcie fotela pilota. Shimo się uśmiechnął.

- Nerwy, co, panie Bennett?

Bennett wytarł dłonie o spodnie.

- Na pańskim miejscu bym uważał. W powietrzu dostaję paskudnych torsji. Wymiotuję całymi wiadrami.

Shimo się skrzywił i odsunął najdalej, jak się dało. Dla Bennetta był to jedyny przyjemny moment w ciągu całej podróży.

Helikopter zawisł nad jasno oświetlonym lądowiskiem, prąd powietrza przyciągnął cyprysy do ziemi, kiedy opuszczał się powoli, aż usiadł precyzyjnie niczym ptak na jajku. Kuląc się, szarpani gwałtownymi podmuchami pod wirującym śmigłem, Shimo i Bennett ruszyli przez ogród w stronę tylnej części domu, przeszli przez taras i szklana płyta odsunęła się przed nimi. Poe stał przed kominkiem z pilotem w jednej ręce i niezapalonym cygarem w drugiej.

Bennett usłyszał, że szyba zasuwa się za nim, skinął głową gospodarzowi, po czym usiadł na krześle, które mu wskazywał koniec cygara. Shimo przysiadł z boku, czujny i baczny.

- Cóż, panie Bennett, narobił pan niezłego bigosu. - Poe zajął się operacją przypalania cygara za pomocą długiej, drewnianej drzazgi, pykając w nie z namaszczeniem, dopóki jego koniec nie rozżarzył się satysfakcjonującym, równomiernym, ciemnoczerwonym blaskiem. - Nie jestem zachwycony. Nie można powiedzieć, żeby się pan specjalnie popisał.

Bennett zaczerpnął powietrza.

- Cóż, przykro mi, naprawdę mi przykro, ale jak już powiedziałem...

Poe uniósł rękę.

- Darujmy sobie te wyjaśnienia. Shimo przekazał mi to, co pan mu powiedział. W tej chwili interesuje mnie jedna rzecz: czy ma pan absolutną pewność, że mężczyźni, którzy zabrali walizeczkę, nie widzieli pana? - Jego zmrużone oczy wpatrywały się w Bennetta uważnie zza zasłony szaroniebieskiego dymu.

- Najzupełniej. Przyszedłem co najmniej dziesięć minut po ich odejściu.

- Najzupełniej. To by była w każdym razie jakaś pociecha. - Poe usiadł i założył nogę na nogę. Światło odbijało się w lśniącym niczym lustro czubku jego buta. - Cóż, skoro tak się sprawy mają, pewnie ucieszy pana wiadomość, że nasza współpraca będzie kontynuowana jeszcze przez jakiś czas, choć na odrobinę zmienionych warunkach. Czy jest pan zadowolony?

- Chyba tak. Tak, oczywiście. To by było wspaniale.

- Znakomicie. - Po raz pierwszy od czasu przybycia Bennetta Poe się uśmiechnął. - Przekonałem się, że ludzie wywiązują się ze swoich obowiązków znacznie lepiej, kiedy wkładają serce w swoją pracę. Chociaż, koniec końców, nie ma nic lepszego niż strach. - Znów się uśmiechnął i zaciągnął się cygarem. - Ale zapominam o obowiązkach gospodarza. Proszę, niech pan sobie naleje drinka, a potem będziemy mieli do omówienia kilka spraw.

Bennett napełnił w połowie pękaty kieliszek szkocką whisky. Mogło być gorzej, pomyślał. Przynajmniej nie wyrzucono go z helikoptera i Poe nie wydawał się niebezpiecznie rozsierzony. Na ulgę było chyba za wcześnie, ale poczuł coś zbliżonego - chwilowy, wywołany przez alkohol przyływ nadziei, kiedy pierwszy łyk rozchodził się po ciele. Pochylił się i Poe zaczął mówić.

- Być może wspominałem już panu, że jednym z moich pomniejszych zainteresowań są trufle, nie tylko z powodu ich smaku, ale również z powodu tajemniczej atmosfery, jaka je otacza - zagadkowość, nieprzewidywalność rynku, bandyckie ceny, oszustwa, matactwa. - Poe wymawiał te słowa z upodobaniem, jak gdyby je smakował. - I nade wszystko fakt, że jak dotąd, opierały się wszelkim próbom zmuszenia ich, żeby rosły pod dyktando. Nie da się ich hodować z jakąkolwiek gwarancją sukcesu. Proszę mi wierzyć, Francuzi próbowali to robić od wielu lat, i to nie tylko rolnicy, ale i władze.

Poe przerwał, kiedy Shimo podał mu drinka, i Bennett przypomniał sobie notatki, które czytał w Monako. Ten człowiek był niewątpliwie zainteresowany trufkami, ale trudno było go sobie wyobrazić jako farmera Poe, z żalobą za paznokciami, z błotem oblepiającym jego lśniące buty, zarabiającego na życie grzebanieniem się w ziemi. Uśmiechnął się na tę myśl.

- Coś pana rozbawiło, panie Bennett?

- Po prostu nie jestem w stanie wyobrazić sobie pana wędrującego po lasach z kijem w rękę i świnia u nogi - wie pan, w poszukiwaniu trufli.

Poe uniósł brwi.

- Cóż za szkaradna myśl. Teraz proponowałbym, żeby pan pohamował swoją wesołość przez kilka minut i słuchał uważnie. - Jego spojrzenie powędrowało w kierunku sufitu, a głos przybrał miarowy, profesjonalny ton. - Parę lat temu moją uwagę zwróciły prace pewnego dość niezwykłego człowieka. Jajogłowy, badacz zagadnień rolnictwa, wielki wizjoner o nieprzeciętnych zdolnościach. Ale, jak to się dość często zdarza ludziom o wybitnej inteligencji, cokolwiek arogancki, i, tak by to określili nasi zaprzyjaźnieni sportowcy - nie- umiejący grać w drużynie. W końcu popadł w konflikt z ludźmi możnymi i wysoko postawionymi we francuskim ministerstwie rolnictwa i kiedy go poznałem, był zgorzkniały, bez pracy i bez pieniędzy. Uważał, że jego badania zostały zignorowane przez zawistników o miałym intelekcie. Nie taka znów rzadka sprawa, jak pan się z pewnością orientuje. - Poe wydmuchnął kółko dymu i obserwował, jak szara aureola drży i rozsnuwa się w powietrzu. - To właśnie wtedy moje zainteresowanie smakosza zmieniło się w zainteresowanie biznesmena. Ponieważ, drogi panie Bennett, nasz jajogłowy twierdził, że jest bardzo bliski opracowania formuły serum, które będzie gwarantować stabilny wzrost *Tuber melanosporum*, oczywiście jeśli zapewni się odpowiednie drzewa, klimat i warunki, ale o to nietrudno. We Francji są setki tysięcy hektarów terenów, które się do tego nadają.

Bennett podniósł rękę, czując się jak niedouczony student.

- Jak pan powiedział? *Tuber*...?

- *Melanosporum*. Czarna trufla. Zwana również bardzo nieściśle truflą z Perigord. Tutaj, w Prowansji, jest znana pod nazwą rabasse. Rośnie w przypadkowych miejscach - przynajmniej jak dotąd - na korzeniach leszczyny i dębu. Jest zaliczana do heterotrofów.

- Ach tak - powiedział Bennett, kiwając energicznie głową w akcie niezrozumienia.

- Bliższa zwierzętom niż roślinom. Fascynujące, nieprawdaż?

- Niezwykłe. - Bennett obawiał się, że jego szkocka skończy się szybciej niż te wywody, i zastanawiał się, co to wszystko może mieć wspólnego z jego nowymi, zrewidowanymi warunkami zatrudnienia. Ale Poe wydawał się znacznie łagodniejszy w roli wykładowcy i Bennett czuł, że poganianie go byłoby błędem.

- Nie będę zasypywał pana szczegółami, ale by docenić geniusz mojego jajogłowego, musi pan wiedzieć, że narodziny trufli to proces naprawdę losowy. Cała rzecz w zarodnikach.

- Aha - powtórzył Bennett. - W zarodnikach.

- Z gnijącej trufli. W okresie, kiedy trufła ulega rozkładowi, zarodek może zostać przeniesiony - przez owady, ptaki, wiatr, cokolwiek - w inne miejsce. Jeśli znajdzie gościnne drzewo, na przykład młody dębczak, przyczepi się do niego i zacznie czerpać soki z jego korzenia. I jeśli warunki będą odpowiednie, zacznie rosnąć.

- Nadzwyczajne - powiedział Bennett.

- Istotnie. Ale nieprzewidywalne. Każdy rolnik panu powie, że matka natura nie jest partnerem, na którym można polegać. - Poe obejrzał długi, pomarszczony słupek popiołu, który urósł na końcu jego cygara, po czym strząsnął go do kominika. - I w tym był cały problem. Ludzie próbowali, Bóg świadkiem: był plan Somycela\*<sup>8</sup>, plan Signoreta\*<sup>9</sup>, plan INRA\*<sup>10</sup>, wszystko po to, żeby zmusić trufle do rozmnażania się na komendę. Nic z tego się nie powiodło. Ale tam, gdzie francuski rząd poniósł porażkę, jajogłowy odniósł sukces. Przy wydatnej pomocy z mojej strony, mogę dodać. Stworzyłem mu warunki do działania. Kupiłem kawał ziemi w departamencie Drôme, zbudowałem mu laboratorium, dałem mu czas - całe lata - i pieniądze. Dałem mu też coś, co było mu naprawdę potrzebne. Uznanie. - Poe skinął głową. - Wierzyłem w niego. I nie zawiódł mnie.

Cóż za dobroczyńca ludzkości z ciebie, pomyślał Bennett. I założył się, że niczego nie chciałeś w zamian.

- Cóż, moje gratulacje. To musiała być prawdziwa loteria, nieprawdaż?

-I wygrałem na tej loterii. Dwa lata temu moim dębom w Drome wstrzyknięte zostało do korzeni serum. W pierwszym sezonie mieliśmy siedemdziesiąt procent

---

<sup>8</sup> \*Somycel SA z siedzibą w Langeais jest największą europejską firmą, produkującą materiał wyjściowy do hodowli grzybów.

<sup>9</sup> \* Signoret SA, firma telekomunikacyjna z siedzibą w Nicei, partner Alcatela.

<sup>10</sup> \*Krajowy Instytut Nauk Agronomicznych.

skuteczności. W drugim sezonie - ponad dziewięćdziesiąt. Niech pan sobie wyobrazi, panie Bennett, możliwość produkowania rokrocznie całych ton towaru, który osiąga cenę od trzech do ośmiu tysięcy franków za kilogram. Mówimy o naprawdę okazałych sumach. O milionach. - Poe postukał się palcem w skrzydełko nosa, imitując gest chytrego francuskiego wieśniaka. -I oczywiście, ze względu na charakter przedsięwzięcia, znaczna część tego byłaby w gotówce.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy Poe pociągnął łyk whisky. Odstawił kieliszek i pochylił się do przodu.

- A teraz przechodzimy do złych wieści. - Jego głos się zmienił, jakby ktoś przeciągnął po nim osełką. Ostrze było wyczuwalne i Bennett poczuł gwałtowne pragnienie znalezienia się w innym miejscu. - Walizeczka - powiedział Poe - ta mała walizeczka, która została tak wspaniałomyślnie wydana przez pańską przyjaciółkę, zawiera wszystko - fiołki z serum, przepis umożliwiający dalszą produkcję, notatki dotyczące uprawy, dane produkcyjne, instrukcje obsługi, wszystko. Ktokolwiek posiada tę walizeczkę, może kontrolować rynek trufli. Rozumie pan teraz, dlaczego jest taka ważna?

Bennett poczuł nagłą suchość w ustach.

- Ale z pewnością pański człowiek... to znaczy, ten jajogłowy, mógłby zrobić trochę więcej tej substancji, nieprawdaż?

- Niestety, nie ma go już wśród nas. Awaria hamulców, zdaje się. Ogromna strata dla francuskiej agronomii. - Poe nie wydawał się specjalnie poruszony tą tragedią.

Bennett dopił swoją whisky jednym długim, nerwowym haustem.

- Mogę zadać panu jedno pytanie?

Poe skinął głową.

- Skoro ta walizeczka była taka ważna, to dlaczego została dostarczona do Monako? Dlaczego nie tutaj?

- Nie da się prowadzić długofalowego przedsięwzięcia tego rodzaju w zupełnej tajemnicy. Pogłoski, spekulacje, barowe pogawędki, wiejskie plotki - tym czy innym sposobem zawsze powstają jakieś przecieki. Oczywiście, byliśmy tak dyskretni, jak tylko to możliwe, ale wiem, że w ciągu ostatnich miesięcy liczni emisariusze



przeczesywali Prowansję w poszukiwaniu laboratorium z ramienia kilku zainteresowanych sprawą zleceniodawców. - Poe podniósł rękę, wyliczając na palcach. - Korsykanie, Japończycy, pewien syndykat z siedzibą w Kalifornii i, oczywiście, Włosi. Niektórzy z nich są konwencjonalnymi biznesmenami, inni nie. A raczej należałoby powiedzieć, że ich metody nie są konwencjonalne.

Bennett, chcąc nie chcąc, zadał sobie pytanie, czy jedną z tych niekonwencjonalnych metod było majstrowanie przy hamulcach samochodowych.

- To znaczy?

- Och, przekupstwo, perswazja siłowa - prymitywny repertuar w gruncie rzeczy, ale skądinąd skuteczny w stosunku do pewnego typu osób.

Na przykład w stosunku do mnie, pomyślał Bennett.

- Więc to po to byłem panu potrzebny w Monako? Na wypadek, gdyby się zrobiło nieprzyjemnie? Stokrotne dzięki.

Poe pokręcił głową.

- Powinien być pan o mnie lepszego zdania. Chodziło o wygodę, nie o to, żeby pana wystawiać na strzał. Widzi pan, Włosi wiedzą, gdzie jestem. Być może pozostali też. Tak czy inaczej, ta posiadłość jest obserwowana. Zatem uznałem za rozsądne, żeby walizeczka została dostarczona do Monako. - Spojrzał na Bennetta spod uniesionych brwi. - Wygląda na to, że się myliłem.

Bennett się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

- Cóż, nie powinien się pan załamywać z tego powodu. Wszyscy popełniamy błędy.

- I wszyscy musimy za nie płacić. I w ten sposób wracamy do pańskiej sprawy. - Poe wyciągnął w jego stronę pusty kieliszek. - Jeszcze po jednym?

W ciszy, która zapadła, Bennett nappełnił kieliszki i usadowił się z powrotem na krześle. Poe wpatrywał się z namysłem w sufit. Kiedy znów zaczął mówić, nie był już profesor dzielący się wiedzą, ale generał dokonujący odprawy swoich wojsk.

- Wiemy, kto ma walizeczkę. Ten człowiek nazywa się Enzo Tuzzi. Nie jest to urodzony dżentelmen, ale dość skuteczny na swój własny, gruboskórny sposób. W przeszłości doszło między nami do kilku nieporozumień, które źle się dla niego

skończyły, i wejście w posiadanie walizeczki - mojej walizeczki - to dla niego duża satysfakcja. Zaspokaja jego dziecinne pragnienie zemsty.

- Jest pan biznesmenem. Czy nie istniałaby możliwość... hm, no nie wiem, jakiejś ugody?

- Ugody? - Poe wyglądał jak człowiek, któremu ktoś napluł do whisky. Zaciśnął wargi i Bennett widział, że mięśnie wokół jego ust drgają. - Moja własność została skradziona, moja inwestycja jest zagrożona, a pan mi tu mówi o ugodzie? Z tą cyrkową małpą?

- Przepraszam - wycofał się Bennett. - Tak mi po prostu przyszło do głowy... Chciałem być pomocny.

Poe odetchnął głęboko i jego spokój powrócił.

- I będzie pan, panie Bennett, proszę mi wierzyć. Otóż jedna z licznych wad Tuzziego polega na tym, że szybkie pieniądze stanowią dla niego nieodpartą pokusę. Jestem przekonany, że będzie chciał sprzedać formułę i prawdopodobnie spróbuje skłonić pozostałe grupy do licytacji. Na cokolwiek się zdecyduje, będziemy o tym wiedzieć w ciągu kilku dni. Cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Nie będzie chciał czekać.

Bennett aż podskoczył, kiedy usłyszał za sobą dźwięk pocieranej zapalniczki. Zapomniał, że Shimo siedzi tam w cieniu i obserwuje. Ośli- zły gad!

- Oto jak będzie wyglądał dalszy ciąg. - Poe wstał, blask stołowej lampy oświetlał od dołu jego twarz, nadając jej wyraz posępnej, rzeźbionej głębokimi cieniami maski. - Kiedy ustalę czas i miejsce przetargu, wyślę tam swojego przedstawiciela.

- Cholernie dobry pomysł - powiedział Bennett. - Tylko jeśli ten człowiek będzie wiedział, że pan przystępuje do przetargu...

- Nie będzie. Nigdy wcześniej pana nie spotkał. Jego ludzie nigdy pana nie widzieli.

- Mnie? Chce pan, żebym wziął udział w tym przetargu?

- Niezupełnie, panie Bennett, niezupełnie. Zapłaciłem już dosyć za tę formułę. Nie mam zamiaru płacić po raz drugi. Chcę, żeby pan znalazł tę walizeczkę i przywiózł mi ją.

- Mam ją ukraść?

- Odzyskać. Nie będzie się pan uskarżał na brak hojności z mojej strony. Będzie premia, a to więcej, niż pan zasługuje, zważywszy okoliczności. Potem może pan wracać do Monako i zabawiać się ze swoimi dziewczynkami.

Bennett poczuł, że jego żołądek toczy nierówną walkę z wypitym alkoholem, i zmusił się, żeby przełknąć ślinę.

- Ale ja nie mogę tego zrobić. Ci ludzie to typy spod ciemnej gwiazdy, są niebezpieczni, sam pan to powiedział. Nie jestem Jamesem Bondem, do cholery. - Pokręcił głową zdecydowanym ruchem. - Nie, przykro mi, ale nie. Nie mogę.

- Ja pana nie proszę. Ja panu wydaję polecenie.

- A jeśli odmówię?

- To byłoby w najwyższym stopniu nierozsądne. - Poe spojrział na zegarek. - Niech pan się z tym prześpi, panie Bennett, i przemyśli alternatywne warianty. Nie są zbyt atrakcyjne. Shimo zaprowadzi pana do pańskiego pokoju.

Bennett poszedł za Japończykiem na koniec długiego korytarza, gdzie znajdowała się duża, wygodnie urządzone sypialnia. Kapa na łóżku była odchylona, zasłony zaciągnięte. Na nocnych stolikach świeże kwiaty, woda mineralna oraz wybór biografii i bestsellerów po angielsku i po francusku. Przez otwarte drzwi widział marmurową posadzkę łazienki. Był w potrzasku. Poczł złość i niespodziewane zmęczenie, marzył o gorącej kąpiel. Przypomnił sobie okrytą pianą Susie, tam w Monako. Odwrócił się do Shimo.

- Muszę zadzwonić. Do mojej przyjaciółki.

- Jutro.

- Jutro. - Bennett pokręcił głową ze znużeniem. - Czy regulamin zezwala na kąpiel?

Shimo popatrzył na niego, jakby nie usłyszał pytania.

- Niech pan nie próbuje wyjść przez okno. Włączy się alarm, a to by zdenerwowało dobermana pana Poe.

Bennett skinął głową. Spotkać zdenerwowanego dobermana w ciemnościach. Wspaniałe zakończenie tak pięknego dnia.

Shimo zamknął za nim drzwi i Bennett usłyszał dźwięk przekręcanego klucza.  
Co za pasztet! Co za gigantyczny, piekielny, przerażający pasztet!

TLR

## 8

Bennett przystosował się z trudem do życia w zamknięciu. Posiłki przynoszono mu do pokoju. Nie wolno mu było opuszczać domu, z wyjątkiem krótkiej wieczornej przechadzki po zapadnięciu zmroku, w towarzystwie dobermanów i ich opiekuna. Psy pomykały bezszelestnie między drzewami niczym ławica czworonożnych rekinów, ich ślepia połyskiwały krwawo w świetle latarki. Tylko raz Bennett próbował poklepać jednego z nich. Rozsądek kazał mu zatrzymać się wpół drogi, kiedy zobaczył odsłonięte zęby i przyplaszczony uszy. Mężczyzna obserwował go ubawiony i wydawał się rozczarowany, że Bennett cofnął rękę.

Z okna swojego pokoju Bennett widział skraj lądowiska i helikopter, latający tam i z powrotem trzy czy cztery razy dziennie. Któregoś ranka odleciała Chou-Chou, eskortowana przez gospodarza i dwóch mężczyzn, dźwigających liczne podróżne torby od Vuittona. Nastąpiło czułe pożegnanie, Poe stał i machał, dopóki helikopter nie wzniósł się w powietrze. Bennett zastanawiał się, dokąd ją wysyła i dlaczego. Żeby uzupełniła zapasy biżuterii o najnowsze paryskie modele? Czy żeby jej nie narażać, gdyby w Domaine des Rochers miało dojść do jakichś kłopotów? Liczba mężczyzn w czarnych garniturach wzrosła i, o ile Bennett nie siedział zamknięty w swoim pokoju, był zawsze pod jakimś okiem. W powietrzu wyczuwało się napięcie i posiadłość coraz bardziej przypominała fortecę.

Piękną fortecę, musiał to przyznać, jeszcze piękniejszą przy obecnej wspaniałej pogodzie, na której podziwianie miał mnóstwo czasu, siedząc w swoim pokoju. Lato przyszło wcześniej, ale słońce nie zdążyło jeszcze spalić ziemi na brąz. Połacie lasu na wzgórzach wyglądały, jakby zostały świeżo pomalowane żywą, lśniąca zielenią, a światło rzeźbiło kontury krajobrazu w przejrzystym powietrzu, dodając im szczególnej ostrości. Prawdziwy raj na ziemi, myślał Bennett, co czyniło jego sytuację jeszcze bardziej przygnębiającą.

Kilka razy dzwonił do Monako pod chłodnym, uważnym spojrzeniem Shimo. Wszystkim, co usłyszał, był jego własny, nagrany głos, obiecujący zadzwonić później. Doszedł do wniosku, że nie doczekawszy się go, Susie wróciła do Londynu,

jak się można było domyślić, w stanie skrajnej furii. Tyle zostało z jego romantycznego, słonecznego tygodnia. Tyle zostało z jego nowego, lepszego życia.

Pokojówka zastukała do drzwi, przynosząc mu jego jedyny komplet garderoby, prany i prasowany każdego dnia. Był to jeden z nielicznych drobnych luksusów przebywania w więzieniu u wybrednego milionera. Bennett zdjął szlafrok i włożył ubranie, przygotowując się na kolejny dzień chodzenia z kąta w kąt, prób skupienia się na lekturze, obserwowania zmian pogody i niepokoju o swoją przyszłość. Wziął biografię Balzaka pióra Grahama Robba, w nadziei że uda mu się uciec na cały dzień w dziewiętnaste stulecie.

Zdażył przeczytać zaledwie jedną stronę, kiedy usłyszał odgłos przekręcania klucza w zamku. Podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach jeden z czarnych garniturów. Krótki, bezceremonialny ruch głowy.

- *Venez.*

Bennett poszedł za mężczyzną korytarzem, minął kuchnię i zszedł na dół schodami prowadzącymi do piwnicy, która ciągnęła się przez całą długość domu. Zatrzymał się na najniższym stopniu, ogarniając wzrokiem widok jak z koszmarne snu abstynenta. Od sufitu do podłogi wzdłuż wszystkich ścian pobudowane były wnęki z pobielernej cegły, wszystkie najeżone butelkami. Różne rodzaje win były pogrupowane według pochodzenia i opatrzone lakierowanymi drewnianymi tabliczkami. Czarne, ręcznie malowane litery na białym tle wyglądały bardzo oficjalnie i po dickensowsku. Meursault, Krug, Romanee-Conti, Petrus, Figeac, Lafite-Rothschild, Yquem - znakomite marki były obficie reprezentowane i Bennett nie wątpił, że znakomite roczniki również.

- Krzepiący widok, nie uważa pan, panie Bennett? Jedna z najlepiej zaopatrzonych prywatnych piwnic we Francji z tego, co słyszałem. - Poe siedział przy małym stoliku, przed nim leżał otwarty, oprawny w skórę katalog zbiorów zgromadzonych w tej piwnicy. Poe zdjął okulary do czytania, które miał zatknięte na czubku nosa, i wstał. - Ale nie ściągałem tu pana, żeby pan patrzył na butelki. Proszę za mną. Chciałbym panu pokazać coś naprawdę imponującego, na swój sposób. - Poe był odprężony i przyjazny, podejrzenie przyjazny. Bennett miał przeczucie, że za chwilę spotka go coś nieprzyjemnego.



Poe otworzył drzwi, znajdujące się na drugim końcu piwnicy. Kiedy weszli do pomieszczenia, do którego prowadziły, Bennett musiał zmrużyć oczy przed ostrym światłem, odbijającym się od nagich, białych ścian.

- Oto duma i radość Shimo - powiedział Poe. - Jego osobiste dojo\*<sup>11</sup>. Spędza tutaj całe godziny. Poprosiłem go o mały pokaz, coś, co rozerwałoby pana trochę w tej monotonii przymusowego zamknięcia. Pomyślałem sobie, że będzie dla pana fascynujące zobaczyć, do czego jest zdolne ludzkie ciało.

Pokój miał kształt prostokąta, może czterdzieści na dwadzieścia stóp, ściany wykładane lustrami i podłogę z polerowanego sosnowego drewna. Nie licząc wąskiej, szczebelkowej ławki tuż przy drzwiach, jedynym elementem wyposażenia było coś, co przypominało ustawioną pionowo, wpuszczoną jednym końcem w podłogę deskę od trampoliny, której drugi koniec był owinięty słomianą matą mniej więcej na długości dwunastu cali.

- To urządzenie treningowe do ćwiczenia ciosów - wyjaśnił Poe. - Japońska nazwa wyleciała mi w tej chwili z głowy, ale Shimo twierdzi, że nic tak nie hartuje kostek dłoni, jak to. Bywają dni, kiedy się naprawdę zapamiętuje. Wiem, że zdarzało mu się uderzać w tę deskę tysiąc razy z rzędu bez odpoczynku. Ale oto i on we własnej osobie.

Shimo wszedł, nie reagując na ich obecność. Był boso, ubrany w biały, płócienny treningowy strój, wokół talii miał owinięty czarny pas. Przyniósł ze sobą krótki bambusowy kij grubości dwóch cali, który położył obok ławki, nim wyszedł na środek pokoju.

Głos Juliana Poe, wciąż dobroduszny, był teraz ściszony niemal do szeptu.

- Niech pan zwróci uwagę na ten pas. Widzi pan, że miejscami jest przetarty aż do białych nitek. To z powodu długoletniego używania. Otrzymał go jako młody człowiek. Teraz ma szósty dan. Wyjątkowy talent, zdaniem moich japońskich przyjaciół.

- A do czego ten kij? - zapytał Bennett również szeptem.

- Jedna ze sztuczek Shimo, specjalnie dla gości. Zobaczy pan.

---

<sup>11</sup> \*Z jap. - szkoła, w której doskonalili się sztukę samoobrony, np. dżudo lub karate.

Shimo zaczął rozgrzewkę. Stopy rozstawione na szerokość ramion, ruchy ciągłe i płynne, ręce krzyżujące się pod różnymi kątami na tle ciała, skupiona, pozbawiona wyrazu twarz. Bennett pomyślał, że mógłby być tancerzem, ze swoją gracją i zmysłem równowagi.

Nagle tempo się zmieniło. Płynne, spokojne ruchy ustąpiły miejsca szybkim jak mgnienie wybuchom kontrolowanej agresji, kiedy Shimo przeszedł do demonstrowania ciosów, kopniaków i bloków, nadal zachowując idealną równowagę. Niszczycielską siłę, kryjącą się w jego stopach i pięściach, każdy widział nawet z daleka. Bennett zmienił zdanie. To nie był tancerz. To była broń na dwóch nogach.

Shimo kontynuował ów pokaz zdyscyplinowanego chaosu, przesuając się stopniowo w stronę ławki, na której siedzieli dwaj widzowie. Jeszcze jeden obrót, zakończony kopnięciem wyprowadzonym na wysokości głowy i Shimo znalazł się naprzeciw Bennetta, przyczajony i nieruchomy. Spojrzał mu w oczy, z jego gardła wydobył się głęboki, jakby z głębi trzewi dochodzący ryk i ramię wystrzeliło przed siebie niczym tłok.

Szok wywołany dźwiękiem, bardziej niż cokolwiek innego, spowodował, że głowa Bennetta odskoczyła odruchowo do tyłu. Kiedy spojrział w dół, zobaczył, że pięść Shimo zatrzymała się tuż przed jego klatką piersiową. Nabrzmiąle, stwardniałe kostki dłoni Japończyka dotykały koszuli, ułamek cala od serca.

- Całe szczęście, że potrafi tak dobrze ocenić odległość - zauważył Poe, kiedy Shimo się wyprostował i cofnął. - Kilka cali dalej i ten cios by pana zabił. Efekty dźwiękowe też są interesujące, nie uważa pan? Oni nazywają to krzykiem ducha. Ma przerazić i dezorientować w chwili, gdy jest zadawany cios. - Poe uśmiechnął do Bennetta. - Boks według reguł markiza Queensberry'ego\*<sup>12</sup> wydaje się przy tym dość niewinny, nieprawdaż?

Bennett wypuścił powietrze i przełknął gwałtownie ślinę.

- Czy zdarza mu się robić to na serio? To znaczy walczyć z kimś?

- Nie ma na świecie zbyt wielu równych mu przeciwników. Większość z nich mieszka w Tokio, a to trochę za daleko, żeby wyskoczyć na mały sparing. - Poe wskazał ruchem głowy środek pokoju. - Niech pan patrzy.

---

<sup>12</sup> Reguły stosowane w brytyjskim boksie amatorskim od 1872 roku.

Shimo zajął pozycję przed deską treningową, wpatrując się w nią, jakby miał zamiar zamienić ją w kupę szczap. Zaczął uderzać, nie zginając rąk w łokciach, wyprowadzając ciosy z barku, mordercze i precyzyjne. Deska ugięła się pod każdym uderzeniem, odskakiwała z powrotem, znów się ugięła.

- To się nazywa skoncentrowany cios - wyjaśnił Poe. - Człowiek się wzdyga na myśl o tym, co mógłby zrobić z ludzką głową.

Sto, dwieście uderzeń, które nie wydawały się ani trochę słabnąć - i wreszcie ostatni cios, wyprowadzony przy akompaniamencie kolejnego, dudniącego jak grzmot pomruku, ni to charkotu, ni to krzyku. Deska zadygotała. Shimo cofnął się o krok, odwrócił i podszedł do ławki. Nie spuszczać oczu z Bennetta, podniósł bambusowy kij, trzymając go na wyciągnięcie ręki, tuż przed twarzą tamtego. Jego ciało steżało. Bennett patrzył niby zahipnotyzowany na dłoń trzymającą kij, widział, jak drży w skoncentrowanym wysiłku, widział, jak palce zaczynają się zaciskać, widział wzbierającą bulwę mięśnia przy podstawie kciuka, widział, nie wierząc własnym oczom, jak ten kciuk rozszczepia drewno i zagłębia się w nim.

Ramię Shimo opadło wzdłuż boku. Podał bambusowy kij Bennettowi, skłonił głowę przed Julianem Poe i wyszedł.

Poe wziął kij do ręki, przesuwał palcami po drewnie w miejscu, w którym je rozszczepił kciuk Shimo.

- Nie wiem, jak on to robi. Oczywiście, to tylko ćwiczenie dla wyrobienia kondycji. W sytuacji prawdziwej walki ten kciuk przebiłby tchawicę albo wyjął gałkę oczną. Z naszym Shimo nie ma żartów.

- Z uśmiechem zwrócił kij Bennettowi. - Może zechce pan to zachować na pamiątkę.

Znalazszy się z powrotem w swoim pokoju, Bennett podszedł do okna, wpatrując się w krajobraz i próbując wymazać z pamięci to, co przed chwilą zobaczył. To była „alternatywa”, o której wspomniał Poe, brutalne i obrazowe unaocznienie tego, czego mógł się spodziewać, jeśli będzie na tyle głupi, żeby nie zaoferować swoich usług. Bennett przesunął palcami po swoim gardle i pomyślał o stalowym kciuku Shimo. Jak długo jeszcze będzie tu tkwił, zanim pozwolą mu opuścić to miejsce?

Shimo przyszedł po niego nazajutrz późnym popołudniem. Bennett siedł za Japończykiem z mieszanymi uczuciami, z jednej strony, rad z perspektywy jakiegokolwiek działania, z drugiej pełen obaw, na czym to działanie może polegać. Szerokie kamienne stopnie zaprowadziły ich do tej części budynku, którą Bennett widywał dotąd jedynie z zewnątrz - do wieży, wyrastającej w jednym z narożników domu. Shimo zastukał, po czym otworzył ciężkie, stalowe drzwi i znaleźli się w biurze z dwudziestego pierwszego wieku.

Poe siedział za biurkiem. Gruby polerowany blat z drewna tekowego, mający kształt prostokąta o zaokrąglonych rogach, wspierał się na pojedynczej kolumnie z chromowanej stali. Ścianę naprzeciwko niego całkowicie pokrywały bezdźwięczne obrazy, migające na kilkunastu monitorach. Za nim widniał rząd mniejszych ekranów, w tej chwili pustych, oraz para bliźniaczych faksów. Szara masa komputera zajmowała całą boczną wnękę. W pomieszczeniu dał się słyszeć jednostajny, ledwie słyszalny szum, wydawany przez zgromadzone tu urządzenia - odgłos elektronicznego oddychania. Był to chłodny, funkcjonalny pokój, żadnych książek, obrazów, żadnej miękkości.

Shimo wskazał ruchem głowy jeden z niskich foteli ze skóry i chromowanej stali, stojących naprzeciw biurka. Usiedli i czekali, podczas gdy Poe kończył coś notować na bloczku papieru, następnie zdjął okulary i, ku pewnemu zaskoczeniu Bennetta, uśmiechnął się i skinął głową.

- Cóż, panie Bennett, z pewnością ucieszy pana wiadomość, że czas pańskiego przymusowego odosobnienia dobiega końca. Mam nadzieję, że nie było to zbyt dokuczliwe. Przykro mi, że nie mogliśmy panu pozwolić na opuszczanie domu w ciągu dnia, ale jak już panu wspominałem, jesteśmy obserwowani i nie byłoby dobrze, gdyby zauważono pańską twarz. Wydawało się to w najwyższym stopniu niewskazane. - Znów się uśmiechnął: uosobienie życzliwego gospodarza, zatroskanego o dobro swojego gościa. - Muszę powiedzieć, że miło jest, kiedy nasi konkurenci zachowują się w sposób przewidywalny. Zdecydowanie poprawia mi to nastrój, co pan przypuszczalnie zauważył. - Odchylił się w swoim fotelu i wygładził ciemnoniebieski jedwab gorsu koszuli opaloną i wymanikiurowaną dłonią. - Tak jak przewidywałem, nasz włoski przyjaciel Tuzzi uległ chciwości, co jest u niego typowe, i zamierza zorganizować licytację. Uczestnicy mają się spotkać w Cannes, skąd zostaną zabrani na pokład jego jachtu. - Kąciki ust mówiącego opadły z niesmakiem w dół. - „Ragazza di Napoli”, proszę sobie wyobrazić. Wydaje się raczej nieodpowiednią nazwą dla jednej z największych i najpaskudniejszych pływających spe-

lunek na Morzu Śródziemnym, ale tacy już są Włosi. Sentymentalni do szpiku kości. Tak czy inaczej, licytacja odbędzie się na morzu, podczas gdy statek będzie płynął na zachód. Tuzzi ma posiadłość w Ibizie i jeździ tam każdego lata, żeby odgrywać dziedzica i uganiać się za hiszpańskimi dziewczynkami. Odrażająca kreatura.

Do Bennetta nie bardzo docierały komentarze Juliana Poe odnośnie do letnich planów Tuzziego, gdyż całkowicie zaabsorbowała go upiorna wizja uwięzienia na jednym statku z bandą rzezimieszków. I to on miał ich przechytrzyć, ukraść walizkę i powrócić na stały ląd w jednym kawałku. Wszystko to wyglądało na jakiś senny koszmar.

- Robi pan wrażenie przybitego. W czym problem, panie Bennett? Kiepski żeglarz z pana?

Bennett uchwycił się tej wymówki.

- Fatalny. Zdarzało mi się dostać choroby morskiej już w porcie. Nawet głębszy koniec basenu kąpielowego...

- Niech pan zażyje jakieś pigułki - uciął Poe. - A więc jak mówiłem, statek będzie płynął na zachód. Kiedy licytacja dobiegnie końca, wszyscy uczestnicy zostaną wysadzeni na ląd w jednym z portów na francuskim wybrzeżu, ale jestem przekonany, że do tej pory zdąży już pan dokonać zamiany. Jeśli się to panu nie udało, powinien się pan trzymać jak najbliżej nabywcy.

- Zamiany? - Bennett zaczął się zastanawiać, czy nie umknęła mu jakaś informacja o zasadniczym znaczeniu. - Jakiej zamiany?

Poe zachichotał, lubując się prowadzoną przez siebie grą.

- Chyba nie przypuszcza pan, że wysłałbym pana w tak ważnej misji bez odpowiedniego przygotowania. - Odwrócił się razem z fotelem i schylił się, żeby coś sięgnąć. Kiedy się wyprostował, miał w ręku walizkę, identyczną z tą, którą Bennett widział w Monako. Położył ją na biurku. - Zmieści się bez trudu do torby z bagażem na jednodniowy pobyt. - Pstryknął zatrzaskami i wieczko odskoczyło. - Oczywiście - powiedział - zawartość jest spreparowana. W fiołkach znajduje się podprawiona woda, a dokumentacja naukowa jest fikcyjna, ale wszystko razem wygląda, jak mi się wydaje, dość autentycznie. Zwłaszcza jeśli nikt się nie spodziewa podróbki. Proszę spojrzeć.



Bennett pochylił się, żeby obejrzeć zawartość walizeczki. Górną część zajmowały rzędy fiolek, umieszczonych na podłożu z gąbki, każda z nich opatrzona etykietą, podpisaną pajęczym, francuskim charakterem pisma, zakorkowana i zapieczętowana. Pozostałą część walizeczki wypełniały dokumenty. Bennett przekartkował papiery: całe stronice wzorów, wydruków komputerowych, notatek dotyczących rodzaju gleby i nawodnienia, wykresy temperatury - aż nadto dosyć, żeby wprowadzić w błąd każdego, kto nie posiada dyplomu z agronomii. Bennett poczuł coś w rodzaju niechętnego podziwu dla skrupulatności Juliana Poe.

- Ja dałbym się nabrać - przyznał.

- Nie wątpię - powiedział Poe. - Zamknął wieczko i pokręcił pierścieniami szwefrowego zamka. - Jest ustawiony na tę samą kombinację, co w oryginalnej walizeczce. Pan lubi kobiety, panie Bennett, więc łatwo będzie panu zapamiętać: 91-61-91. - Następnie wziął małe, ciemnoniebieskie pudełko i pchnął je na skraj biurka. Pańska podkładka.

Bennett otworzył pudełko i ujrzał wypukłe, kaligraficzne pismo tradycyjnej wizytówki, z której treści wynikało, że czcigodny L. Bennett jest prezesem spółki akcyjnej o nazwie Consolidated European Investments z siedzibą w Zurychu.

Jak pan widzi, awansowałem pana na „czcigodnego”<sup>\*13</sup>. Włosi kochają się w tytułach, a Tuzzi to straszliwy snob, przypuszczalnie dlatego, że sam jest taki ordynarny. Będzie pod wrażeniem. Jeśli chodzi o ścisłość, już się skontaktowaliśmy z jego ludźmi i posłaliśmy im pańską wizytówkę wraz z listem przewodnim. Są zachwyceni, że arystokratyczny przedstawiciel szwajcarskiego syndykatu inwestycyjnego przyjeżdża, żeby wziąć udział w ich licytacji. Wszystkie telefony i fakсы na numery wymienione na wizytówce będą przekierowywane tu do nas *via* Zurych. Czyż technologia nie jest wspaniałą rzeczą?

Bennett wyjął wizytówkę z pudełka i przesunął paznokciem po jej powierzchni, wyczuwając kształty ozdobnych liter.

Poe się roześmiał.

---

<sup>13</sup> \*Ang. *the Honourable* - tytuł należny osobom pewnych szczebli arystokracji, posłom do parlamentu i amerykańskiego Kongresu oraz sędziom.



- Mogę pana zapewnić, że są w najlepszym gatunku. Nie dopuścilibyśmy, żeby nasz znakomity licytator czuł się niezręcznie z powodu kiepskiej jakości materiałów biurowych.

Bennett wpatrywał się w wizytówkę z rosnącym poczuciem straszliwej nieuchronności. Podniósł wzrok na swojego rozmówcę, który przyglądał mu się cierpliwie, z lekkim rozbawieniem na twarzy, i podjął ostatnią próbę urwania się z haka, który z każdą minutą wbijał mu się głębiej w ciało.

- Niech pan posłucha, to się nie uda, nie ma szans. Nie jestem odpowiednim człowiekiem do tej roboty. Nie mogę w pojedynkę pokonać gangu.

- Spokojnie, spokojnie, panie Bennett. Gdzie pańska awanturnicza żyłka? Zresztą nie będzie pan sam. Na ładzie co najmniej dwóch moich ludzi będzie pana dyskretnie obserwować przez cały czas. A kiedy pan podniesie kotwicę, będzie pan miał pomocnika - człowieka o wybitnych kwalifikacjach - który wsiądzie z panem na pokład. Wszystko zostało przewidziane.

Bennett zerknął w stronę Shimo.

- Nie, to nie on. Nie zdradzę niespodzianki. Musi pan tylko stawić się jutro rano na lotnisku w Nicei, w porze, kiedy przylatuje samolot Deltę z Nowego Jorku. - Poe pchnął w jego stronę leżący na biurku egzemplarz gazety. Był to londyński „Financial Times”. Różowy, charakterystyczny papier odcinał się blado na tle ciemnego drewna. - Zostanie pan rozpoznany. Wszystko jasne?

Bennett przestał walczyć z nieuchronnym i skinął głową.

-Jedna sprawa, jeżeli można. Więc jeśli chodzi o plusy... to wspominał pan coś o premii.

Poe przyjrzał mu się z namysłem.

- Widzę, że wreszcie zaczyna pan mówić jak człowiek. Powiedzmy, dziesięć tysięcy dolarów?

Bennett wahał się przez chwilę, po czym zdecydował, że lepiej nie przeciągać struny.

- Zgoda.

- Doskonale. Wyjedzie pan dziś wieczorem, kiedy tylko się ściemni. Proszę zadzwonić do mnie jutro z Monako, to omówimy szczegóły dotyczące pańskiego pobytu na statku. I jeszcze jedno, panie Bennett. - Poe oparł dłoń płasko na biurku i wstał. - Niech panu czasem nie przyjdzie do głowy jakieś głupstwo. Byłbym bardzo niezadowolony, po tych wszystkich perturbacjach, których już mi pan przysporzył.

Dochodziła północ, kiedy głodny i pełen niewesołych myśli Bennett otworzył drzwi mieszkania, gdzie powitał go liścik, pozostawiony na stoliku w holu.

*Drogi B.,*

*Nie uwierzysz, jestem oczarowana! Poznałam naprawdę boskiego Francuza nazajutrz po Twoim wyjeździe i od słowa do słowa... Jest cudownie! I to wszystko dzięki Tobie. Jestem pewna, że udało Ci się wywinąć z tamtych drobnych kłopotów, jak zawsze zresztą. Od czego Twój urok osobisty?*

*Muszę lecieć. Jean-Paul zabiera mnie do Paryża. Ma apartament na ile St-Louis. Czyż to nie romantyczne?*

*Duża buźka .*

*Susie*

Bennett był zbyt wyczerpany, żeby poczuć się jeszcze gorzej, niż się czuł do tej pory. Poszedł do kuchni, znalazł czerstwą bagietkę i otworzył lodówkę. Obok zapomnianego słoiczka z kremem Susie leżał zeschnięty kawałek sera brie. Przeżuł jedzenie, nie czując smaku, nastawił budzik, po czym położył się do niepościelonego, pustego i lekko pachnącego perfumami łóżka.

## 9

Bennett był na nogach o świcie. Stojąc na tarasie, popijając kawę i użalając się nad sobą, patrzył, jak pierwsze krople słonecznego światła przesączają się zza horyzontu, rozlewając się po powierzchni morza. Na wzgórze za jego plecami wspinała się, postępując, polewaczka, spryskując i szorując chodniki, aby były dostatecznie nieskazitelne dla uprzywilejowanych stóp mieszkańców Monako. Dla nich miał to być kolejny piękny, beztroski dzień, dzień słonecznego blasku, być może urozmaicony nieśpieszną przechadzką do banku, aby złożyć wizytę zdeponowanym tam pieniądzom przed udaniem się na lunch. Dzień, jakiego i on powinien się spodziewać. Potem uświadomił sobie rzeczywistość: jazda na lotnisko po jakiegoś goryla, potem niebezpieczeństwo, spora szansa porażki i nieznane, ale z pewnością paskudne reperkusje. Kawa nagle nabrała gorzkiego smaku. Wytrząsnął fusy do doniczki z geranium i wszedł do środka, żeby się ubrać przed czekającą go przeprawą.

Ranne powietrze było jeszcze chłodne i wolne od spalin, kiedy jechał wzdłuż wybrzeża, ze słońcem wznoszącym się szybko za jego plecami. Zaparkował za terminalem z dziesięciominutowym zapasem w stosunku do planowanego przylotu, ale samolot z Nowego Jorku wylądował przed czasem i właśnie pojawili się pierwsi pasażerowie, z zaczerwienionymi oczyma, wymięci i ziewający po nocy spędzonej nad Atlantykiem. Bennett trzymał przed sobą gazetę niczym różowy transparent i starał się odgadnąć, jak będzie wyglądał człowiek, z którym miał się za chwilę spotkać.

Współpracownicy Juliana Poe stawali się z każdym dniem bardziej mroczni i Bennett doszedł do wniosku, że w związku z kwestią włoską, która się ostatnio pojawiła, Poe zwerbował mu kogoś spośród nowojorskich „rodzin”, jakiś sycylijski odpowiednik Shimo, wyposażony w nóż, spluwę i garotę. Przebiegał wzrokiem pasażerów, rozglądając się za kimś o ciemnoniebieskim podbródku, przyodzianego w takiż garnitur.

Po pięciu minutach, kiedy nie dostrzegł nikogo, kto przypominałby ten karykaturalny wizerunek, zaczął mieć nadzieję wbrew nadziei, że władze imigracyjne

przyszły mu w sukurs i aresztowały jego niedoszłego współnika. Nagle wzdrygnął się, bo ktoś go poklepał po ramieniu.

- Pan Bennett, zgadza się?

Odwrócił się i zobaczył dziewczynę - wysoką, ciemnowłosą dziewczynę, czekającą z uniesionymi pytająco brwiami na odpowiedź.

- Tak czy nie?

- Tak. Tak, to ja - wykrztusił, kiedy zdołał odzyskać głos.

- Nazywam się Anna Hersh. Gdzie jest pański garnitur? Nie wygląda pan na jednego z tych kowbojów.

- Dobry Boże. Czyżby pani była?...

Dziewczyna się uśmiechnęła, ubawiona jego zaskoczeniem.

- Kogo pan się spodziewał? Wujaszka Vinnie z Bronxu? Po co nic panu nie powiedział?

- Nic. Powiedział tylko, że mam się tu stawić z tą gazetą.

Uśmiech dziewczyny zgasł.

- Uwielbia te swoje gierki. - Pokręciła głową. - Boże, nic się nie zmienił.

Bennett nadal znajdował się w stanie lekkiego szoku. Zamiast spodziewanej bestii patrzył - gapił się - na prawdziwą piękność. Jej włosy, raczej czarne niż brązowe, były lśniące i ścięte zupełnie krótko, po męsku. Białka oczu - niezwykle, bielsze, niż Bennett kiedykolwiek widział, podkreślające głęboki brąz tęczówek. Długi, delikatnie wyrzeźbiony nos, oliwkowa cera, mocno zarysowane usta o pełnej dolnej wardze. Stała przed nim, niemal równie wysoka, jak on, w dżinsach, białym podkoszulku i starej skórzanej kurtce.

- No jak? - zapytała. - Lustracja skończona?

- Przepraszam. Rzeczywiście, spodziewałem się wujaszka Vinnie z Bronxu. - Bennett wziął się w garść i przybrał dziarski ton. - Chodźmy po bagaż.

Dziewczyna wskazała ruchem głowy płócienną torbę, stojącą na ziemi.

- To wszystko. Nie planuję długiej eskapady.

Wyjechali z lotniska i znaleźli lukę w straceńczej kawalkadzie amatorskich kierowców formuły 1, zmierzających w stronę Nicei. Pusty żołądek Bennetta dawał o sobie znać, idąc o lepsze z silnikiem, jeśli chodzi o wydawane odgłosy, co przypomniało mu, że jego ostatnim normalnym posiłkiem był wczorajszy lunch w miękko wyściełanej celi. Zerknął na Annę.

- Słuchaj, umieram z głodu. Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy stanęli gdzieś na śniadanie?

- Czemu nie? Od lat nie piłam francuskiej kawy.

Odchyliła głowę do tyłu, wystawiając twarz na promienie słońca, i Bennett zaczął się zastanawiać, dlaczego wydaje się tak niefrasobliwa. Może wiedziała coś, czego on nie wiedział? Tak czy inaczej jej luz był zaraźliwy i Bennett poczuł, że jego poranny smutek zaczyna się ulatniać. Odsunął na bok horrory, jakie mogła przynieść najbliższa przyszłość i skoncentrował się na bardziej bezpośrednich zagrożeniach, stwarzanych przez innych użytkowników drogi. W przeciwieństwie do statecznych mieszkańców Monako nicejscy kierowcy wydawali się żywić osobistą urazę do jego mercedesa, trąbiąc, migając światłami i usiłując za wszelką cenę wcisnąć przed niego swoje małe samochody, miotające się z pasa na pas niczym obłąkane stalowe owady. Bennett dawno temu doszedł do wniosku, że francuscy kierowcy potrzebują trzech rąk: jednej do trzymania papierosa, drugiej do obraźliwych gestów, adresowanych do innych kierowców, i trzeciej do prowadzenia samochodu. Z pewną ulgą opuścił Promenade des Anglais i włączył się w długi sznur samochodów, sunących w żółtym tempie wąskimi uliczkami starego miasta.

Znaleźli stolik przed jednym z barów w rynku i złożyli zamówienie. Anna zdjęła kurtkę i wyciągnęła się leniwie w słońcu, przerzucając jedno smukłe ramię przez oparcie krzesła.

- A teraz mów. Nie jesteś jednym z jego przybocznych bezmózgowców. Jak to się stało, że dla niego pracujesz?

Bennett opowiedział całą historię, od ogłoszenia w gazecie, aż po skradzioną walizkę i liścik od Susie, podczas gdy Anna sączyła swoją *cafe creme* i pogryzała bagietkę z szynką, którą Bennett zamówił dla siebie.

- Tak to mniej więcej wygląda - zakończył, przywołując gestem kelnera. - Nie zostawiono mi wielkiego wyboru. To znaczy, o ile Poe nie żartuje, że mnie dopadnie, jeśli spróbuję dać nogę.

Anna skinęła głową.

- Nie żartuje. Nie lubi przegrywać. I ma przyjaciół, możesz mi wierzyć. Pięć, dziesięć tysięcy dolarów i każdy z tych ludzi pochowałby własną matkę. - Spojrzała na pusty talerz Bennetta i uśmiechnęła się. - Mogę polecić te kanapki.

Bennett zamówił kolejną u kelnera i jeszcze po jednej kawie.

- Ty nie wydajesz się zbyt zmartwiona perspektywą pracy dla szefa, który jest człowiekiem niebezpiecznym dla otoczenia. A może jesteś jednym z jego przybocznych? - Bennett przechylił głowę, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. - Jeśli tak, to cholernie dobrze zamaskowanym. Brak czarnego garnituru, brak widocznego arsenału, brak kalafiorowatych uszu. - Zmarszczył brwi. - Lekkie skłonności przestępcze, jeśli chodzi o śniadania innych osób, ale poza tym wziąłbym cię za dystygowaną panienkę z dobrego domu. Bibliotekarkę na wakacjach czy kogoś w tym rodzaju. Młodą damę, której człowiek bez wahania powierzyłby swojego psa.

Anna przyglądała mu się z namysłem przez dłuższą chwilę, dopóki kelner nie wrócił ze świeżą kawą i kanapką, którą Bennett chwycił oburącz.

- Zapomniałam, jacy szarmanccy potrafią być Brytyjczycy.

Odwinęła kostkę cukru i zamoczyła ją w kawie, patrząc, jak zmienia barwę na brązową. Bennett zauważył, że nie było pierścionków na jej palcach ani lakieru na krótko obciętych, zadbanych paznokciach. Dziewczyna puściła kostkę, która opadła powoli na dno, znikając w mlecznej pianie.

- Wygląda na to, że teraz moja kolej?

- Cóż, zawsze dobrze jest wiedzieć coś niecoś na temat osoby, z którą ma się pracować. - Pochodzenie, kwalifikacje, najbliższa rodzina, przynależność religijna, grupa krwi, ulubione formy spędzania wolnego czasu...

- Dobrze, już dobrze. - Podniosła wzrok. - Czy wiesz, że masz na twarzy resztki swojej kanapki?

Bennett wytarł okruszki, które pozostały mu w kąciku ust, i pochylił się, przechodząc do roli słuchacza.

- Znasz Nowy Jork?



Bennett skinął głową.

- No więc urodziłam się przy Riverside Drive. Mój tata był profesorem na uniwersytecie Columbia, mama troszczyła się o codzienne sprawy i gotowała rosółki, a ja wyrastałam na miłą żydowską dziewczynę. Mieli chyba nadzieję, że zakocham się w dentyście i ustatkuję się, ale ja chciałam podróżować. Tak więc rzuciłam college, kiedy byłam na pierwszym roku, i pojechałam do Paryża. Już w pierwszym tygodniu pobytu udało mi się załapać na wybieg, zaczęłam się nosić wyłącznie na czarno, palić gitane'y i tak dalej. Potem poznałam pewnego faceta. Był Francuzem i do tego fotografem, co stanowi chyba najgorszą kombinację z możliwych. Ego rozmiarów sporego budynku. - Zamieszała kawę i upiła łyk. - Do tego wszystkiego lubił kokę. Ciągnął jak odkurzacz. W końcu większość tego, co oboje zarabialiśmy, ulatniała się przez jego nos, a poza tym zaczęłam dostrzegać, że modelka to zwykłe mięso. Możesz zostawić mózg w domu i nikt tego nie zauważy, potrzeba ci tylko tyle szarych komórek, żeby zmieniać ubrania w odpowiednim tempie. Cóż, tak czy inaczej był najwyższy czas, żeby wyjechać z Paryża. Wtedy pomyślałam sobie, że po pierwsze, jestem Żydówką, a po drugie, znajduję się po właściwej stronie Atlantyku. Powinnam zobaczyć Izrael, wysłać tacie pocztówkę z Ejlatu, dotrzeć do swoich korzeni. W Stanach bardzo się przejmujemy korzeniami. I tak wylądowałam w wojsku.

Bennett wydawał się z lekka zdezorientowany

- Wzięli cię w kamasze?

- Wierz lub nie, zgłosiłam się na ochotnika. Miałam dwadzieścia lat i nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu, jak Izrael. W tamtych latach panował niesamowity duch: my kontra reszta świata - Saddam, arabscy twardogłowi i tak dalej - i czułam, że powinnam w tym uczestniczyć. Co mnie czekało w Nowym Jorku? College wydawał się czymś zbyt ugłaskanym. Tak więc wstąpiłam do wojska i radziłam sobie nieźle. Doszłam do stopnia podoficera. Sierżant Hersh do usług.

Bennett stwierdził, że trudno mu sobie wyobrazić tę wdzięczną, niedbale wyciągniętą na krzesło postać, maszerującą tam i z powrotem w bezpłciowym, pozbawionym indywidualnych cech żołnierskim uniformie.

-I jak było?

- Na początku wszystko wydawało mi się ekscytujące - patrole graniczne, cały ten antyterrorystyczny sztafaż. Potem przyszła rutyna, która chyba zawsze przy-

chodzi, nawet jeśli to, co robimy, jest niebezpieczne. Po jakimś czasie zaczęło to bardzo przypominać policyjną robotę. Ale nauczyłam się sporo. - Uśmiechnęła się. - Założę się, że jestem jedyną kobietą w Nicei, która potrafi prowadzić czołg.

Bennett rozejrzał się po sąsiednich stolikach, gdzie doborowe grono wymuska-nych pań pokrzepiało się filiżanką kawy przed przypuszczeniem decydującego szturm na sklepy.

- Nie widać czołgisty w zasięgu wzroku. To jest kawaleria Saint Laurenta, uzbrojona po zęby w karty kredytowe. Ale mów dalej. Tak więc postanowiłaś, że nie zostaniesz pierwszą izraelską kobietą generałem?

Anna pokręciła głową.

- To nie dla mnie. Trzy lata mi wystarczyły. W ciągu ostatnich kilku miesięcy na terytoriach okupowanych zrobiło się paskudnie. Zaczęłam się budzić rano, zastanawiając się, ilu ludzi zobaczę tego dnia pobitych, zastrzelonych albo rozerwa-nych na kawałki. A ja jestem Amerykanką. To nie był nawet mój kraj. - Wzruszyła ramionami. - Tak więc nie odnowiłam kontraktu. Miałam trochę odłożonych pie-niędzy i pomyślałam sobie, że wrócę pomalutku do domu, okreśną drogą, przez Eu-ropę. - Podniosła swoją filiżankę i spojrzała na Bennetta niewidzącymi oczyma, za-patrzona w przeszłość.

Bennett czekał w milczeniu, aż będzie gotowa podjąć swoją opowieść.

- Chciałam zobaczyć Wenecję - ciągnęła, kiedy wróciła do rzeczywistości. - Moi rodzice spędzili tam swój miesiąc miodowy i zawsze mówili, że chcieliby po-jechać jeszcze raz. Wpadłam na pomysł, że ich wyciągnę i tam się spotkamy. I wła-śnie w Wenecji poznałam Juliana. Poderwał mnie w jednej z tych kawiarenek na placu Świętego Marka.

- Niech zgadnę. Zaprosił cię na przejażdżkę gondolą.

- Prawie zgadłeś. Cóż, miałaś okazję go poznać. Szczwany z niego lis, a po fa-cetach, których pojęcie o randce sprowadza się do butelki piwa i rundy zapasów, był kimś zupełnie innym. Jego pojęcie o randce też było zupełnie inne. Najlepsze hotele, prywatny samolot, ciuchy, kwiaty i tak dalej. Zawrócił mi w głowie kom-pletely. Zdaje się, że nie byłam aż tak wyrobiona, jak mi się wydawało. - Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

Bennett próbował wyobrazić sobie kontrast pomiędzy koszarowym życiem a luksusowym kokonem, utkanym przez Juliana Poe.

- Cóż, musiała to być spora odmiana po prowadzeniu czołgów, prawda? Poza tym jest atrakcyjnym mężczyzną, o ile ktoś gustuje w takich zamożnych facetach po Eton.

Anna mówiła dalej, pozostawiając tę uwagę bez komentarza.

- Miał wtedy apartament w Genewie i tam zamieszkaliśmy. To znaczy ja tam mieszkałam. On zawsze był w rozjazdach, prowadząc swoje interesy.

- Jakiego rodzaju interesy?

- Waluty, nieruchomości... to były te, o których mówił. Były też inne, o których nie mówił. Być może broń. Jak na typowego biznesmena, miał stanowczo zbyt wielu przyjaciół wśród generałów. Ale na ogół trzymał mnie z dala od tych spraw. Spędzałam czas w Genewie, ucząc się francuskiego i czekając na niego. Aż któregoś dnia, po kilku latach, nie doczekałam się. Przysłał jednego ze swoich ludzi z bukietem róż i bilecikiem informującym, że między nami wszystko skończone.

- Jakies powody?

- Cóż, z czasem sprawa stała się jasna. Ma wybitną słabość do młodych dziewcząt. Masz dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, i nagle okazuje się, że jesteś za stara. Zostajesz wymieniona na nowszy model. Słyszałam, że jest teraz z jakąś francuską laseczką. Spotkałeś ją może?

Bennett skinął głową.

- Chou-Chou. Zdecydowanie nie jest typem operatora czołgu. Musiało ci być dość przykro.

- Boże, wy Brytyjczycy. Musiało być ci dość przykro - powtórzyła, przedrzeźniając go. - Miałam ochotę udusić sukinsyna. Bilecik, niech go szlag! Czułam się jak prenumerata, która wygasła.

- Nie rozumiem - powiedział Bennett. - Skoro jesteś na niego taka wkurzona, to dlaczego dla niego pracujesz?

Dziewczyna westchnęła i skryła oczy za ciemnymi okularami.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, oto dlaczego. - Mój tata zmarł w zeszłym roku, a mama choruje. Łapię od czasu do czasu jakieś fuchy jako modelka, mam też pracę w galerii sztuki w SoHo, ale lekarze rozprawiają się z tym szybciej, niż jestem w stanie zarabiać. A tu nagle, w zeszłym tygodniu, telefon od Juliana, jak grom z jasnego nieba. Proponuje mi pięćdziesiąt kawałków w gotówce za kilka dni pracy. Powiedział, że moje przeszkolenie wojskowe może się przydać, cokolwiek by to miało oznaczać. Tak czy inaczej, potrzebuję tych pieniędzy i dlatego tu jestem. Nie dla przyjemności to robię, możesz mi wierzyć. To interes. - Dopła swoją kawę i wstała. - Bierzmy się do roboty.

Bennett zerwał się pośpiesznie na nogi.

- Tak jest, sierzancie. Pójdę wydać rozkazy w sprawie transportu. Czy możemy zsynchronizować zegarki?

Anna narzuciła kurtkę.

- Boże - mruknęła. - Angole. Czy wy się rodzicie z tym poczuciem humoru, czy to przychodzi z czasetn?

Ruszyli w drogę powrotną do Monako. Anna drzemała, a samopoczucie Bennetta znacznie się poprawiło. Ładna buzia zawsze go podnosiła na duchu, a skoro Poe tyle jej płacił za asystowanie mu, musiała posiadać umiejętności, które z pewnością okażą się użyteczne. Wyglądało wprawdzie na to, że nie przepada za Anglikami, ale trudno jej się było dziwić po tym, jak została potraktowana. Przy pokonywaniu jednego z wiraży na Corniche głowa śpiącej Anny zsunęła się na jego ramię i Bennett spędził resztę drogi, snując przyjemne marzenia na jawie. Nie zatrzymają się w Monako, pojedą dalej, do Włoch, znajdą mały hotelik gdzieś na wybrzeżu, po czym on postara się, żeby Anna zmieniła zdanie na temat Anglików. Tak, pomyślał, a któregoś dnia zejda na dół i zobaczą piekielnego Shimo, jak gołymi rękami szatkuje ich hotelik w plasterki.

Anna się ocknęła, kiedy samochód zatrzymał się przed wjazdem na parking. Zerwała się gwałtownie, przecierając oczy.

- Nareszcie w domu - powiedział Bennett. - Ale ty pewnie znasz to miejsce, prawda?

- Poe o nim wspominał, ale sama nigdy tu nie byłam.

Bennett nacisnął ostatni guzik windy.

- Jest tu mniej więcej tak przytulne, jak w holu hotelowym, ale taras wynagradza to z nawiązką. Poza tym do kasyna są dwa kroki, gdybyś miała ochotę zaszaleć.

- Ty idź zaszaleć. Ja wezmę prysznic.

Bennett spojrział na zegarek.

- Zaczekaj chwilę. Może lepiej dajmy znać, że przyjechałaś. Myślę, że Poe będzie chciał z tobą porozmawiać.

Anna przewróciła oczami.

- Nie mogę się doczekać.

Poe wciąż był w dziarskim nastroju z poprzedniego dnia: dyrektor wykonawczy, instruujący swojego człowieka w terenie. Podał Bennettowi numer asystentki Tuziego w Cannes, która miała się zająć przetransportowaniem go na jacht, i przez kilka minut rozwodził się nad szczegółami, zanim poprosił do telefonu Annę. Dziewczyna wzięła słuchawkę, którą jej podał Bennett, jakby to było coś brudnego.

Mówiła monosylabami, lodowatym tonem, najwyraźniej zirytowana tym, co usłyszała. W końcu wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz - powiedziała. - W końcu to twoje pieniądze. - Łypnęła zezem na słuchawkę, odkładając ją na widełki, po czym spojrzała gniewnie na Bennetta.

- O co chodzi?

- Mam być twoją osobistą sekretarką. Mała miss Hersh. Niezły kawał.

- No, nie wiem - zaproponował Bennett. - Mnie się ten pomysł dosyć podoba. Jak tam twoja stenografia?

- Nie tak zaawansowana, jak sporty walki, więc może zachowaj swoje poczucie humoru dla kogo innego, dobrze? - Wstała i poszła po swoją torbę. - Gdzie jest łazienka?

Bennett wskazał jej schody prowadzące na dół, po czym przejrzał notatki, które zrobił podczas rozmowy ze swoim mocodawcą, i zadzwonił do Cannes pod podany numer. Dziewczyna, która odebrała telefon, powitała go jak szczególnie cenionego klienta. Wyraziła nadzieję, że lot z Zurychu upłynął przyjemnie, poddała kilka sugestii, gdzie mógłby się udać tego wieczoru na kolację, i poprosiła, żeby był

nazajutrz o piątej po południu w Port Canto - kanneńskim porcie, skąd łódź miała go zabrać na statek. Poinformowała go, że mister Tuzzi planuje uroczystą kolację na pokładzie „Ragazzy di Napoli” i wyraziła nadzieję, że mister Bennett i jego sekretarka (wymówiła to słowo tonem, który sugerował lekkie uniesienie brwi) uznają ten wieczór za niezapomniany. Zapewniwszy go, że służy mu wszelką pomocą o każdej porze, kiedy tylko będzie jej potrzebował, zakończyła rozmowę życzeniem *bon voyage*.

Tak więc kości zostały rzucone. Nie było odwrotu. Miał swoją fałszywą walizkę, swoje fałszywe wizytówki i swoją niechętną sekretarkę. Robienie szczegółowych planów nie miało sensu, dopóki nie będą mieli okazji rozejrzeć się po jachcie i ocenić stosowanych środków bezpieczeństwa. Teraz nie pozostawało im nic innego, tylko czekać.

- Bennett? Czy jest w tym domu piwo?

Anna przyszła na górę, bosa i z mokrymi włosami, ubrana w świeże dżinsy i podkoszulek, co przypomniało Bennettowi, że przyjechała bez bagażu. Tam na lotnisku ów sposób podróżowania wywarł na nim duże wrażenie, ale jedna mała torba nie mogła zawierać całej garderoby. Poszedł do kuchni i przyniósł dwie butelki kronenbourga.

- Anno, nie obraż się, ale czy jesteś pewna, że przywiozłaś dosyć rzeczy?

, Dziewczyna pociągnęła solidny, długi łyk prosto z butelki.

- Oczywiście - potwierdziła.

- Słuchaj, konkretnie chodzi mi o to, czy przywiozłaś cokolwiek oprócz dżinsów i bawełnianych podkoszulków? Spódnice, w ogóle takie bardziej damskie fatalszki?

- Masz na myśli sukienki? - Anna pokręciła głową. - Zostawiłam je w Nowym Jorku, razem z moimi kreacjami balowymi, kapeluszami koktajlowymi i szynszylami do samej ziemi. Jeśli chcesz pokazu mody, jutro włożę inny podkoszulek.

Nie ułatwiała mu zadania. Celowo, jak był przekonany.

- Chodzi o to - zaczął - że ja mam być doradcą inwestycyjnym, a ty moją... no, moją sekretarką.

- Dzięki za przypomnienie.



- Nie bądź taka drażliwa. To są interesy, pamiętasz? Zastanów się przez chwilę, czy wysoko postawiony doradca inwestycyjny z Zurychu, który raczej nie jest europejską stolicą luzu, jeśli chodzi o modę, będzie miał sekretarkę w dzinsach i podkoszulku. Nie jest to zbyt prawdopodobne, zgodzisz się?

Anna przygryzła dolną wargę i westchnęła.

- No nie, raczej nie jest.

- A więc będziemy musieli cię zaopatrzyć we wszystko, co trzeba. Urzędowy strój, uniform, czy jak to sobie zechcesz nazwać. Będzie to wprowadzić wymagało kolejnej wyprawy do Nicei, ale przynajmniej znam odpowiednie miejsce.

Anna uniosła brwi.

- Naprawdę? Czyżbyś zdradził Savile Row\*<sup>14</sup>?

- Boże - westchnął Bennett. - Ci jankesi.

Późnym popołudniem znaleźli się w tym samym butik, w którym Susie (wydawało się to tak dawno temu) nadwerężyła niemal do granic wytrzymałości swoją kartę kredytową. Sprzedawczyni najwyraźniej nie zapomniała Bennetta i kiedy Anna była w kabinie, podeszła do niego ukradkiem i rzuciła mu spojrzenie niczym porozumiewawcze szturchnięcie w bok.

- Moje gratulacje, monsieur. Same ślicznotki, co?

- To koleżanka. - Bennett odchrząknął. - Pracujemy razem.

Dziewczyna się uśmiechnęła i podeszła do wieszaków z ubraniami, żeby się upewnić, czy nie przeoczyła nic odpowiednio kosztownego.

Anna, która opuściła kabinę w dopasowanym jedwabnym kostiumie, była objawieniem. Poruszała się inaczej, kiedy miała na sobie to, co Bennett uważał za prawdziwe ubranie. Zobaczył, jak odżywa w niej modelka, kiedy odwróciła się na pięcie, stanęła przed lustrem - biodra wysunięte, jedna noga odstawiona - i przekrzywiła głowę, przyglądając się sobie krytycznie, obojętna na entuzjastyczne świergoty młodej sprzedawczyni.

---

<sup>14</sup> \*Ulica w Londynie, słynąca m.in. z ekskluzywnych salonów krawieckich dla panów.

- Leży nie najgorzej - powiedziała do Bennetta. - Czy spódnica jest wystarczająco długa, jak na Zurych, czy obowiązuje tam długość do kostek?

Bennett nieśpiesznie przyglądał się jej nogom. Co za strata, żeby ta dziewczyna chodziła w dzinsach.

- Tuż nad kolano - odezwał się w końcu. - Elegancko i zarazem oficjalnie. Jeśli o mnie chodzi, przynosisz chlubę profesji sekretarki. Zwłaszcza te bose stopy. Ale najpierw potrzebujesz paru spódnic i innych rzeczy. A po buty możemy pójść do Clergerie. To kawałek dalej przy tej samej ulicy.

Anna obejrzała się przez ramię, idąc z powrotem w stronę kabiny.

- Skąd ty się tak dobrze orientujesz?

- Pamiętasz, wspominałem ci o Susie. Ona robi zakupy za całą Anglię.

Dwie godziny później, po kilkunastu dalszych przystankach, Bennett oznajmił z satysfakcją, że, jego zdaniem, Anna została odpowiednio wyekwipowana. Obserwowanie, jak dziewczyna-twardziel zmienia się na jego oczach w elegancką kobietę, okazało się dla niego nieoczekiwaną przyjemnością. Nawet Annie, która powtarzała głośno i często, że nienawidzi zakupów, miło było widzieć zainteresowanie w oczach mężczyzny oraz jego niekłamany, pomimo żartobliwej formy, podziw. W przeciwieństwie do Juliana Poe, którego pochlebstwa zawsze były perfekcyjne w formie i treści, jakby zostały żywcem wyjęte z rozmówek dla zblazowanego bawidamka, komplementy Bennetta miały w sobie niewymuszone, ujmujące ciepło, jak zresztą cała jego osoba. Przynajmniej w chwilach, kiedy się trochę odsłaniał.

Tkwili w gigantycznym korku wraz z innymi kierowcami, opuszczającymi późnym popołudniem Niceę, wdychając morskie powietrze z lekka doprawione spalinami, mając uszy pełne histerycznego jazgotu przejeżdżających skuterów, który prawie uniemożliwiał rozmowę w otwartym samochodzie. Bennett marzył o ciszey, o szklance chłodnego wina i, jak to sobie właśnie uświadomił, o tym, żeby coś przekąsić. Naciskając z nagłą decyzją pedał gazu, przejechał tuż przed nosem wracającej do Włoch ciężarówki, machnął beztrąsco ręką trąbiącemu wściekle kierowcy i skręcił w stronę morza i Villefranche. Hałas przycichł jak nożem uciął.

- Pomyślałem sobie, że możesz być zła, bo z tego wszystkiego przegapiliśmy lunch - zwrócił się do Anny, która przed chwilą znajdowała się o kilka cali od pasz-

czy ciężarówka. - Miałabyś ochotę na kawałek ryby? Zakupy to praca zaostrzająca apetyt.

- Pięknie jest po prostu żyć - powiedziała Anna.

- Przepraszam cię, ale to był nagły impuls. W porcie jest parę sympatycznych knajpek, a jak zwykł mawiać książę Wellington, armia nie może maszerować z pustym żołądkiem czy coś w tym rodzaju.

- Napoleon. To powiedział Napoleon, nie Wellington.

- No i niech mu będzie. Tym Francuzom nic tylko racje żywnościowe w głowie.

Mercedes wykonał zgrabny wiraż, wpasowując się w jedno z cennych, nadających się do parkowania miejsc w Villefranche. Anna i Bennett wysiedli z samochodu i ruszyli nabrzeżem, wzdłuż którego ciągnęły się restauracje. Było jeszcze trochę czasu do kolacji i kelnerzy kończyli oporządzać ustawione na dworze stoliki, przypinając papierowe serwety, roztasowując sztućce i szkło niczym karty do gry, zapalając ostatniego papierosa, nim do portu spłynie wieczorna fala klientów, reprezentujących różne stadia poparzenia słonecznego.

Anna i Bennett przejrzeni wywieszane jadłospisy, wykazujące niezwykle podobieństwo (Bennett miał teorię, że istnieje jedna gigantyczna kuchnia, obsługująca wszystkie restauracje), zanim wybrali stół z widokiem za zachód słońca. Z pełnym satysfakcji westchnieniem Bennett sięgnął po kartę win, po czym spojrzał na Annę.

- Ty chyba pijesz wino, co?

- A dlaczego nie?

- No wiesz, żydowskie korzenie, wojskowa przeszłość...

- Chodzi ci o to, czy jem tylko koszerne rzeczy?

- Z ust mi to wyjęłaś.

- Zjadłam kanapkę z szynką, prawda?

Bennett podniósł wzrok i napotkał jej uśmiech.

- Jak mogłem zapomnieć! Odjąć ciężko pracującemu człowiekowi ostatni kawałek chleba od ust! Powinnaś się wstydzić.

- Chociaż - ciągnęła Anna, kiedy Bennett wrócił do studiowania karty - w żydowskiej religii jest wiele sensownych rzeczy.

- O, z pewnością. Wolisz białe czy różowe?

- Na przykład obrzezanie.

- Znakomicie. Wobec tego weźmiemy różowe.

Na pół godziny zapomnieli o tym, kim mają być, rozmawiając jak każda para ludzi, których przypadek zetknął ze sobą i którzy doszli do wniosku, że jest to interesujące, a nawet przyjemne doświadczenie. Jeśli chodzi o Francję, Anna znała wyłącznie Paryż, więc poprosiła Bennetta, żeby jej opowiedział o południowych stronach. Bennett mówił, lekko jak zawsze, o St-Martin, o Awinionie i Aix, o ludziach i porach roku, ale przez kpiarski ton przebijał pełen czułości entuzjazm. Anna kilka razy przyłapała się na tym, że szaniec, którym obwarowała się po doświadczeniach z Julianem Poe i w którym nikt od tamtej pory nie zrobił poważniejszego wyłomu, zaczyna się chwiać. Bennett, ze swojej strony, musiał się przywoływać do porządku, żeby nie gapić się na nią zbyt otwarcie, kiedy zachodzące słońce malowało światłem jej twarz i wydobywało blask jej oczu.

Kelner przywołał ich do rzeczywistości.

- *Monsieur Bennett? Telephone.*

Zdezorientowany i poirytowany, Bennett wszedł za kelnerem do restauracji i podniósł do ucha słuchawkę.

-Tak?

- Musi mi pan wybaczyć, że zakłócam waszą intymną kolacyjkę. - W głosie Juliana Poe nie było śladu poczucia winy. - Czy wszystko ustalone z ludźmi Tuzziego?

- Tak. Zabierają nas na jacht jutro wieczorem.

- Wyśmienicie. Cieszę się, że pan i panna Hersh tak dobrze się bawicie. Zakupy się udały, nieprawdaż?

- Skąd pan wiedział, że tu jesteśmy?

- Mówiłem panu, że będziemy pana po przyjacielsku obserwować. Miejmy nadzieję, że podczas następnej rozmowy będzie miał pan dla mnie dobre wieści. Bon appetit.

Wracając do stolika, Bennett przystanął i rozejrzał się po nabrzeżu, teraz coraz bardziej rojnym i gwarnym. Gdzieś w tym kłębiącym się, na pozór niewinnym tłumie czaiły się ludzkie dobermany Juliana Poe. Patrzyły na niego w tej chwili. Miały go obserwować podczas kolacji. Miały podążyć w ślad za nim do Monako. Zaczął się zastanawiać, czy w mieszkaniu też zostały zainstalowane pluskwy.

Anna zauważyła jego zaciśnięte usta, kiedy siadał z powrotem za stołem.

- Niech zgadnę - powiedziała. - To nasz umiłowany wódz chciał cię poinformować, że o nas pamięta. Zgadza się?

Bennett skinął głową i nalał sobie wina.

- Musieliśmy mieć ogon przez cały dzień. Niezbyt miłe uczucie, prawda?

- On nie jest miłym facetem. Mówiłam ci.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, zerkając od czasu do czasu po sąsiednich stolikach, w tej chwili zajętych co do jednego. Ich wysepkę ciszy otaczał wesoły gwar, zewsząd dolatywały strzępki rozmów prowadzonych w najrozmaitszych językach, wybuchy śmiechu i brzęk szkła, towarzyszący wznoszeniu wakacyjnych toastów.

Jeszcze jeden beztroski wieczór na Riwierze. Bennett stracił apetyt i odsunął swój talerz.

- Cóż - rzekł. - Masz jakieś pomysły co do jutrzejszego dnia?

Anna pochyliła się nad stolikiem i nabiła na widelec porcję frytek, które Bennett zostawił na talerzu.

- To zależy, gdzie Tuzzi trzyma walizeczkę. Uczestnicy licytacji będą chcieli ją obejrzeć i być może wtedy nadarzy się okazja, żeby zrobić podmiangę, ale głowy bym za to nie dała. - Przeżuła, przełknęła i wzruszyła ramionami. - Myślę, że będziemy mieli większe szanse po przetargu. Postaramy się trzymać blisko nabywcy i dopadniemy go, kiedy tylko wysiądziemy na ląd.

Bennett zaczynał rozumieć, dlaczego Poe zwerbował Annę.

- Czy masz duże doświadczenie w tych sprawach? To znaczy w dopadaniu ludzi?

Anna spojrzała na niego z nikłym uśmiechem.

- Większe niż ty, jak przypuszczam.

- W takim razie wszystko ustalone. Ja będę trzymał twój płaszcz.

Bennett zapłacił i opuścili nabrzeże, idąc w górę stromej uliczki, prowadzącej do małego placu, gdzie zaparkowali samochód. Kiedy mijali bar-tabac, Bennett przystanął, żeby kupić gazetę i cygaro. Anna zerknęła na tłumek turystów roztrząsających przy ladzie dramatyczną kwestię wyboru widokówek.

- Spotkamy się przy samochodzie, dobrze?

Bennett przystanął pod uliczną latarnią, żeby zerknąć na najważniejsze wiadomości dnia. Kampania wyborcza, oskarżenia i obietnice polityków. Wsunął gazetę pod pachę i skręcił za róg, gdzie zostawił swojego mercedesa. Anna stała przy samochodzie, rozmawiając z jakimś mężczyzną. Pewnie jeszcze jeden gołębek pokoju, przysłany przez Juliana Poe z zapewnieniem o przyjaźni i współpracy. Przyspieszył kroku.

Było po wszystkim, nim zdążył krzyknąć. Ujrzał uniesioną rękę mężczyzny, błyskawiczny cios w twarz, wymierzony mu przez Annę, jego głowę odskakującą do tyłu, a następnie szarpniętą gwałtownie z powrotem, prosto na ustawione w poprzek przedramię dziewczyny, które wcisnęło mu się w gardło. Nogi się pod facetem ugięły i osunął się na ziemię niczym pusty worek.

- Anno! Nic ci nie jest? - zapytał Bennett, kiedy zdołał wreszcie dobyć głosu.

Anna podniosła wzrok znad leżącego u jej stóp ciała i odetchnęła głęboko.

- Ze mną wszystko w porządku. Ale spójrz na to. - Pokazała mu okno od strony kierowcy, wyciągając długą stalową taśmę, wsuniętą między szybę a drzwi. - Parszywy gnojek. Jeszcze pół minuty i byłby w środku.

Bennett pochylił się nad leżącym.

- Co ty mu, u diabła, zrobiłaś?



- Podstawowy chwyt duszący. Dojdzie do siebie za kilka minut. - Ziewnęła i podeszła do samochodu. - Jedźmy już. To był ciężki dzień.

Bennett jechał powoli, Anna drzemała na siedzeniu obok niego. Już po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni był świadkiem użycia siły. Shimo był przerażający, ale w jego popisach był pewien rytuali- zowany dystans, a jedyną ofiarą okazał się bambusowy kij. Anna powaliła człowieka, mogłaby go bez trudu zabić, gdyby chciała, i to zapewne nie okazując większych emocji niż Shimo. Było to kolejne niemiłe przypomnienie, że wdepnął bez ratunku w coś, co mogło się okazać brutalną grą.

Wjeżdżali do Monako, kiedy wieczorne gwiazdy zapalały się nad kasynem, witając pierwszych graczy, opuszczających w minorowych nastrojach jego podwoje, kiedy skończył im się fart i pieniądze, a marzenia o kawiorze i szampanie zmieniły się w bardziej realistyczną wizję piwa i kanapek. Długie, eleganckie limuzyny zajeżdżały przed „Hotel de Paris”, wysadzając pasażerów. Hol rozbrzmiewał odgłosami przesyłanych w powietrzu pocałunków i delikatnym pobrzękiwaniem zderzających się ze sobą naszyjników, zdobiących szyje dziewcząt, ściągających na kolację w towarzystwie swoich tymczasowych wujków. Cóż byłoby miłszego niż zabrać Annę do środka na kieliszek szampana i zapomnieć o jutrzejszym dniu, pomyślał. Spojrzał na dziewczynę, skuloną obok niego, nadrabiającą brak snu, wywołany zmianą strefy czasowej, i potrząsnął ją delikatnie za ramię.

- Jesteśmy na miejscu.

Wszedł za nią do mieszkania, zszedł po schodach do sypialni i postawił torby ze sprawunkami przy łóżku.

- Dzięki - powiedziała Anna i uchyliła okno, żeby wpuścić wieczorną bryzę. - Gdzie jest twój pokój?

- No, właściwie był tutaj.

- No to masz pecha, młodzieńcze. - Padła z westchnieniem na łóżko. - Miłych snów na kanapie.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli wezmę szybki prysznic?

- Czuj się jak u siebie w domu.

Kiedy wyszedł z łazienki, Anna leżała wyciągnięta na łóżku, obejmując jedną ręką poduszkę. Jej twarz wydawała się młodsza i łagodniejsza we śnie. Bennett zastanawiał się przez chwilę, czy nie zrobić dziewczynie przysługi i nie ściągnąć jej wysokich butów, ale się rozmyślił. Pewnie pomyślałaby, że chce je ukraść, i zafundowałaby mu podstawowy kopniak obronny, po którym wyleciałby przez okno. Rzucając ostatecznie spojrzenie na jej twarz, zgasił światło i poszedł na górę na swoją dziewczęcą, spartańską kanapę.

Nalał sobie whisky i usiadł w ciemności, myśląc o tym, jak nagle zmieniło się jego życie, jak odległe wydawało się w tej chwili St-Martin, jak blisko niebezpiecznych ludzi się znajdował. Zamknął oczy i znów ujrzał głowę tamtego mężczyzny, rękę Anny, sięgającą do jego potylicy, nagle szarpnięcie, nieprzytomne ciało, leżące bezwładnie na ziemi. Opróżnił kieliszek, pokręcił głową i sięgnął po butelkę.

Obudziły go dźwięki radia France-Musique i zapach parzonej kawy. Przez krótką chwilę, nim całkiem oprzytomniał, wydawało mu się, że jest u siebie w St-Martin, Georgette krząta się po kuchni, a jego czeka przyjemny, pozbawiony komplikacji i niebezpieczeństw dzień. Potem uświadomił sobie, że ciało mu zeszywniało po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji, otworzył oczy i uniósł ostrożnie głowę z zaimprovizowanej poduszki, zrobionej ze zwiniętych spodni. Kark miał obolały. Kiedy spał, ktoś wbił mu śrubokręt w czaszkę i obracał nim, ilekroć próbował się poruszyć. Spojrzał w dół, na swoje buty, skarpetki, koszulę, pustą butelkę po whisky i przewrócony kieliszek, walające się na podłodze. Jęknął, zwlókł się z kanapy i ruszył po omacku w stronę kuchni.

- Wyglądasz dennie - powitała go jasnym głosem Anna. - Kawy?

Bennett skinął głową i patrzył, mrużąc oczy przed światłem, jak napełnia filiżankę i podaje mu ją. Wyglądała na świeżą i wypoczętą, pachniała mimozą, tak jak jedno z kosztownych mydełek w łazience Juliana Poe. Bennett spojrział w dół na swoje zmięte bokserki i podrapał się po nieogolonej szczęce. Czuł się równie dennie, jak wyglądał.

- Idę po rogaliki - oznajmiła Anna. - Może byś tak wziął prysznic?

Bennett skinął ostrożnie głową.

- Tak jest, sierżancie. Ablucje. Wymarsz na śniadanie ósma zero-zero. - Poczłapał w stronę łazienki, ściskając oburącz filiżankę z kawą.

Anna przyłapała się na tym, że gapi się na jego opalone plecy, których linia przechodziła płynnie w wąskie biodra.

Pół godziny później, pokrzepiony aspiryną i zabezpieczony przed ostrym porannym światłem za pomocą ciemnych okularów, Bennett dołączył do siedzącej na tarasie Anny. Zaciął się przy goleniu i osuszał skaleczenie chusteczką.

- Zostałem ranny w akcji - oświadczył. - Będziesz musiała przejąć moje zadania. Ja idę na zwolnienie lekarskie.

- Mój ty bohaterze. - Anna podała mu rogalik. - Zastanawiałam się trochę - zaczęła. - Powiedzmy, że nie uda nam się podmienić walizeczki na jachcie. To oznacza, że będziemy musieli pojechać za nabywcą.

Bennett wgrzył się w maślany rogalik, czując, jak delikatne ciasto rozpływa mu się w ustach. Aspiryna zaczynała działać. Być może nawet uda się jakoś przeżyć ten dzień.

- Jest jeden zasadniczy problem - ciągnęła Anna. - Jak mamy za nim pojechać, skoro samochód zostanie w Cannes?

Bennett zmusił do działania swój mózg, który zaczynał dopiero rozpracowywać problem koordynacji ruchowej, niezbędnej do uporania się ze śniadaniem. Jak słusznie zauważyła Anna, samochód zostanie w Cannes, a oni opuszczą pokład jachtu w jakimś bliżej niesprecyzowanym porcie wybrzeża. Czy nabywca umówi się z kimś, żeby go stamtąd odebrał? Niemal z całą pewnością tak. Prawdopodobnie, żeby go zawiózł na najbliższe lotnisko. Jak można dopaść na piechotę kogoś, kto siedzi w samochodzie? A może powinni wziąć taksówkę i pojechać za nim? I co dalej? Bennett poczuł pod czaszką świeże ukłucie bólu, ale gdzieś tam, walcząc z resztkami kaca, kołatało się rozwiązanie, usiłując się przebić na powierzchnię.

- Bennett? Jesteś tu jeszcze?

Bennett wyciągnął w jej stronę pustą filiżankę. Wraz ze świeżą porcją kawy przyszła inspiracja. Ludzie Juliana Poe będą śledzić wszelkie poruszenia jachtu. Ludzie Juliana Poe będą czekać na miejscu, do któregokolwiek portu by zawinął. Ludzie Juliana Poe będą mieli samochód i podręczny arsenał. Ludzie Juliana Poe mogli wykonać brudną robotę. Sprawa była prosta. Wszystko, co oni musieli zrobić, to wskazać im nabywcę i zdać resztę na nich. Bennett spojrział rozpromieniony na Annę i machnął energicznie w powietrzu resztką swojego rogalika, niczym dyrygent zagrzewający orkiestrę do finałowego crescendo.

- Posiłki - oznajmił. - Oto odpowiedź. Należy sprowadzić posiłki.

Anna słuchała, kiedy wyjaśniał swoją koncepcję.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Ja na to nie idę. Jeżeli pozwolimy, żeby jego ludzie sami odebrali walizeczkę, to nie dostanę swoich pieniędzy. - Patrzyła na niego bez zmrużenia oka, z wyrazem zdecydowania na twarzy. - Liczę na tych pięćdziesiąt kawałków. Lekarze również.

Bennett nie dawał za wygraną, coraz bardziej podekscytowany tym eleganckim i bezbolesnym rozwiązaniem.

- Pozwól mi z nim porozmawiać. Słuchaj, to przecież tylko wariant awaryjny, na wypadek gdyby nie udało nam się zamienić walizeczek. Chyba to lepsze niż w ogóle ją stracić, nie uważasz?

Anna nie odpowiedziała. W jej głowie zaczynał się formować niezależny plan co do walizeczki - plan, który nie przewidywał jakiegokolwiek udziału Juliana Poe w jej odzyskaniu. Ale dzielenie się nim w tej chwili z Bennettem niepotrzebnie skomplikowałoby sprawę. Tak więc po demonstracyjnie długich, skądinąd niepodrabianych oporach zgodziła się, żeby zadzwonił do Juliana Poe.

Bennett wrócił po dziesięciu minutach, uśmiechając się triumfalnie.

- Wszystko ustalone - oświadczył. - Jego ludzie będą czekać w porcie, przebrani za francuskich gliniarzy. Jeżeli nie uda nam się załatwić podmiany, damy im naszą lipną walizeczkę. Zatrzymają nabywcę po drodze pod pretekstem podejrzenia o przewóz narkotyków, fałszywego camemberta czy czegokolwiek innego i przeskakują samochód. Odwrócą uwagę faceta, zabiorą prawdziwą walizeczkę, a podrzucą atrapę. - Bennett pokręcił głową. - Ten Poe to diabelnie chytra sztuka. Chce, żeby nabywca się zorientował, że kupił lipę, co nie zajmie mu zbyt wiele czasu, kiedy dotrze do laboratorium, i żeby pogonił Tuzziemu kota. Wiesz, co powiedział? „To go powinno na jakiś czas oderwać od uganiania się za dziewczynkami po Ibizie”.

- Jest wspaniałym rozmówcą.

Kac Bennetta zaczynał ustępować miejsca szampańskiej euforii. Udało mu się urwać z haczyka. Pozostanie im tylko odgrywać swoje role przez dzień lub dwa, przegrać licytację w przekonujący sposób i przekazać walizeczkę oraz cały problem prywatnym siłom policyjnym Juliana Poe. Jego obolała głowa ozdrowiała w cudowny sposób. Wypadało to jakoś uczyć.

Spojrzał rozpromieniony na Annę.

- Cóż, panno Hersh, wiem, że to niezgodne z polityką firmy, żeby dyrektorzy i ich sekretarki bratali się ze sobą na niwie towarzyskiej, ale zważywszy okoliczności, myślę, że można by trochę nagiąć obowiązujące reguły, nie uważa pani?

Wyglądał jak uosobienie szczęścia. Anna nie była w stanie powstrzymać uśmiechu.

- Co konkretnie planujesz? Biurową bibkę?

- Lunch, panno Hersh, lunch. - Spojrzał na nią znad ciemnych okularów. - Zrobisz coś dla mnie? Włożysz spódnicę? Normalne buty? Pojedziemy do „Bacona”. Obiecuję, że sam szef kuchni wyjdzie ucałować kraj twojej szaty, zdumiony przybyciem tak olśniewającej klientki. Poza tym dają tam świetną rybę.

Weszli kolejno do sypialni, żeby się przebrać i spakować przed odjazdem. Nastrój Bennetta był zaraźliwy i Anna stwierdziła, ku swojemu zaskoczeniu, że ubiera się, aby mu sprawić przyjemność, w krótką lnianą sukienkę bez rękawów w odcieniu jasnego beżu i buty na wysokich obcasach, dodając kropelkę Chanel u nasady szyi. Stojąc w łazience przed lustrem, przypomniła sobie tekst ze starej reklamy perfum: „Muśnij te miejsca, gdzie chciałabyś być całowana”. Spojrzała na swoje odbicie. Czy chciałaby, żeby Bennett ją pocałował? Będzie musiała to przemyśleć.

Bennett czekał na nią na górze, w blezerze i flanelowych spodniach, z krawatem absolwentów Eton, wyciągniętym z szafy Juliana Poe, zdobiącym jego najlepszą niebieską koszulę. Gdyby jeszcze zapiął rozporek, pomyślała Anna, można by się z nim wszędzie pokazać. Skinęła głową z aprobatą.

- Nieźle. Jak się ogarniesz, to nawet wyglądasz jak człowiek.

Bennett skłonił głowę.

- Ty też wyglądasz nie najgorzej, jak na emerytowanego podoficera. - Z zainteresowaniem obserwował, jak jej ciało porusza się pod sukienką, kiedy szła przez hol i schylała się, żeby postawić torbę na podłodze. Wkrótce będzie po wszystkim, pomyślał, a wtedy być może uda mu się ją przekonać, żeby została. Ciekawe, jak by jej się spodobało w St-Martin? Ciekawe, jak ona by się spodobała Georgette? - Masz wszystko? - zapytał. - Nie zapomnij, że dziś wieczorem przewidywana jest elegancka kolacja na jachcie. Mam nadzieję, że przywiozłaś ze sobą swoje ordery.

Anna otworzyła drzwi mieszkania i obejrzała się na Bennetta.

- Zapnij rozporek. To rozkaz.

Odkąd pamiętał, restauracja „U Bacona” na Cap d'Antibes była czymś w rodzaju świątyni dla ludzi, których bardziej interesowała ryba na ich talerzu niż to, kto siedzi przy sąsiednim stoliku. Nigdy niebędąca ostatnim krzykiem mody i zazwyczaj ignorowana przez różne niedoszłe znakomitości, należała do kategorii, którą Francuzi określają mianem serieuse - wyśmienite jedzenie, telepatyczna ob-



sługa, zacieniony taras z widokiem na morze i rachunki, które na długo pozostają w pamięci. Bennett lubił tutejsze łagodne światło, atmosferę delektowania się w ciszy i skupieniu dobrym jedzeniem, a tego dnia dodatkowo cieszyła go myśl o brytanach Juliana Poe, siedzących gdzieś nieopodal w przegrzanym samochodzie, jedzących kanapki i oblewających się potem.

Zamówił dwie lampki szampana i wznosił toast:

- Za mojego ulubionego sierżanta.

Anna przechyliła głowę.

- Jak wielu ich znasz oprócz niego?

Bennett potarł z namysłem szczękę.

- Niezbyt wielu. I wszyscy muszą się golić. To miał być komplement.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, uśmiechając się w milczeniu, dopóki nie pojawił się kelner z dyplomatycznym chrząknięciem i zestawem jadłospisów.

- Mógłbym coś polecić? - zapytał Bennett. - Mają tutaj takie śliniaczki, wiesz, dla tych spośród nas, którzy mogą być trochę nieporządni. - Szkoda byłoby zniszczyć tę sukienkę.

- Postaram się nie ślinić, ale dobrze, wezmę śliniaczek.

- Rozsądna dziewczyna. Coś jeszcze do tego?

Nieśpieszna ceremonia posiłku zaczęła się od białego bandola i cienkich jak wafelek, nie większych niż znaczek pocztowy pierożków ravioli. Patrząc na swoją wytworną towarzyszkę, Bennett z trudem był sobie w stanie wyobrazić, jak unieszkodliwia złodzieja samochodów. Wyglądała na stałą bywalczynię takich miejsc, jak to. U boku kogoś w rodzaju Juliana Poe.

- Powiedz mi - spytał - co zrobisz, kiedy będzie po wszystkim?

Anna spojrzała w dal na morze, potem na twarz Bennetta, ciemną w obramowaniu białego śliniaczka.

- Wrócę do Nowego Jorku, jak przypuszczam. Pospłacam lekarzy, zobaczę się z mamą, może opowiem jej o facecie, którego spotkałam we Francji.

- Co byś jej powiedziała?

- Zastanówmy się. - Anna udała głęboki namysł. - Nie dentysta. Nie prawnik. Nie Żyd. Nigdzie niezatrudniony.

Bennett wytarł swój talerz kawałkiem chleba.

- Rozumiem, jednym słowem, znakomita partia. Marzenie każdej dziewczyny.

- A co ty byś powiedział swojej mamie?

- Hm - mruknął Bennett - musiałbym ją najpierw znaleźć. Oddaliła się bez przepustki, kiedy miałem siedem lat. Jestem nieoficjalnym sierotą. - Opowiedział jej o swoich rodzicach wagabundach i być może zaczęłyby mu współczuć, gdyby sam okazał bodaj cień żalu nad sobą i gdyby się tak nie śmiała. Zapomniała, jak atrakcyjną rzeczą może być poczucie humoru u mężczyzny, jak łatwo się z kimś takim obcuje.

Bennett przerwał opowieść i oboje obserwowali godny chirurga popis zręczności kelnera, który filetował ich rybę, mając za narzędzia wyłącznie łyżkę i widelec. Na jakiś czas oboje skupili się na jedzeniu, popatrując na siebie' od czasu do czasu: Bennett pełniący obowiązki szafarza, Anna coraz bardziej odprężona i zrelaksowana.

Skończyli jeść i rozsiedli się wygodnie. Anna obserwowała, jak Bennett ogląda krytycznie swój śliniaczek.

- Moja gospodyni w St-Martin uwielbia mi powtarzać, że Anglicy nie potrafią jeść, nie rozrzucając jedzenia wszędzie naokoło. Chyba będę musiał przyznać jej rację.

- Zawsze wierzysz w to, co ci mówią kobiety?

- Absolutnie. Zawsze byłem jak wosk w rękach kobiet, od czasu, kiedy się zadurzyłem w kierownicze szkolnego internatu. Pamiętam dzień, kiedy wszyscy mieliśmy pościelić swoje łóżka, a ona przeprowadzała kontrolę. „Bennett - powiedziała - jeśli nie nauczysz się ścielić porządnie łóżka, to będziesz miał ze mną do czynienia". Nagle zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, i zaczerwieniła się. Szalałem za nią przez cały semestr.

- Ile miałeś lat?

- Trzynaście. Potem złamała mi serce i uciekła z nauczycielem muzyki. Nigdy się po tym nie pozbierałem. Po dziś dzień usycham z tęsknoty. Może byśmy zamówili poziomki? Są pyszne z *creme fraiche*\*<sup>15</sup>.

Poziomki zostały podane i były wyśmienite. Bennett zamówił hawańskie cygaro do kawy. Gawędzili, oboje unikając tematu najbliższej przyszłości, całkowicie poddając się urokowi chwili. Lunch przeciągnął się do dwóch i pół godziny, a wydawało się, że upłynęły zaledwie minuty. Kolejne dyskretne chrząknięcie kelnera sprowadziło ich na ziemię.

Bennett uregulował rachunek pięćsetfrankowymi banknotami i rozejrzał się po restauracji, teraz niemal zupełnie pustej. W łagodnym, rozproszonym świetle popołudnia Anna wydawała się jaśnieć wewnętrznym światłem, jej odsłonięte, opalone ramiona połyskiwały jedwabście, twarz była lekko zaróżowiona od wina, w oczach tańczyły iskierki światła. Bennett pochylił się w jej stronę.

- Zawsze możemy zostać na kolację.

- To właśnie u ciebie uwielbiam - nic, tylko przyjemności, a pracować nie ma komu. - Wyciągnęła rękę i strząsnęła popiół z cygara z kłapy jego blezera. - Ale miło byłoby tu wrócić - przyznała.

Kiedy dotarli do portu w Cannes, służby transportowe Tuzziego już na nich czekały: dwóch ubranych na białe osiłków z napisem „Ragazza di Napoli” na podkoszulkach opinających ich szerokie torsy. Anna, Bennett oraz ich bagaże zostały umieszczone w tylnej części lśniącej rivy. Z bulgotem wydobywającym się z rury wydechowej i kilkoma teatralnymi zawijasami koła sterowego, które nie były absolutnie konieczne, prześliznęli się pomiędzy innymi łódkami i skierowali w stronę czegoś, co przypominało niewielki blok, stojący o pół mili od brzegu.

Prawdę mówiąc, jak na pływający obiekt mieszkalny, „Ragazza” była, z punktu widzenia Bennetta, tak bliska ideału, jak to w ogóle możliwe. Jej monumentalną brzydotę wynagradzały krzepiące rozmiary. Anteny, radar i dyski satelitarne wystawały z dachu kabiny nad górnym pokładem, stwarzając iluzję miejskiego horyzontu. Białe płócienne baldachimy ocieniały rozległe połączenie pokładu dziobowego i rufowego, a kiedy weszli po trapie na rufę, powitał ich widok owalnego basenu ką-

---

<sup>15</sup>\*Bardzo gęsta i niezbyt kwaśna śmietanka.

pielowego. Bardziej niż jacht przypominało to wyspę, odizolowaną, o ile się da, od jakichkolwiek niepożądanych ingerencji ze strony otaczającego ją morza.

Steward w białym, wykrochmalonym uniformie wskazał im sąsiednie kabiny. Signor Tuzzi będzie rad powitać ich na przednim pokładzie, kiedy będą gotowi. Czy potrzebują pomocy przy rozpakowywaniu rzeczy? Bennett pomyślał o zawiniętej w sweter fałszywej walizeczce i odesłał stewarda machnięciem dłoni, wręczając mu stu-frankowy banknot tytułem napiwku, po czym zamknął drzwi i zaczął się rozglądać po swojej kabynie i niewielkiej łazience. Z satysfakcją odnotował obecność prawdziwego łóżka oraz brak typowych żeglarskich horrorów, takich jak kran uruchamiany za naciśnięciem pedału. Mógłby to być pokój hotelowy. Jediną oznaką, że znajdują się na morzu, był okrągły luk, w tej chwili otwarty, żeby wpuścić wieczorną bryzę. Bennett wysunął głowę na zewnątrz i ujrzał potężną krzywizną ciągnącego się w dal kadłuba.

- Anno? Wszystko u ciebie w porządku? Nie dostałaś aby choroby morskiej?

W sąsiednim luku ukazała się ręka. Palec kiwał na niego, wzywając go za ścianę. Kiedy Bennett wszedł do jej kabiny, Anna położyła palec na ustach, nim zdążył się odezwać, po czym zniknęła w łazience, pojawiając się po chwili ze szminką i papierowym ręcznikiem w dłoni. Bennett patrzył jej przez ramię, kiedy gryzmoła szybko: „Kabiny mogą być na podsłuchu”.

Bennett rozejrzał się ukradkiem wokół siebie i skinął głową.

- A, tu pani jest, panno Hersh - powiedział, jak miał nadzieję, wystarczająco oficjalnym tonem. - Bardzo wygodne kabiny. Jednak Włosi są w tych sprawach niezawodni. Cóż, jeśli jest pani gotowa, myślę, że powinniśmy pójść się przywitać z naszym gospodarzem.

Anna mrugnęła do niego i uniosła kciuk.

- Dobrze, panie Bennett. Czy życzy pan sobie, żebym prowadziła notatki?

- Nie, nie sędzę, żeby to było potrzebne. W razie czego zawsze mogę panią posłać po notatnik.

Anna uśmiechnęła się słodko, znów unosząc palec, tym razem środkowy.

Mężczyźni siedzący wokół stołu podnieśli się ze swoich miejsc, kiedy Anna i Bennett weszli na pokład. Jeden z nich wyszedł im naprzeciw, rozkładając szeroko ręce.

- O, signor Bennett. Witamy na „Ragazzy”. Jestem Tuzzi. - Jego twarz, koloru starego rzemienia i o takimż połysku rozdzieliła się na dwoje w uśmiechu, ukazując zęby, których biel podkreślały gęste czarne wąsy. Nad nimi widniał haczykowaty, nieco krzywy nos i oczy o niepokojąco bladych tęczówkach, gdzieś pomiędzy błękitem i zielenią. To, co pozostało z jego czarnych włosów, było ściągnięte w kucyk, odsłaniając lśniąca, ogorzałą kopułę czaszki. Znacznie obfitsze owłosienie piersi prezentowało się w wycięciu koszulki polo. Potrząsnął energicznie dłonią Bennetta, po czym zachłystując się teatralnie, przymknął oczy i pokręcił głową, jakby chciał ją od czegoś uwolnić.

- Państwo wybaczy - rzekł. - Jestem umarły i w niebie. Kto to jest?

- Moja sekretarka, panna Hersh - wyjaśnił Bennett.

- Signorina. - Tuzzi pochylił się nad jej wyciągniętą dłonią i musnął ją pieszczotliwie swoimi wąsami. - Non e vero! Sekretarka? Księżniczka!

Anna uśmiechnęła się do niego, usiłując wyswobodzić dłoń.

- Miło mi pana poznać, mister Tuzzi.

- Enzo. Dla pani Enzo. - Plasnął się dłonią w czoło. - Ale zapominam o swoich uprzejmościach. Państwo pozwoli.

Kolejno przedstawił ich obecnym. Był wśród nich starszy, pomarszczony Korsykanin, monsieur Polluce z Calvi, mały, schludny, nienagannie uprzejmy mister Kasuga z Tokio, ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku, w żeglarskim stroju z dodatkiem złotej biżuterii, Anthony Penato z Kalifornii - „dobry Kalifornijczyk”, jak go określił Tuzzi.

- On palić, on pić, nie tak jak te mięczaki od zdrowia.

I na koniec Anglik o inteligentnej, szczupłej twarzy, nieobecnym spojrzeniu i stalowoszarych włosach: lord Glebe, doradzający Tuzziemu w interesach.

- I nie możemy zapominać o moim małym kumplu Dżyngisie - zwrócił się Glebe do Bennetta, wskazując pekińczyka barwy karmelu, leżącego pod stołem na

dużym talerzu. - A może, skoro ja jestem palem królestwa, powinniśmy go tytułować „czcigodny Dżyngis”? To oczywiście żart.

- A, bożek wesołych figlów\*<sup>16</sup> - powiedział Bennett. Schylił się posłusznie, żeby zawrzeć znajomość z Dżyngisem. Pies otworzył jedno oko, przyjrzał mu się, po czym prychnął pogardliwie. - Dlaczego on jest na talerzu?

- Bo talerz jest chłodny, drogi kolego - wyjaśnił lord Glebe. - To osiemnastowieczna porcelana *blue willow*. Jeździ z nim wszędzie. Pekinńczykom doskwiera gorąco, zwłaszcza w okolicach narządów płciowych.

Kiedy wymienianie ukłonów i ściskanie rąk dobiegło końca, pojawił się zwalisty drab i szepnął coś Tuzziemu do ucha.

- *Si, si. Andiamo.* - Tuzzi odwrócił się do pozostałych. - Teraz proponuję mały rejs przed kolacją. - *Signorina?* - Dla pani urządzam idealny zachód słońca, ale przedtem chciałbym pani pokazać swoją małą łódkę. Chodźmy. Służę za konduktora.

Ku zaskoczeniu Bennetta Anna wydawała się zachwycona zaproszeniem, uśmiechając się uroczo i ujmując owłosione ramię Tuzziego.

- Wiesz, Enzo, zawsze fascynowały mnie okręty. Czy to prawda, że gdzieś w maszynowni jest zawsze złoty ówiek?

Kiedy szli w stronę rufy, pokład zadygotał prawie niedostrzegalnie, dało się słyszeć stłumione buczenie turbin i „Ragazza” ruszyła z miejsca.

Lord Glebe gestem zaprosił pozostałych, żeby zajęli miejsca.

- Teraz, panowie, skoro wszyscy tu jesteśmy, może omówilibyśmy kilka szczegółów. Mister Tuzzi z pewnością też będzie miał swoje uwagi. - Zerknął na obecnych znad połówek okularów. - Niestety, kiedy odważnie bierze się za bary ze swoją kolokwialną angielszczyzną, często trafia kulą w płot, jak panowie być może zauważyli, a nie chciałbym tu żadnych drobnych nieporozumień. - Zapalił małe cygarko, po czym ciągnął dalej: - Licytacja odbędzie się jutro rano, kiedy wszyscy tu obecni będą mieli możliwość zapoznania się z zawartością walizeczki. Muszę przy-

---

<sup>16</sup> \*Aluzja do aforyzmu słynnego dziewiętnastowiecznego kaznodziei H.W. Beechera: „Pies został stworzony specjalnie dla dzieci. To bożek wesołych figlów”.



znać, że mnie osobiście niewiele ona mówi, ale zakładam, że wy, chłopcy, wiecie, na co patrzycie. Zgadza się?

Bennett przyłapał się na tym, że kiwa mądrze głową razem z innymi.

- Znakomicie. Teraz, jeśli nie będziecie mieli mi za złe, chciałbym poruszyć kwestię płatności. Powinniśmy zawinąć jutro do Marsylii, jak tylko licytacja zostanie sfinalizowana. Uprzedziłem mój tamtejszy bank, żeby byli przygotowani na przelew od tego z panów, który okaże się ostatecznym nabywcą. Zakładam, że każdy uzgodnił, co trzeba, ze swoimi bankowcami, no i oczywiście zawsze można się z nimi skontaktować tutaj na statku. Tamten gość - tu wskazał machnięciem cygara mostek kapitański - ma całą potrzebną technologię. Nie tak się żeglowało za moich młodych lat, ale cóż, takie jest życie. Jak dotąd, wszystko jasne?

Kolejne sowe spojrzenie lorda Glebe zostało przyjęte jeszcze bardziej energicznym potakiwaniem.

- Świetnie. Tak więc kiedy rzucimy kotwicę w Marsylii, nabywca i ja podrepczmy sobie do banku, sprawdzimy, czy przelew został dokonany, walizeczka zmieni właściciela, i mów mi wuju, Bob.

Glebe spostrzegł zdezorientowane spojrzenia Polluce'a, Kasugi i Penato.

- Och, proszę mi wybaczyć. Figura stylistyczna. Chciałem powiedzieć, że będzie po sprawie. W rzeczywistości nie ma tu żadnego Boba. - Uśmiechnął się. - Cudownie mylący język ten angielski. Nic dziwnego, że jest w tak powszechnym użyciu we Wspólnocie Europejskiej.

Kasuga podniósł palec.

- Czy to pewne, że zawiniemy do Marsylii?

Glebe skinął głową.

- W takim razie muszę się skontaktować z moimi kolegami.

- Oczywiście, drogi chłopcze. Spodziewam się, że każdy z was będzie chciał pogadać ze swoimi ludźmi. Nasz Benito, czy jak go tam zwa, służy wam wszelką pomocą. Przekonacie się, że wie, który guzik nacisnąć. Naprawdę imponujące, jak na Włocha. A więc możecie panowie dzwonić do swoich sekretarek, ochroniarzy i drogich bliskich, kiedy tylko macie ochotę. - Uśmiechnął się do Bennetta. - Pan

oczywiście nie musi dzwonić, bo ma pan swoją sekretarkę ze sobą. Diabelnie przy- stojną dziewczynę, nawiasem mówiąc. Osłoda dyrektorskich trudów, co?

- Och, nic z tych rzeczy. Ale jest świetną pracownicą.

Glebe zniżył głos.

- Na pańskim miejscu miałbym oko na naszego przyjaciela Enzo. To księżę pod wieloma względami, ale nie znam nikogo, kto bardziej by przypominał kota w marcu. Strasznie łąsy, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Nie wiem, skąd czerpie energię. - Przysunął się bliżej do Bennetta. - Proszę mi coś powiedzieć. Jak mi się wydaje, znam większość instytucji finansowych w Europie, ale „Consolidated” ja- koś nic mi nie mówi. Dawno jesteście w branży?

Bennett nie pomyślał o tym, żeby dorobić historię firmy do swoich wizytówek, i przez chwilę czuł się bliski zdemaskowania. Zyskał nieco na czasie, prosząc o cy- garo, po czym długo je przypalał.

- Proszę, niech to zostanie między nami - powiedział w końcu. - Prawdę mó- wiąc, to tylko fasada.

- Ach tak - mruknął Glebe. - Domyślałem się, prawdę mówiąc. Brunei czy coś w tym rodzaju, jak przypuszczam.

- Arabia Saudyjska, jeśli chodzi o ścisłość. Ale wolałbym nie wchodzić w szczegóły.

- Oczywiście. Cóż, pieniądze są pieniędzmi, bez względu na to, skąd pochodzą. - Spojrzał na zegarek i odwrócił się do pozostałych. - Zechcą mi panowie wyba- czyć. My również zamierzamy sobie uciąć małą przechadzkę po pokładzie. Koktaj- le o siódmej, kolacja o ósmej. - Pochylił się nad śpiącym pekińczykiem. - Hau-hau, staruszk. Hau-hau.

Zaspany Dzyngis podniósł się z talerza, po czym obaj oddalili się nieśpiesznie, rozsnuwając po drodze kłęby dymu z cygara.

Tuzzi przekręcił klucz w podwójnych drzwiach, prowadzących do jego kabiny, po czym otworzył je na oścież teatralnym gestem.

- A oto - zaanonsował - mój mały, ubogi kącik.

Anna ogarnęła wzrokiem ogromne łoże z baldachimem, lustrzany sufit, kominek w obramowaniu dwóch potężnych słoniowych kłów, zasłony z ciężkiego ciemnoczerwonego jedwabiu, meble inkrustowane złotem i wreszcie, zupełnie nie na miejscu w tym otoczeniu, które pasowałyby raczej do luksusowego burdelu, aluminiową walizeczkę, leżącą na biurku pod głównym lukiem.

Przystanąła, żeby się przyjrzeć nagiej kobiecej postaci naturalnej wielkości, z jedną ręką przyciśniętą do piersi i lampą w drugiej.

- Co za uroczy pokój, Enzo.

Tuzzi wydał potężne, melancholijne westchnienie.

- Ale jaki pusty. Po południu mam małą drzemkę, w nocy kładę się do łóżka. Zawsze śpię z moimi poduszkami, z moimi wspomnieniami. To jest tragiczne. - Spojrzał na Annę, jakby miał zamiar wybuchnąć płaczem, i wziął ją za rękę. - Nie, życie to nie jest miska czereśni.

Anna poklepała go po ramieniu i zerknęła z przesadnym popłochem na jego zegarek.

- Ojej, Enzo, zobacz, która godzina. Powinnam pójść się przebrać przed kolacją.

- *Si, si.* Już cię przeprowadzam. - Jego dłoń przesunęła się w okolice krzyża dziewczyny i nadal wędrowała w dół, kiedy szli w stronę drzwi. Zostawił ją pod drzwiami jej kabiny po kolejnej przeciągającej się ceremonii całowania rączek.

Anna czuła się, jakby została przeciągnięta pod kilem.

Po chwili usłyszała stukanie do drzwi. Boże, pomyślała, przyszedł po więcej.

- Enzo, chciałam wziąć prysznic!

- Anno, to ja, Bennett. Możesz wyjść? Musimy porozmawiać.

Znaleźli ustronne miejsce na pokładzie i oparli się o barierkę, obserwując długą, równą wstęgę kilwateru, ciągnącą się za rufą statku. Bennett pierwszy zdał sprawę z tego, czego się dowiedział na temat licytacji, delektując się perspektywą powrotu na stały ląd i pozostawienia dalszego ciągu Julianowi Poe.

- A co u ciebie? Tuzzi zachowywał się przyzwoicie? Widziałem, jak przebierał nogami.

- Mniejsza o nogi. Przysięgłabym, że ma dwie pary rąk. Ale widziałam wali-zeczkę. Jest w jego kabinie.

Brwi Bennetta podskoczyły do góry.

- Byłaś w jego kabinie? Anno, ty chyba nie, to znaczy...

- Oczywiście, że byłam. Jest na jego biurku, obok przycisku do papieru w kształcie Wenus z Milo.

- I niech tam sobie w diabły zostanie. Posłuchaj, sprawa jest prosta. Wszystko, co musimy zrobić, to odgrywać nasze role dzisiaj wieczorem i przegrać jutrzejszą licytację. I na tym koniec. Żadnych heroizmów. Wystąpiłaś z wojska, nie zapominaj o tym. I z całą pewnością nie musisz się bawić w chowanego z tym donżuanem wagi ciężkiej. Glebe mi powiedział, co to za ziółko. Lubieżny gnojek.

- Większość z tego jest na pokaz. To po prostu jeden z tych Włochów, którzy nie noszą bielizny.

- Co takiego? - Bennett osłupiał. - Skąd wiesz?

- To już taki typ. Dziewczyna potrafi to wyczuć. - Uśmiechnęła się, widząc wyraz jego twarzy, na której szok mieszał się z dezaprobatą. - Bennett, zrobiłeś okropnego marsa. Uważaj, bo ci tak zostanie. Przestań się martwić. Chodź, lepiej się przebierzemy. Nie czekaj na mnie.

Cały rufowy pokład „Ragazzy” został przystrojony do kolacji. Sznur maleńkich żaróweczek obrzeżał płócienny baldachim. Okrągły stół, nakryty srebrem, kryształami, ozdobiony stroikiem ze świeżych kwiatów i oświetlony wysokimi, szklanymi lampami sztormowymi zajmował centralne miejsce na pokładzie. Z boku, na niewielkim barku, steward ustawił wiaderka z lodem i butelki szampana. Rzucili kotwicę pod takim kątem, żeby mieć widok na zachodzące słońce. Pasma złotoczerwonego światła kładło się na wodzie, liżąc kadłub jachtu. Kiedy Bennett dołączył do reszty towarzystwa, Tuzzi, wystrojony w jasnoniebieski kaftan, perorował zapamiętale.

- ... Więc mówię mu, przyjacielu, jeśli spróbujesz zrobić Tuzziemu coś takiego, to jakbyś zakładał sobie piętę na szyję. *Capisce?*

Lord Glebe wyjaśniał właśnie półgłosem skonsternowanym słuchaczom, o co chodzi, kiedy Tuzzi spostrzegł przy barku Bennetta i podszedł do niego.

- A, mister Bennett. Ma pan drinka? *Bene*. - Otoczył go ramieniem i odprowadził na bok. - Ja zadam osobiste pytanie. Mężczyzna do mężczyzny.

Bennett wsadził nos w kieliszek szampana, żeby uciec przed obezwładniającym zapachem jego wody kolońskiej.

- Oczywiście. O co chodzi?

- *Bellissima*, panna Hersh. Czy jesteście bardzo blisko ze sobą?

- No wie pan, bardzo dobrze się nam współpracuje, jest pierwszorzędną sekretarką, zna kilka języków, można na dziewczynie polegać.

- Nie, nie, chodzi mi o to, czy jesteście blisko? - Tuzzi ściągnął ramiona i wykonał ręką gest przypominający pompowanie. Aluzja była czytelna.

- A - powiedział Bennett - chodzi o bzykanie?

- *Si, si*. - Tuzzi skinął energicznie głową. - Bzykanie.

Bennett wygładził krawat absolwentów Eton.

- - Wielkie niebą, ależ skąd. W „Consolidated” to nie do pomyślenia. Ścisłe zasady. Takie rzeczy fatalnie wpływają na morale. Odwracają uwagę od portfela finansowego, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Tuzzi uśmiechnął się szeroko i jeszcze raz skinął głową.

- *Bene. Bene*. To mnie uszczęśliwia. - Poklepał Bennetta po plecach. - Widzi pan, u nas na Sycylii lubić kobietę innego mężczyzny jest *pericoloso*. Bardzo niebezpiecznie. Człowiek stąpa po kruchych jajkach.

- Tak, słyszałem, że Sycylia to miejsce, gdzie trzeba się mieć na baczności. - Bennett pociągnął łyk szampana, usiłując pohamować gniew na myśl o tym, że ten włochaty goryl miałby obłapiać Annę. Gniew, któremu, musiał to przyznać, towarzyszyło ukłucie zazdrości, kiedy przez głowę przemknęła mu myśl, że sam mógłby ją obłapiać. Dzięki Bogu, jutro zejda na ląd. Musi uprzedzić Annę<sup>^</sup> żeby zamykała drzwi swojej kabiny na klucz.

- O - powiedział Tuzzi, po raz ostatni klepiąc Bennetta po plecach - panna Hersh sama tu właśnie idzie. Ajajaj! - Potrząsnął dłonią, jakby sobie sparzył palce. - Co za wspaniałość!

Bennett patrzył na Annę z przerażeniem. Miała na sobie spódniczkę, która wydawała mu się o kilka cali krótsza niż wtedy, kiedy ją kupowali w Nicei, oraz nie-

wielki top, odsłaniający brzuch. Tuzzi, dźgnięty na ten widok niczym ostrogą, pośpieszył ucałować jej dłoń na powitanie, korzystając z pretekstu, żeby dokonać gruntownej i bezpośredniej lustracji tak szczerze wyeksponowanego gorsu. To się źle skończy, pomyślał Bennett. Podszedł do Anny z kieliszkiem szampana, czekając, aż Tuzzi znajdzie się poza zasięgiem głosu.

- Oszalałaś - szepnął. - On gotów wyłamać drzwi, żeby się do ciebie dorwać.

Anna się uśmiechnęła, jak gdyby właśnie usłyszała komplement.

- Podoba ci się ubranko? To jest biznes, Bennett, pamiętaj.

Nim zdążył odpowiedzieć, Tuzzi poprosił zebranych do stołu, usadzając Annę pomiędzy sobą a lordem Glebe. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, steward niosący Dżyngisa na talerzu przyklęknął, umieszczając ostrożnie psa pod krzesłem jego pana. Glebe spojrzał w dół i postukał stewarda po ramieniu.

- Odrobinę pasztetu z gęsich wątróbek, Piero - powiedział - i jeden z tych paskudzków, pokruszony. I trochę zwykłej wody. Po tych gazowanych paskudztwach dostaje wiatrów.

Kalifornijczyk Penato odwrócił się do Bennetta, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Teraz widziałem już wszystko. Czy Brytyjczycy zawsze traktują w ten sposób swoje psy?

Bennett obserwował Annę, która wspaniałomyślnie pozwoliła, żeby Tuzzi pomógł jej rozłożyć serwetkę na podółku.

- Przepraszam, co takiego? Aha, psy. Tak, są na ogół znacznie lepiej traktowane niż nasze żony.

Kiedy serwetka Anny została odpowiednio ułożona, Tuzzi zadzwonił widelcem w swój kieliszek, po czym rozejrzał się po stole.

- Moi drodzy przyjaciele, dzisiaj nie ma interesów. Dzisiaj jest gala, na cześć naszego najpiękniejszego gościa. Po kolacji mamy film w mojej małej salce kinowej. „Ragazza” jest już na kotwicy na noc, więc możemy jeść i spać spokojnie. *Buon appetito!*

Bennett próbował wciągnąć w rozmowę swoich sąsiadów, Polluce'a i Kasugę, ale z marnym skutkiem. Obaj mężczyźni pili więcej wody niż wina i wydawali się



najzupełniej zadowoleni, zachowując czujne milczenie. Po pierwszym daniu Bennett dał za wygraną i skoncentrował się na rybie, którą przed nim postawiono, zerkając od czasu do czasu, z coraz gorszymi przeczuciami, na Annę. Dziewczyna flirtowała - flirtowała, jego zdaniem, w sposób oburzający, równocześnie z Tuzzim i z lordem Glebe'em, którzy nadskakiwali jej, prześcigając się w coraz bardziej wyrafinowanych uprzejmościach.

- A teraz, moja droga, coś nadzwyczajnego. - Glebe pochylił się nad swoją rybą, przeprowadzając jakiś delikatny zabieg chirurgiczny za pomocą noża i widelca. - O, proszę. - Wyciągnął swój widelec w stronę Anny. - Proszę spróbować policzek. Wspaniała bestia, ten morski okoń, a jego policzki to prawdziwy rarytas.

Zapadła cisza; Wszyscy mężczyźni wstrzymali oddech, patrząc, jak Anna pochyła się nad stołem, prezentując wszem i wobec i tak już szczerze wyeksponowaną przełęcz pomiędzy piersiami. Otworzyła usta, przesunęła końcem języka po wargach i nie spuszczać szeroko otwartych oczu z lorda Glebe'a, powoli i z namaszczeniem zlizwała z widelca małą kawałeczek białego mięsa. Przedstawienie niepozostawiające absolutnie niczego dla wyobraźni, pomyślał Bennett.

- Mmmm - mruknęła Anna. - Nadzwyczajne.

Zgromadzeni zgodnie wypuścili powietrze. Glebe promieniał, usiłując zaplanować na powrót nad swoim drżącym widelcem, podczas gdy Anna osuszała wargi serwetką. Tuzzi, który nie chciał być gorszy, jeśli chodzi o rybę i policzki, nalegał, że pomoże Annie sprepować głowę jej własnej ryby. Bennett posłał jej mordercze spojrzenie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Z drugiego końca stołu Pena- to zawołał do Tuzziego.

- Hej, Enzo, daj już spokój rybie. Jaki film dzisiaj mamy?

- *Momento*. - Tuzzi dokończył operacji i poklepał Annę po ramieniu. - Dzisiaj mamy Felliniego.

- Dobry Boże - jęknął lord Glebe. - Znowu?

- Przyjacielu - powiedział Tuzzi. - Fellini to *maestro*. Masz pchły w nosie, bo nie był Anglikiem.

Anna odłożyła sztucę i zatrzepotała rzęsami, patrząc na Tuzziego.

- Uwielbiam Felliniego. To mój ulubiony reżyser.

Bennett nie mógł patrzeć na Annę, ale odwrócić wzroku też nie był w stanie. Tuzzi miał w oczach łóżko za każdym razem, kiedy na nią spoglądał. Ten wieczór musiał się skończyć we łzach, Bennett był o tym przekonany, o ile nie uda mu się przemówić jej do rozsądku podczas filmu.

Ale kiedy kolacja dobiegła końca i wszyscy przenieśli się do sali projekcyjnej, zabierając swoje koniaki i cygara, Tuzzi znowu się uparł, żeby ich usadzić według własnej koncepcji, rezerwując dla siebie i Anny dwa fotele w ostatnim rzędzie. Światła przygasły i na ekranie pojawiły się napisy zapowiadające „Amarcord”. Bennett naburmuszył się i siedział tak, nadąsany, do końca filmu. Obok niego lord Glebe i leżący u jego stóp Dzyngis spali smacznie, pochrapując w tonacji *profondo* w ramach akompaniamentu do ścieżki dźwiękowej.

Kiedy światła znów się zapaliły, Bennett szturchnął swojego sąsiada w bok.

- Co takiego? - ocknął się lord Glebe. - O, już koniec. Bogu dzięki. Nie jestem w stanie strawić Felliniego po kolacji. Najlepszy jest na pusty żołądek.

Bennett wstał, przeciągnął się i obejrzał za siebie. Stało się to, czego się, wbrew sobie, spodziewał przez cały czas. Dwa fotele w ostatnim rzędzie były puste.

- O rety - powiedział lord Glebe, kiedy zauważył puste fotele - wygląda na to, że straciliśmy naszego gospodarza. - Rozejrzał się po sali z wyrazem lekkiej irytacji. - No cóż. Chyba pozostaje mi czynić honory domu. Jeśli ktoś z panów ma ochotę na kieliszek do poduszki, proszę się obsłużyć przy barku na tylnym pokładzie. Albo, jeśli ładnie poprosicie naszego Piera, jestem pewien, że zrobi wam filiżankę kakao. - Pochylił się, żeby podnieść talerz Dżyngisa. - Oddalam się do krainy snu. Jutro mamy pracowity dzień.

Bennett zszedł na dół. Bez żadnej nadziei na odpowiedź zatrzymał się, żeby zastukać do drzwi Anny, i stał pod nimi przez chwilę, wsłuchując się w ciszę. W końcu wszedł do środka i usiadł nachmurzony na łóżku, wydany na łup gorzkich, dość pogmatwanych uczuć, stanowiących mieszaninę rozczarowania i zazdrości. Nie była to noc przeznaczona na sen. Zły, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wrócił na opuszczony główny pokład.

Pograżony w tej chwili w zupełnej ciszy statek stał na kotwicy. Pokład pod stopami Bennetta był prawie nieruchomy, nie licząc ledwie dostrzegalnego wznoszenia się i opadania na leniwej fali. Lustro wody w basenie ledwie się poruszało w świetle reflektorów, przechylając się nieznacznie raz na jedną, raz na drugą stronę. Powietrze było słone i łagodne, ciepłe i nieruchome, gwiazdy jaśniały przenikliwym blaskiem. Bennett zaklął cichutko i jego wzrok powędrował w kierunku brzegu. W oddali widział niewielki port, łagodnie wygiętą linię przystani, obrzeżoną punkcikami świateł, masyw wzgórza, czarniejszy niż czerń nieba, wznoszący się nad przytulonymi do siebie domami. Piękna, nieszczęsna noc.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk podobny do szeptu, jakby coś zaszurało cichutko po pokładzie. Coś tam było, coś się kryło w głębokim cieniu, oddzielającym lampy umieszczone na wysokości każdej grodzi. Przypuszczalnie pies lorda Glebe, odbywający swoją wieczorną rundę. Zaciekawiony, Bennett ruszył w tamtą stronę i zamarł, osłupiały, kiedy postać weszła w krąg światła.

Anna, naga z wyjątkiem skąpego białego trójkąta na biodrach, przyciskała do piersi aluminiową walizeczkę, a w jej oczach jaśniała ulga. Zdecydowanym ruchem głowy wskazała rufę, po czym ruszyła przodem. Zdumiony Bennett szedł za nią wzdłuż burty, dopóki nie dotarli do trapu schodzącego do morza. Anna przysunęła usta do jego ucha.

- Schodź pierwszy. Będiesz musiał płynąć na plecach i ciągnąć mnie za sobą. Ja będę trzymać walizeczkę, żeby się nie zamoczyła.

-Co się stało? Nic ci nie jest?

- Bennett, pośpiesz się, na litość boską.

Bennett zanurzył się ostrożnie, z rozpostartymi połamami blezera i krawatem absolwentów Eton, unoszącym się przed nim mężnie na wodzie, po czym ujął Annę pod pachy. Pracując samymi nogami, z walizeczką uniesioną wysoko nad wodą, oddalili się od jachtu i zaczęli płynąć na plecach w stronę brzegu.

Po dziesięciu minutach wyteżonej pracy zatrzymali się, żeby odpocząć, drobiąc w miejscu. „Ragazza” nie dawała znaku życia, dzwon nie bił na alarm, nie było widać postaci biegających po pokładzie.

- Co się stało? Gdzie jest Tuzzi?

- Znokautowany, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Płynmy dalej.

Znów próbowali skoordynować ruchy, posuwając się wolno i nieporadnie. Bennett coraz bardziej odczuwał ciężar nasiąkniętego wodą ubrania, Anna była obolała od ciągłego trzymania rąk w górze, oboje nie spuszczaali wzroku z „Ragazzy”. Upłynęła długa, wyczerpująca godzina.

W końcu bark Bennetta uderzył o spiczasty dziób zacumowanej żaglówki. Obejrzał się i spostrzegł tak upragnioną bliskość portowych świateł. Pięć minut później stali zanurzeni po pierś w lepkiej, oleistej wodzie. Jeszcze pięćdziesiąt jardów i przycupnęli na kamiennych stopniach, łączących plażę z nabrzeżem. Światło latarni wydobywało z mroku ramiona i pierś Anny, wciąż unoszącą się gwałtownie po wysiłku.

- Bennett, przestań natychmiast!

- O co ci chodzi?

- Co to za obleśny uśmieszek? Daj mi swoją koszulę.

Bennett ściągnął blezer i podał Annie koszulę, starając się nie

zwracać uwagi na to, jak mokry materiał przywiera do jej ciała. Zaczynało mu się kręcić w głowie ze zmęczenia. Ale zrobili to. Uciekli. Ludzie Juliana Poe musieli być gdzieś w porcie i obserwować jacht. Znaleźć ich, oddać im walizeczkę i do domu na gorącą kąpiel. Dotknął policzka Anny.

- Dobra robota, sierzancie. Order cię nie minie. Chodźmy poszukać ludzi Poego i pozbadźmy się tej cholernejszej walizeczki.

Anna pokręciła głową.

- Musimy porozmawiać, ale nie tutaj. Nie teraz. To jest pierwsze miejsce, gdzie Tuzzi będzie nas szukał. Musimy stąd zniknąć. - Obejrzała się przez ramię na jacht, czujna i spięta. - Bennett, proszę cię.

Bennett wbił się z trudem w swój mokry blezer.

- Wiesz, cholernie stąd daleko do jakiegokolwiek innego miejsca.

- Ukradniemy samochód.

- Jasne. Oczywiście, ukradniemy samochód. Jakies konkretne wymagania co do koloru?

- To tylko kilka drucików i uruchamiasz silnik. Wiem, jak to zrobić. - Wyraz napięcia ustąpił z jej twarzy i dziewczyna uśmiechnęła się przewrotnie. - Zaufaj mi.

Bennett westchnął, jak gdyby usłyszał dwa najbardziej złowrózbnne słowa, jakie zna język angielski, i wyjrzał ostrożnie za mur. Z jednej strony przystani był mały hotelik i ciąg sklepów o zamkniętych okiennicach. Tuż obok trzy restauracje, jedna za drugą. Znów sklepy, kilka domów i droga, którą się wjeżdżało i wyjeżdżało z wioski. Ale samochody? Dlaczego nie było żadnych samochodów? Przez chwilę czuł panikę i nagle coś go uderzyło w wyglądzie trzech restauracji. Coś znajomego. Był w jednej z nich, przed wielu laty. Zrozumiał, że są w Cassis, a w Cassis obowiązywał zakaz wjazdu samochodów na nabrzeże. Pamiętał, że musiał wtedy parkować powyżej wioski.

- Nikogo nie widać - oznajmił Bennett - ale nie ryzykowałbym wychodzenia na ulicę. Trzymajmy się blisko muru.

Szli kamienistą plażą aż do odległego, nieoświetlonego końca przystani. Nic się nie poruszyło. Nic nie zakłócało panującej ciszy, czasem tylko zaskrzypiało olinowanie w którejs z zacumowanych żaglówek albo zachrzęściły kamienie pod ich stopami. Bennett podciągnął się na rękach, po czym pomógł wywindować się Annie na mur. Zeszli na szosę i opuścili wioskę.

W ciasnym, gorącym pokoju hotelowym przy końcu przystani Gerard przetarł oczy i spojrzał na zegarek. Dzięki Bogu. Jego zmiana dobiegła końca. Podniósł się z krzesła stojącego przy oknie i potrząsnął śpiącego zmiennika za ramię.

- Jest twoje aż do świtu. Baw się dobrze. - Wyciągnął się na łóżku w niewygodnym, źle dopasowanym, lepiącym się do ciała policyjnym mundurze. Jego zmiennik zapalił papierosa, żeby odstraszyć komary i służbiście skierował wzrok na odległe światła „Ragazzy”, mobilizując się, żeby nie zasnąć podczas czterech godzin nudy. Mimo wszystko pieniądze były nie do pogardzenia. Ich stały klient dobrze płacił.

Anna i Bennett szli powoli przez parking, szukając samochodu bez systemu alarmowego, sprawdzając klamki, rozglądając się za otwartym bagażnikiem, w nadziei że nie będą musieli rozbijać szyby. Bennett przystanął obok zakurzonego peugeota 205 z opuszczanym dachem. Nie było nalepek wskazujących na system alarmowy, na pulpicie nie mrugało czerwone światełko. Cicho przywołał Annę.

- Mogłabyś uruchomić ten?

Anna podeszła do samochodu.

- Jasne. Ty otwierasz, ja zapalam.

Bennett poszedł z powrotem w stronę wjazdu na parking, gdzie ustawiono dwa duże kubły na śmieci do użytku automobilistów, którzy chcieliby się wykazać obywatelską postawą, i zaczął przeszukiwać pozostałości plażowych pikników, dopóki nie znalazł butelki po piwie. Stłukła się łatwo, uderzona o ścianę, i Bennett wrócił do samochodu uzbrojony w szklany nóż o wyszczerbionym ostrzu. Zrobił nacięcie w płóciennym dachu, włożył rękę do środka i otworzył drzwi.

- Proszę bardzo.

- Szybko się uczysz - pochwaliła go Anna.



Przyklękła i zaczęła majstrować przy tablicy rozdzielczej. Koszula podjechała jej do pasa i Bennett stanął jak wryty na widok mokrej, przejrzystej dzianiny opinającej pośladki jak z czarownego snu. To nie jest odpowiednia chwila, powiedział sobie. Skup się na robocie.

Samochodzik zakaszłał i silnik zaskoczył. Bennett włączył światła i sprawdził poziom paliwa. Pół baku.

- Dobra nasza - powiedział. - Starczy z nawiązką, żeby dojechać do Monako.

- Bennett, zastanów się. Monako to nie jest dobry pomysł. Mogą obserwować mieszkanie. Mogą być w środku. Musimy porozmawiać.

- Możemy porozmawiać po drodze. Nie będą obserwować mieszkania. Myślą, że wciąż jesteśmy na jachcie.

- Nie. Gdzie indziej. Nie do Monako.

- Anno, spójrz na nas. Jesteśmy brudni, przemoczeni, ty masz na sobie tylko figi i koszulę, siedzimy w skradzionym samochodzie, poza tym musi być druga w nocy. Co chcesz zrobić? Zameldować się w „Hotel du Cap”? Czy wyglądamy na przyzwoitych turystów?

- Musi być jakieś miejsce, gdzie możemy pojechać.

- O Boże. Dobrze. - Bennett wrzucił z impetem bieg i wziął kurs na autostradę.

- Bennett?

- Co znowu?

- Jesteś na mnie zły, co?

- Jak cholera. Jest po sprawie. Mamy walizeczkę. Dostaniesz swoje pieniądze. Po co wszystko komplikować? Czego jeszcze chcesz?

- Powiem ci, kiedy będziemy na miejscu. - Anna usadowiła się na siedzeniu obok niego, z walizeczką między kolanami. - Chcesz wiedzieć, co zaszło?

- Nie. - Bennett nie spuszczał wzroku z pustej drogi, naciskając ostro pedał gazu. - Tak. Oszczędź mi brudnych szczegółów.

- Nie było takich. Oglądaliśmy film przez kilka minut, po czym Tuzzi powiedział, że chciałby mi coś pokazać.

- Niech zgadnę.

- Chodziło o księżyc...

- Jaki księżyc? Nie było żadnego księżycyca.

- Dobra, no więc o gwiazdy. W każdym razie wyszliśmy z sali projekcyjnej, obejrzelśmy gwiazdy i wtedy on zapytał, czy nie miałabym ochoty na kieliszek szampana w jakimś spokojnym miejscu.

- W głowę zachodzę, gdzie by to mogło być. Boże, słyszałem już w życiu parę głodnych kawałków w tym stylu.

- Myślisz, że ja nie? Więc facet - co za niespodzianka - prowadzi mnie do swojej kabiny, a tam szampan z lodu, przyćmione światła, muzyka, wszystko zgodnie z procedurą - ale nigdzie nie widać walizeczki. Zapytałam go o nią, powiedziałam, że chciałam zobaczyć, czym ci wszyscy wysoko postawieni biznesmeni tak się podniecają. „A, walizeczka? Jest w moim prywatnym sejfie - powiedział. - Możemy ją później obejrzeć”. Potem zapytał, czy nie mam ochoty na odrobinę koki.

- Cóż za wzorowy gospodarz! Mam nadzieję, że skorzystałaś.

- Nawet jej nie dotknęłam. Ale on niuchnął sobie zdrowo, po czym próbował mnie złapać i ganialiśmy się dookoła łóżka przez parę minut, aż wreszcie stanął i popatrzył na mnie chytrze. - Dobra - powiedział - umawiamy się. - Ja otwieram sejf, ty zdejmujesz spódniczkę. Ja otwieram walizkę, ty zdejmujesz górę.

Bennett westchnął.

- A mówią, że czasy romantyzmu minęły. I co było dalej? Już wiem. Zaprosił cię do domu, żeby cię przedstawić swojej matce.

- Otworzył sejf. Otworzył walizeczkę - chciałam mieć pewność, że to wszystko nadal tam jest - po czym zafundowałam mu uścisk dłoni z Zachodniego Brzegu. - Milczała przez chwilę. - Kopnęłam go w krocze i dałam mu po głowie jedną z lamp stojących przy łóżku. Potem go zakneblowałam i przywiązałam do łóżka sznurem od lampy. A potem chyba coś mi odbiło i poszłam cię szukać.

Bennett zwolnił przy wjeździe na autostradę i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu wilgotnych drobniaków. Nie powiedział ani słowa, wyobrażając sobie scenę w kabinie Tuzziego, ucieszony bardziej, niż gotów był przyznać, że sprawa nie

skończyła się w łóżku. Ale ta sprawa w ogóle się nie skończyła. Ciąg dalszy nastąpi, jak tylko pałający żądzą odwetu Włoch i jego cenne organy dojdą do siebie.

- No cóż - zauważył, kiedy samochód ruszył. - Jest to w każdym razie miejsce, gdzie nas po raz drugi nie zaproszą. Jak mocno mu przyłożyłaś?

- No wiesz, mocno.

- To dobrze. - Jechali na północ, w kierunku skrzyżowania z szosą A7. Dwie godziny i będą w St-Martin.

Anna zerknęła na twarz Bennetta w nikłym blasku lampek podświetlających wskaźniki tablicy rozdzielczej. Zapomniał o dowcipkowaniu. Był zazdrosny. To miłe, pomyślała, nim zamknęła oczy.

Tuzzi cierpiał. Jego głowa, jego narządy płciowe i jego duma osobista zostały ciężko sponiewierane. Kiedy odzyskał przytomność, minęło niesłychanie bolesne pół godziny, nim zdołał wyswobodzić z więzów jedną dłoń, uruchomić alarm i zarządzić przeszukanie „Ragazzy”. Siedział teraz, z zabandażowaną głową i workiem lodu topniejącym między nogami, w towarzystwie ubranego w piżamę lorda Glebe'a. Na stole przed nimi leżała otwarta walizeczka, znaleziona w kabinie Bennetta.

Glebe zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Powinienem być się domyślić, że coś z nim nie tak. Facet nie pisze „czcigodny” na swojej wizytówce, o ile nie jest jakimś nadętym komiwojazerem.

Tuzzi wyglądał na zdezorientowanego.

- To jest tytuł, nie?

- Swego rodzaju. Najogólniej rzecz biorąc, oznacza, że czekasz, aż twój tatuś kopnie w kalendarz.

-Że co?

- Umrze, staruszk. Wtedy tytuł przechodzi na ciebie. - Glebe znów pokręcił głową i przyjrzał się walizeczce. - No cóż - oświadczył - to podróbka, ale cholernie dobra.

- To musiał być Poe. - Tuzzi chciał założyć nogę na nogę, skrzywił się i zrezygnował. - Ten psi syn. Tylko on mógł wiedzieć. Wyrwę mu serce. Będzie żałował, że wyszedł z łóża swojej matki.

- Z łona, staruszku. - Glebe podrapał się po głowie. - Oczywiście pozostali by się nie zorientowali, że to nie jest prawdziwa walizeczka. He?

Tuzzi gapił się na niego. Bandaż na głowie nadawał mu wygląd poturbowanego pirata.

- Może i nie. Tylko że papiery są inne.

- Ale wiesz o tym tylko dlatego, że widziałeś prawdziwe papiery.

-Si.

- W takim razie - rzekł Glebe - moim zdaniem, licytację należałoby przeprowadzić zgodnie z planem. Oczywiście, nabywca zorientuje się szybko, że sprzedano mu szmelc. Przyleci z tym do nas, my będziemy stosownie oburzeni i zszokowani, zrzucimy winę na Poego i połączymy siły, żeby go dorwać. W tym czasie wyślemy chłopców, żeby się rozejrzeli za Bennettem i dziewczyną, a gotówka uzyskana ze sprzedaży będzie w obiegu, zarabiając dla nas odsetki, dopóki jej nie zwrócimy. Mała rzecz, ale zawsze coś. I jak?

Tuzzi odął wargi, kiwając się powoli w tył i w przód. Po chwili uśmiechnął się, skinął głową i bardzo ostrożnie postukał się palcem w policzek tuż pod okiem.

- *Bene*. Myślisz jak Sycylijczyk, mój przyjacielu.

- Naprawdę? - przestraszył się lord Glebe. - Ojej. Chyba za długo przebywałem poza Anglią.

Bennett przesunął dłonią po kamiennym nadprożu. Jego palce natrafiły na klucz zostawiony przez Georgette. Kiedy otwierał drzwi i zapalał światło, owionął go znajomy zapach lawendy, politory i oleju lnianego. Niewielki salonik był, jak zawsze, nieskazitelnie czysty.

Anna rozejrzała się wokół siebie i gwizdnęła cicho.

- To pewne, że nie jesteś żonaty?

- Och, po prostu w głębi serca jestem kurą domową. - Bennett poszedł do kuchni w poszukiwaniu kawy. - A tak naprawdę to Georgette. Osoba z gatunku tych, o jakich zwykło się mawiać: „prawdziwy skarb”. - Wytknął głowę przez kuchenne drzwi. - Pysznic znajdziesz na górze. Zobaczą, czy uda mi się wygrzebać dla ciebie coś do ubrania.

Podczas gdy kawa się parzyła, Bennett wywrócił kieszenie i starannie rozłożył nasiąknięte wodą banknoty na dnie patelni, po czym umieścił je na kuchence, żeby wyschły. Jego paszport, jak to sobie uświadomił, znajdował się wciąż na jachcie. Tak samo, jak paszport Anny. Jeśli przemknęła im przez głowę myśl o opuszczeniu Europy, powinni się chyba jeszcze zastanowić.

Z banknotów zaczęła się unosić para. Bennett zmniejszył gaz i poszedł sprawdzić, czy Georgette uznała cokolwiek z jego ubrań za warte zachowania, po czym wyłożył to, co znalazł, na łóżko. Mijając drzwi łazienki, krzyknął do Anny, żeby się obsłużyła.

Dobrze było mieć ją w domu. Przez chwilę czuł, że chętnie zadzwoniłby do Juliana Poe i powiedział mu, aby się zgłosił po swoją walizeczkę. Potem życie wróciłoby do normy. Pokazałby Annie Luberon, mogliby przesiadywać w kawiarniach, jeść w restauracjach nieinwigilowani, mogliby podjąć na nowo wątek, przerwany podczas tamtego lunchu na Cap d'Antibes. Ale, oczywiście, Tuzzi by im nie popuścił.

Zwłókł z siebie blezer i powiesił go na krześle przed kuchenką. Pomimo ciepłej nocy było mu zimno i marzył o gorącym prysznicu. Dlaczego kobiety zawsze siedzą tyle czasu w łazience? Co one tam robią? Znalazł butelkę *Marc*\*<sup>17</sup> i doprawił swoją kawę, trzymając oburącz filiżankę i gapiąc się na banknoty, które zaczynały odzyskiwać na patelni pierwotny wygląd.

- Co to? Śniadanko? - Anna stała w drzwiach kuchni, w koszulce z krótkim rękawem i bokserkach, bosa, z mokrymi włosami, dopucowana i uśmiechnięta. Czaruje dziecko ulicy.

Serce Bennetta zapikało dyskretnie, ale zdecydowanie.

- Wolisz dobrze wysmażone czy średnio? - zapytał. - Rzuć na nie okiem, kiedy będę brał prysznic. To wszystko, co mamy.

- A teraz, sierżancie - powiedział dziesięć minut później - pora na pogawędkę. - Zaprowadził ją do saloniku i posadził na sofie. - Mamy jeden kradziony samochód, kilka tysięcy franków w gotówce, moje karty kredytowe i paru rozjuszonych Włochów, którzy w każdej chwili mogą nam zacząć deptać po piętach, o ile Tuzzi

---

<sup>17</sup>\*Wódka z wyłoczyn winnych.

przyjdzie do siebie. Natomiast nie mamy paszportów. I żeby było jeszcze ciekawiej, będziemy mieli na karku Juliana Poe, jak tylko facet się dowie, co zaszło, to zaś nastąpi za kilka godzin, kiedy statek zawinie do Marsylii, a nas nie będzie na pokładzie. Zgadza się?

Anna skinęła głową z solenną powagą, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Zgadza.

Bennett zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Ale - ciągnął - mamy walizeczkę. A walizeczka uprawnia cię do pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce, plus mały, ale mile widziany bonus dla niżej podpisanego. - Przestał chodzić i spojrzał na nią. - Zgadza się?

- Zgadza.

- Doskonale. Więc jak się tylko rozwidni, robimy hokus-pokus z drucikami, odpalamy nasz kradziony samochód, jedziemy do Juliana Poe, wręczamy mu walizeczkę, kasujemy pieniądze i znikamy. Zgadza się?

Anna pokręciła głową.

-Nie.

Bennett westchnął.

- Miałem fatalne przeczucie, że tak właśnie powiesz. - Przyniósł z kuchni butelkę marca i nalał sobie trochę do filiżanki po kawie. - Unikałaś tego pytania, odkąd opuściliśmy ten sakramencki jacht. A więc posłuchaj, pochlebiam sobie, że jestem rozsądnym człowiekiem. - Poczuł w gardle ogień, kiedy *marc* dosięgnął jego tylnej ściany. - Ale ponieważ w grę wchodzi moje osobiste bezpieczeństwo i pomysłność (albo jeśli wolałabyś tak to ująć, skoro mój tyłek jest na linii strzału, tak samo jak twój), wydaje mi się, że mam prawo wiedzieć dokładnie, co tam kombinujesz w tej swojej małej, przewrotnej mózgowicy.

- Nalej mi też. - Anna podsunęła mu swoją filiżankę, pociągnęła łyk i otrząsnęła się. - O Jezu. Dobra, Bennett, a więc posłuchaj... - Odstawiła filiżankę i zaczerpnęła tchu. - Poe to kanciarz, prawda? Bogaty kanciarz. Jest też wrednym sukinysem, przez którego zmarnowałam kilka lat życia. Kiedyś ci o tym opowiem. To nie było zabawne, wierz mi. Podła z niego kreatura.



- A ty chcesz się zemścić. Cóż, to jeszcze nie...

- To również, nie ukrywam. Jestem tylko człowiekiem. Ale potrzebuję pieniędzy dla mamy. W Stanach pięćdziesiąt kawałków to wcale nie tak dużo, kiedy człowiek zacznie chorować. Chcę więcej za tę walizeczkę. Chcę dużo więcej, a on te pieniądze ma.

- O jakiej sumie rozmawiamy?

Anna podniosła w górę wskazujący palec.

- O milionie. Na licytacji poszłaby przynajmniej za tyle.

., - Milion? Dlaczego nie dwa? Dlaczego nie pięć? - Bennett opadł na kanapę, kręcąc głową. - Kpisz sobie. Chcesz poprosić dyplomowanego oszusta i jego opryszków, żeby się zameldowali, wręczyli ci milion dolarów i puścili nas wolno? Dlaczego mieliby to zrobić? ;

- Bo chcą odzyskać walizeczkę.

- Mogą ją sobie wziąć, kiedy tylko zechcą.

- Muszą ją najpierw znaleźć. - Usta Anny zacisnęły się w wąską, upartą linię. - Bennett, posłuchaj. Milion dolarów to dla niego nic. To jeden brudny geszefcik z jego kolegami z Iraku czy z Afryki. On zapłaci.

Bennett spojrzał na jej pełną determinacji, pozbawioną uśmiechu twarz. Ta cholerna baba mówiła poważnie. To był wariacki plan i on musiałby być niespełna rozumu, żeby się dać w niego wrobić. I bez tego mieli dość kłopotów z Tuzzim, ale Tuzzi przynajmniej nie wiedział, gdzie są. Poe będzie wiedział, gdzie ich szukać, i nie będzie przyjaźnie usposobiony. Nie, cały ten idiotyczny pomysł był poza dyskusją. Jeżeli Anna ma ochotę prowadzić niebezpieczne gierki z niebezpiecznymi facetami, może to robić na własną rękę. Ale on nigdy na to nie pójdzie, choćby miał żyć milion lat.

Podnieśli się oboje, jakby na sygnał oznajmiający koniec zebrania. Anna podeszła do Bennetta i ujęła jego twarz w swoje dłonie. Jej oczy o wielkich, ciemnych, rozpluwających się w półmroku źrenicach były o kilka centymetrów od jego oczu.

- Bennett. Pomóż mi.

Nie mógł odwrócić wzroku. Ale nawet kiedy czuł, że tonie, jakaś część jego jaźni pozostała niezaangażowana, stojąc z boku i przypatrując się z rozbawieniem, jak jego niezłomna wola zaczyna się chwiać, słabnąć i wreszcie się załamuje. Zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech, napinając odruchowo mięśnie barków.

- Niech to szlag! - burknął. - Niech to szlag - powtórzył jeszcze raz i twarz Anny się rozjaśniła.

TLR

Podczas gdy czerń nocnego nieba nad St-Martin przechodziła w szarość, a potem w róż, Anna i Bennett robili podsumowanie najpilniejszych problemów, jakie mieli do rozwiązania. Potrzebowali legalnego samochodu. Potrzebowali bezpiecznej kryjówki. Potrzebowali planu. A mogli liczyć najwyżej na kilka godzin wytchnienia.

Bennett nie poznawał sam siebie. Dzięki mieszance piorunującej, na którą złożyły się marc, adrenalina i wdzięczność Anny, przedzierzgnął się z uciekiniera mimo woli w postać, w którą nigdy nie spodziewał się wcielić, w człowieka z misją. Chciał przechytrzyć Juliana Poe i Tuzziego. Chciał zainkasować milion dolarów. Chciał wygrać. Chodził tam i z powrotem po saloniku, myśląc na głos.

- Teraz sprawa samochodu. Mamy samochód. Tak się składa, że jest w Monako, ale jestem przekonany, że nikt nie będzie obserwował apartamentu. Dlaczego mieliby to robić? Poe się nie dowie, że coś jest nie tak, dopóki jacht nie zawinie do Marsylii. Tuzzi nie ma powodu kojarzyć nas z Monako. Możemy się tam wśliznąć, capnąć samochód i zniknąć. Następne pytanie: dokąd mamy pojechać?

- Tutaj nie możemy zostać?

Bennett pokręcił głową.

- Za blisko Juliana Poe. Tak czy inaczej, Shimo zna ten dom. A poza tym nie moglibyśmy się ukryć w tej wiosce. Do obiadu wszyscy by o nas wiedzieli. Może udałoby się nam znaleźć hotel gdzieś w górach, ale nie jestem entuzjastą tego rozwiązania, nie przy tych przebierańcach Juliana Poe wałęsających się po okolicy i sprawdzających księgi gości. Nie, wydaje mi się, że znam lepsze miejsce. - Bennett przystanął i zmarszczył czoło na widok walizeczki leżącej obok Anny na sofie. - Nie chcę ciągać tego wszędzie ze sobą. Za duże ryzyko. Zostawimy ją u Georgette. Będzie u niej bezpieczna. Jeszcze jeden przedmiot, z którym będzie się mogła cackać. - Spojrzał za okno. Pojaśniało na tyle, że można było rozróżnić kształty grubo ciosanych kamieni, z których zbudowano ścianę domu po drugiej stronie uliczki. Za kilka minut będzie świtać.

- Bennett? - Anna się uśmiechała. Wyczuwała zmianę, która w nim zaszła: z sympatycznego, ale niezaangażowanego towarzysza w prawdziwego współnika w przestępstwie. - Zdaje się, że ci się to zaczyna podobać?

- Zdecydowanie - potwierdził Bennett. - Trudno mi sobie wyobrazić miłsze zajęcie niż być ganianym po opłotkach przez wkurzonych, uzbrojonych facetów. - Podniósł walizeczkę i pogasił światła. - Chodźmy.

Szli szybko uliczkami, w których unosił się jeszcze nocny zapach chłodnego kamienia, i skręcili w zaułek, gdzie mieszkała Georgette. Bennett usłyszał echo dzwonka we wnętrzu domu, a potem skrzyp uchylanej okiennicy. W oknie na górze ukazała się nieufna twarz w obramowaniu turkusowej siatki do włosów.

- *Eh, alors* - powiedziała Georgette - nasz Anglik wrócił. Co się stało? Zgubił pan klucz?

Bennett położył palec na ustach i wskazał ruchem głowy na frontowe drzwi. Georgette westchnęła głośno, zamknęła okiennicę i zeszła na dół, żeby im otworzyć.

- To jest Anna - dokonał prezentacji Bennett. - Moja znajoma.

Georgette zlustrowała koszulkę z krótkim rękawem, bokserki oraz bosc stopy i wydeła wargi.

- Posłuchaj, Georgette. Chciałbym, żebyś przechowała dla nas tę walizeczkę. Schowaj ją. Nie mów nikomu. To bardzo ważne, żebyś nikomu nie mówiła. Przyjeździemy po nią niedługo. Nie mam teraz czasu na tłumaczenie. Zrobisz to?

Georgette spojrzała z góry na walizeczkę i pstryknęła palcami.

- A tam w środku, co jest niby takiego cennego?

- Dokumenty. Ważne papiery. Nic nielegalnego, zapewniam cię.

Po prostu nie chcemy jej wozic ze sobą. - Bennett przywołał w sukurs swój najbardziej ujmujący uśmiech. - Zaufaj mi.

- Cała sprawa śmierdzi - skinęła z satysfakcją głową Georgette, jak gdyby rozwiązała wyjątkowo trudny problem. - Tak, to bez wątplenia jakaś intryga. Ma pan kłopoty?

Bennett spojrział na Annę.

- No...

- Tak jak myślałam - skwitowała sprawę Georgette. Wyciągnęła rękę. - Proszę mi to dać. Schowam ją w piwnicy, pod żwirem. Jeszcze jeden kłopot, jakbym mało ich miała.

- Jesteś kochana. - Bennett wręczył jej walizeczkę i cmoknął ją w policzek.

Georgette patrzyła za nimi, stojąc w drzwiach, z jedną ręką wspartą na biodrze, ściskając walizeczkę w drugiej. Podejrzliwy wyraz jej twarzy dziwnie kontrastował z jaskrawą barwą siatki do włosów.

Anna i Bennett popędzili przez wieś, która zaczynała przejawiać pierwsze oznaki życia: koty wracały chyłkiem do domów z nocnych wypadów, z piekarni buchało ciepło i rozchodziły się upajające zapachy, w kawiarni odezwało się radio i pokasływanie jakiegoś wirtuoza, z oddali dobiegł klekot traktora, który usiłowano przekonać, żeby zapalił, zegar na wieży kościelnej zazgrzytał i uderzył sześć razy. Bennett cieszył się, że zaparkował samochód w ciemnym zakątku wiejskiego ryneczku, częściowo ukrytym za przysadzistym betonowym pudłem, w którym mieściły się publiczne toalety St-Martin.

Trzymał kciuki, rozglądając się po placu, kiedy Anna przykucnęła, żeby podłączyć kabelki. Niedługo miały zająć stanowiska starsze panie, które uważały za swój obowiązek monitorowanie wszelkich odbywających się we wsi ruchów: te bardziej ostentacyjne w fotelach ustawionych przed drzwiami swoich domów, te bardziej dyskretne za poźółkłymi skrawkami ażurowych firanek. Widok młodej kobiety w męskiej bieliźnie, majstrującej przy samochodzie, dostarczyłby materiału do spekulacji na całe przedpołudnie. Bennett zaczął się zastanawiać, czy nie wrócić i nie pożyczyć spódnicy od Georgette. Nie. Nie było czasu.

Silnik prychnął i ożył i Bennett wypuścił powietrze. Zjechali na łeb, na szyję ze wzgórza, przecięli szosę N 100 i skierowali się na zachód, trzymając się bocznych dróg, w nadziei że prowansalscy *gendarmes* będą, jak każdego lata, zaabsorbowani rozdzielaniem mandatów za jazdę z niedozwoloną szybkością wśród niebezpieczników na autostradzie.

Na pokładzie „Ragazzy”, płynącej teraz powoli w stronę Marsylii, lord Glebe szykował się do przeprowadzenia licytacji. Obandażowana głowa i ostrożny chód

Tuzziego zostały wytłumaczone niefortunnym upadkiem po wypiciu zbyt dużej ilości szampana. Bennett, jak powiedziano pozostałym, miał jakieś problemy ze swoimi mocodawcami i przebywał w kabinie, odbywając dłuższą telefoniczną konferencję. Niemniej, jak oświadczył lord Glebe, należy trzymać się planów, wszyscy obecni są ludźmi interesu, czas to pieniądz i nie ma powodu, żeby licytacja nie mogła się rozpocząć, kiedy tylko towar zostanie obejrzany.

Z miną magika mającego w zanadrzu pełen kapelusz białych królików Glebe otworzył walizeczkę i zaprezentował jej zawartość trzem uczestnikom przetargu.

- Naturalnie - powiedział - wasi spece będą chcieli wziąć to później pod lupę, ale jestem przekonany, że wszystko jest w należyтым porządku: woda ognista, instrukcja obsługi, zalecenia i porady małego ogrodnika i tak dalej. Ale odkładając na chwilę żarty na bok - tu jego twarz przybrała wyraz pełnej zatroskania szczerości, wypraktykowany podczas tak wielu usypiających debat w Izbie Lordów - chciałbym panom raz jeszcze przypomnieć, że nabywca tej walizeczki będzie w stanie kontrolować czarny rynek trufli.

Tuzzi przeżegnał się skwapliwie.

- Na głowę mojej matki - zapewnił.

- Zgadza się, Enzo, zgadza się. I niech nam szacowna dama żyje sto lat. A ktokolwiek będzie kontrolował czarny rynek trufli, może się całkiem realistycznie spodziewać rocznych dochodów, liczonych w milionach dolarów. Jestem przekonany, że wszyscy panowie to sobie przeliczyli, i nie wątpię, że wasze oferty będą odzwierciedlać potencjalny zwrot z inwestycji - o niebo lepszy niż u Lloyda, nawet za dawnych dobrych czasów. Jakież pytania?

Trzej uczestnicy przetargu obejrzelili rząd fiolek i pakiet dokumentów, demonstrując zainteresowanie jedynie przez uprzejmość. Byli facetami od pieniędzy, przybyłymi tu po to, żeby kupić. Szczegółowa analiza i weryfikacja to późniejsze zadanie dla techników, a Tuzzi nie był człowiekiem, którego trudno znaleźć, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty. Nie mieli pytań.

- Doskonale - orzekł Glebe. - Wielokrotności stu tysięcy bardzo proszę. Kto z panów wrzuci na początek okrągły milionik, tak dla rozgrzewki?

Kasuga podniósł palec. Penato skinął głową, Polluce również. Potem znów Kasuga, po czym zapadła cisza.



- Mamy jeden milion - podsumował sytuację Glebe - co jest niewspółmiernie małą kwotą za fortunę. Dalej, panowie. Myślę, że stać nas na więcej. Pan Tuzzi ustalił minimalną cenę za tę walizeczkę i obawiam się, że nasze dotychczasowe oferty nawet się do niej nie zbliżyły. - Przyłożył rękę do ucha. - Czyżbym słyszał coś bardziej realistycznego? Dwa miliony? He?

- Dobra - powiedział Penato.

Kasuga podniósł drugi palec.

Polluce spojrział na beznamiętne twarze dwóch pozostałych licytatorów. Jak daleko gotowi byli się posunąć? To biznesmeni, interesował ich wyłącznie zysk. Ale on, Polluce, miał też inny, wyższy cel: dokopać Francuzom. Jego koledzy z Calvi upoważnili go do nabycia formuły, bez względu na koszt. Skinął głową, patrząc na lorda Glebe'a. - Licytuję w imieniu Korsyki - powiedział i podniósł trzy palce. - Trzy miliony.

Glebe promieniał.

- Brawa dla Korsyki. - Zatarł ręce. - To już wygląda trochę lepiej.

Gerard i jego wspólnik siedzieli w nieoznakowanym czarnym citroenie przed Klubem Żeglarskim, przy wjeździe do Starego Portu, paląc i klnąc w żywy kamień upał, nudę i ocierające skórę, wymięte mundury. Shimo dzwonił do nich rano z helikoptera, żeby im powiedzieć, że „Ragazza” płynie do Marsylii, ale stara krypa się nie śpieszyła, temperatura we wnętrzu samochodu zbliżała się do czterdziestu stopni i Gerard cierpiał z powodu niewygody i pragnienia.

- Cholera - mruknął. - Zniszczyłbym jakieś piwo.

Jego towarzysz zdjął ciemne okulary, żeby otrzeć pot z twarzy. Pomyślał, jak dobrze byłoby łyknąć sobie anyżówki w barze przy Klubie Żeglarskim, a potem zjeść przyzwoity posiłek. Przymusowa dieta, złożona z kanapek i pizzy, dawała mu się coraz bardziej we znaki. Czuł, że jeszcze trochę, i jego system trawienny odmówi posłuszeństwa. Wziął z pulpitu lornetkę i skierował ją na dziewczynę w króciutkich białych szortach, która machała ręką w stronę nadpływającej żaglówki.

- *Merde*, popatrz no na te jej nogi. Po same pachy.

Gerard pierwszy zobaczył „Ragazę”, która wyłoniła się powoli zza horyzontu i rzuciła kotwicę w połowie drogi między stałym lądem a wyspą If. Zanim zdążył

wziąć lornetkę od kolegi, od nabrzeża odbiła motorówka, kierując się w stronę statku. Dzięki Bogu, coś się wreszcie zaczęło dziać. Gerard patrzył, jak motorówka zbliża się do „Ragazzy”, gdzie na rufie czekała grupka postaci. Wziął telefon komórkowy i wystukał numer Juliana Poe.

- Są tutaj. Motorówka właśnie ich zabiera z pokładu.

Poprzez zakłócające odbiór szumy i trzaski przebił się głos Shimo.

- Ile osób? Rozpoznajesz je?

- Zaczekaj. - Gerard patrzył, jak motorówka zawraca powoli, oddalając się od „Ragazzy” i nabierając szybkości. Postać stojąca na rufie jachtu, w turbanie, czy może z obandażowaną głową, machała im ręką na pożegnanie. - Czterech mężczyzn w motorówce. - Zdeformowany obraz oglądany przez lornetkę stawał się ostrzejszy i bardziej szczegółowy. - Facet z siwymi włosami. Japończyk. Starszy, chudy gość. I młodszy, ciemnowłosy.

- Czy to ten Anglik?

Gerard przyjrzał się szerokiej, mięsistej twarzy i porównał ją z tym, co widział w Monako.

- Nie, to nie on.

- A dziewczyna?

- Nie ma dziewczyny.

Motorówka przybiła do brzegu. Trzej mężczyźni wysiedli z samochodów zaparkowanych na nabrzeżu i czekali u szczytu schodów. Gerard kontynuował swoją relację:

- Ten wysoki siwy ma walizeczkę. On i chudy starszy gość wsiadają do mercedesa. Dwaj pozostali mają citroeny.

- Jedź za walizeczką. Za mercedesem. Bądź w kontakcie.

Shimo wyłączył głośnik i zapalił papierosa. Z drugiej strony biurka siedział Poe, patrząc w okno, przygryzając dolną wargę i przebiegając w myślach wszystkie możliwe warianty. Czy siwowłosy mężczyzna niósł prawdziwą walizeczkę, czy fałszywą? Czy Bennett i Anna dokonali podmiiany? Czy wpadli? Czy wciąż trzymano ich na „Ragazzy”, czy Tuzzi wyrzucił ich za burtę?

Peugeot dotelepał się do Monako. Bennett zaparkował w pierwszym wolnym miejscu, jakie udało mu się znaleźć, i wyłączył silnik. Mieli szczęście, jadąc na słowo honoru przez ostatnie pół godziny, ze wskaźnikiem paliwa wskazującym poziom poniżej zera. Kiedy szli pod górę w stronę Place du Casino, para starszków z misternie trefionym pudelkiem przystanęła, wytrzeszczając na nich oczy i kręcąc głowami z dezaprobatą.

- O co im chodzi? - zapytała Anna.

- Wydaje mi się, że możesz naruszać tutejszy kodeks, jeśli chodzi o strój. Obawiam się, że pokazanie się przez dziewczynę publicznie w męskiej bieliźnie, to w Monako czyn ścigany przez prawo. Nie zatrzymuj się.

Mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak je zostawili: filiżanki po kawie i talerze po śniadaniu nadal w zlewozmywaku, łóżko niepościelone, pusta butelka po whisky na stole. Anna wrzuciła trochę ubrań do torby, podczas gdy Bennett rozłożył mapę wybrzeża i departamentu Vaucluse. Gdzie było to miejsce, do którego trafił przypadkiem w ubiegłym roku? Gdzieś wysoko, w pobliżu Banon.

- Dobra - oznajmiła Anna. - Jestem gotowa.

Przebrała się w wysokie buty, dżinsy i bawełnianą koszulkę, przygładziła włosy zwilżonymi dłońmi i nie było po niej widać śladów bezsennej i pełnej napięcia nocy. Bennett złożył mapę i wstał. Pojadą na wschód. Później sobie przypomni, gdzie to dokładnie było.

Na dźwięk telefonu oboje zastygli odruchowo, niczym przyłapani na gorącym uczynku, jak gdyby najmniejszy ruch miał zdradzić ich obecność przed tym, kto dzwoni. Po czterech dzwonkach włączyła się automatyczna sekretarka z nagrany głosem Bennetta. Sygnał. Głos Shimo, metaliczny i precyzyjny.

- Mr Poe prosi o telefon. Niezwłocznie.

Bennett spojrział na zegar. Wpół do pierwszej. Licytacja musiała się zakończyć.

- A więc to już - powiedział. - Zorientowali się, że coś jest nie tak. Nie traćmy czasu na zmywanie naczyń.

Jechali ostro, docierając po południu do Aix: głodni, spragnieni i szczęśliwi, że udało im się znaleźć stolik w chłodnej głębi kawiarni „Deux Garçons” przy Cours Mirabeau. Na ulicy procesja turystów przeciągała nieśpiesznie w cieniu platanów.

Zgromadzona na tarasie widownia, głównie studenci uniwersytetu odpoczywający po trudach dnia, śmiali się, flirtowali i wysypywali na stół swoje drobniaki, żeby sprawdzić, czy wystarczy na jeszcze jedną filiżankę kawy, jeszcze jedną szklanę *perrier menthe*, jeszcze jedną godzinę kawiarnianej edukacji. Życie w Aix płynęło już letnim rytmem, leniwym i niefrasobliwym.

Piwo i mielona wołowina z frytkami zostały podane. Kiedy zaspokoili pierwszy głód, zagrali w orła i reszkę o to, kto ma zamówić kawę, a kto zadzwonić do Juliana Poe. Bennett przegrał.

Wrzucił monetę do automatu i usłyszał w słuchawce głos Shimo. Przedstawił się i poprosił z Julianem Poe.

- Czekałem na pański telefon, panie Bennett. Spodziewam się, że usłyszę od pana dobre wieści?

- Hm, i tak, i nie. - Bennett zaczerpnął tchu. - Mamy walizeczkę, ale nastąpiła drobna korekta planów. Jej odzyskanie będzie pana kosztowało nieco więcej.

Cisza po drugiej stronie.

- Pomyśleliśmy sobie, że milion dolarów byłby w sam raz. W gotówce.

Poe roześmiał się niskim, pewnym siebie, obraźliwym śmiechem.

- Niezły kawał, panie Bennett. Gdzie jesteście? Przyślę po was Shimo.

- Mówię poważnie. Milion dolarów.

- Mówi pan poważnie? To głupio z pana strony. To bardzo głupio. Dobra, dość tych gier. Gdzie jesteście?

- Zadzwonię za dwa dni. Proszę mieć pieniądze przygotowane albo walizeczka zmieni właściciela. - Bennett odłożył słuchawkę. Nadęty gnojek! Miał nadzieję, że jego własny głos brzmiał przekonująco.

Anna podniosła wzrok znad mapy, którą rozłożyła na stole.

-I jak było?

- Zdaje się, że to koniec pięknej przyjaźni.

Poe był człowiekiem przywiązującym dużą wagę do panowania nad sobą, ale z trudem mu przyszło pohamować gniew, kiedy dzwonił do dyrektora swojego mo-

nakijskiego banku, żeby omówić podjęcie z konta milion dolarów. Jeśli to ścierwo Bennett myśli, że długo się będzie cieszył tymi pieniędzmi, to czeka go niemiłe rozczarowanie. Prędzej czy później będzie musiał wystawić nos z kryjówki, a wtedy zniknie na zawsze. Byłoby zabawnie zrzucić go z helikoptera na pokład jachtu Tuzziego i pozostawić Włochowi sprzątanie bałaganu, którego narobił. Tak, to byłoby eleganckie zakończenie sprawy, odznaczające się nawet pewną symetrią. Nieco pokrzepiony na duchu tą myślą, Poe wysłał Shimo do St-Martin. Mało prawdopodobne, żeby Bennett był na tyle głupi, aby się ukryć we własnym domu, ale z amatorami nigdy nic nie wiadomo.

Peugeot przeciął rzekę Durance w Pertuis i wziął kurs na Ma-nosque. Po drodze Bennett opowiedział Annie, co mu się przydarzyło pewnego zimowego wieczoru przed ponad rokiem, kiedy włączył się w poszukiwaniu nieruchomości po górzystych, słabo zaludnionych terenach departamentu Haute-Provence. Zapadał już wówczas zmrok i po kilku zakrętach nie w tych miejscach, co trzeba, oraz kilku nieudanych próbach znalezienia drogi na chybił trafił, zdał sobie sprawę, że się zgubił. Bliski rezygnacji, postanowił dać sobie ostatnią szansę i skrzył w boczną drogę. Szosa zwężała się, przechodząc w bity polny trakt, ale w oddali widać było światło.

- Tak więc pojechałem w kierunku tego światła - powiedział - i znalazłem się w tym niezwykłym miejscu, położonym na kompletnym odludziu, otoczonym ze wszystkich stron winnicami. Jeśli udałoby mi się tam znowu trafić, byłoby to dla nas idealne schronienie. Poszukaj na mapie l'Argimaud, tuż nad Banon. To powinno być gdzieś w tych okolicach.

- Skąd wiesz, że będziemy się mogli tam zatrzymać?

- Spędziłem tam noc i przypadliśmy sobie z opatem do gustu. Rozpoznał we mnie współwyznawcę. Powiedział, że mogę przyjechać, kiedy tylko zechcę.

- Powiedziałeś: z opatem? Wygłupiasz się. Nie wyglądasz na szczególnie religijnego.

- On też nie. Ale jest przełożonym klasztoru, wiesz, cele, mnisi, habity, te rzeczy. Polubisz go. To stary łobuz, uważa się za coś w rodzaju wcielenia Dom Perignon<sup>\*18</sup>, spadkobiercę wieloletniej tradycji.

---

<sup>18</sup> \*Siedemnastowieczny francuski benedyktyn, twórca receptury szampana.

Anna pokręciła głową.

- Jakiej tradycji?

- Mnisi i trunki. Ci chłopcy traktują to z całą powagą. Bractwo Bachusa, tak o sobie mówią. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy zdążyć do nich na wieczorne koktajle.

TLR



Po zatłoczonych ulicach Aix Haute-Provence wydawało się Annie niczym inna planeta: pusta, surowa i piękna. Była to bezlitosna kraina, o glebie płytkiej i kamienistej, drzewach nielicznych i skarłowaciałych pod wpływem wichrów wiejących doliną Rodanu. Mijali pola poprzecinane pasami lawendy, gdzie ciasno zbite, przysadziste kępy łączyły się w długie, idealnie proste linie, gromadę kóz, których dzwoneczki pobrzękiwały głucho, kiedy dwa pasterskie psy zaganiały je do stada, wyblakłe tablice, reklamujące dawno nieistniejące aperitify, i ciągnące się całymi milami winnice.

Ruch na drodze malował sukcesywnie, aż wreszcie ustał niemal zupełnie, jeśli nie liczyć hałaśliwych traktorów, wracających do domu po dniu spędzonym w winnicy. Postacie na polach prostowały się i przerywały pracę, żeby popatrzeć na przejeżdżający samochód - powolny, bynajmniej nie ukradkowy ruch odwracanej głowy, oczy zmrużone przed niskim, chylącym się ku zachodowi słońcem - lustracja, która Annie wydawała się krępująca i cokolwiek nieprzyjazna. Próbowała pomachać ręką jednemu z mężczyzn, ale on tylko patrzył za nią, nie reagując.

- Co jest z tymi facetami? - zapytała. - Nigdy nie widzieli samochodu, czy co?

Bennett wzruszył ramionami.

- Wiejscy ludzie już tacy są. Wszystko, co się przemieszcza po ich terytorium, to ich sprawa. Dobrze, że nie siedzimy w mercedesie Juliana Poe. Rozprawiano by o tym wieczorem we wszystkich okolicznych barach. Kiedy się mieszka w tutejszej wiosce, nie możesz się podrapać, żeby kilkanaście osób nie powiedziało od razu, że masz pchły.

- Ty też taki jesteś? Na Manhattanie każdy człowiek to obcy. Ja nie znam nawet swojego najbliższego sąsiada.

Bennett zastanawiał się przez chwilę, myśląc o Georgette, o Annie i Leonie, o drobnych kantach Papina, o ambitnych planach madame Joux co do mariażu swojej córki, o kawiarnianych ploteczkach, o niewyczerpanej ludzkiej ciekawości.

- Tak - powiedział. - Lubię to. Czuję się, jakbym żył pośród trochę ekscentrycznej rodziny.

Anna dotknęła lekko jego ramienia.

- Zepsułam ci to, prawda? Przepraszam.

Bennett pokręcił głową.

- Nie ma za co. Wprowadziłaś mnie w wielki świat zbytku i przygody, w świat fascynujących ludzi, którzy przypuszczalnie chcą mnie ukatrupić. - Zahamował, kiedy szosa się rozwidliła. - Myślę, że jesteśmy niedaleko.

Asfaltowa nawierzchnia urwała się nagle, przechodząc w zwykłą, porytą koleinami polną drogę. Wspinali się na łagodne wzniesienie, pośród kęp sosen i karłowatych dębów, zdeformowanych, skulonych, jakby wiejący latami mistral poprzyginał ich grzbiety do ziemi. Jechali prosto w słońce i klasztor ukazał się im jako niska, masywna sylweta, widniejąca u wylotu drogi. Bennett zwolnił i zatrzymał samochód przy grupce zakurzonych cyprysów. Metalicznym odgłosem, wydawanym przez stygnący silnik, wtórował niemilkący, świergotliwy chór tysiąca niewidzialnych świerszczy.

Klasztor został zbudowany przed czterystu laty na planie litery H.

- Tam są cele - objaśniał Bennett. - A po drugiej stronie dormitorium. W tym dużym łączniku mieści się cała reszta: kuchnia, jadalnia, biura, sala probiercza, gorzelnia, apartamenty opata. Pod spodem potężne piwnice. Robi wrażenie, przynasz?

Anna spojrzała w górę na długi, kryty dachówką dach, pozbawiony jakichkolwiek krzyży czy wieżyczek.

- Nie mają kaplicy? Czy może modlą się po drodze?

- Widzisz - wyjaśnił Bennett - to nie jest zgromadzenie zakonne w ścisłym tego słowa znaczeniu. Bardziej przypomina biznes niż zakon.

- Ale nazywają siebie mnichami, zgadza się?

Bennett uśmiechnął się szeroko.

- To ze względu na to, co ojciec Gilbert nazywa „niebiańską dyspensą”, jakiej udzielają im władze. Opowie ci o tym.

Poszli szeroką ścieżką, wysypaną grubym jasnym żwirem, gęsto obsadzoną po obu stronach rzędami lawendy, wypełniającymi przestrzeń pomiędzy dwoma skrzydłami klasztoru barwną, opalizującą mgłą. Na wprost nich kilka kamiennych stopni, w których wędrujące tędy przez wieki stopy wydeptały płytkie wgłębienia, prowadziło do nabijanych żelaznymi ćwiekami wrót z poczerniałego dębu. W masywnym kamiennym nadprożu wykute było kredo klasztoru: *In vino felicitas*\*<sup>19</sup>.

Bennett pociągnął za uchwyt wiszący na łańcuchu koło drzwi i usłyszał dwukrotne uderzenie dzwonu, stłumione przez grube kamienne mury.

- Widziałaś już kiedyś mnicha?

Anna pokręciła głową.

- Czy to ktoś w rodzaju rabina?

- Wątpię. W każdym razie nie ten gatunek.

Zawiasy skrzypnęły i wrota uchyliły się na kilka cali, ukazując brązową twarz pod wianuszkami siwych włosów. Wyjrzała na zewnątrz ostrożnie, niczym głowa żółwia wysuwająca się ze skorupy.

- Zgubiliście się, moi drodzy?

- Nie - powiedział Bennett. - Przyjechaliśmy się zobaczyć z ojcem Gilbertem.

- O! - Na twarzy mnicha odbiło się zaskoczenie, jak gdyby Bennett ujawnił jakąś tajemną wiedzę. - Ojciec Gilbert, niech go Bóg zachowa, prowadzi w tej chwili testy. Zawsze poświęca się temu zajęciu przed wieczornym posiłkiem, czasem przez wiele godzin. Jest ogromnie oddany. Ale na pewno przyjechaliście z daleka. - Mnich otworzył szerzej drzwi i skinął na nich. - Musicie wejść do środka.

Zobaczyli teraz, że ma na sobie prosty ciemnobrązowy habit z grubej materii, przepasany w talii, z małą srebrną czareczką, zawieszoną na szyi na skórzanym rzemyku. Jego sandały plaskały o kamienne płyty, kiedy prowadził ich pod szerokim łukowym sklepieniem w stronę długiej sali jadalnej o klasycznych proporcjach, wyposażonej w rząd wysokich, strzelistych okien, przez które zachodzące słońce rzucało w tej chwili smugi światła. Mnich uniósł dłoń, dając im znak, żeby się zatrzymali.

---

19 „W winie radość”, parafraza łacińskiego powiedzenia *In vino veritas*, czyli „W winie prawda”.

Przy stole siedziało kilkanaście odzianych w brąz postaci, przypominających wielkie, zakapturzone ptaszyska. Ich głowy, ukryte we wnętrzu kapturów, pochylały się nad wielkimi, pękatymi kieliszkami. Na stole stały w regularnych odstępach grupy pozbawionych etykiet butelek. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć odgłosu wciągania powietrza przez kilkanaście par nozdrzy.

- Co tu się dzieje? - szepnęła Anna do Bennetta, który również szeptem powtórzył jej pytanie zakonnikowi.

Mnich nachylił się do jego ucha.

- Ojciec Gilbert przewodniczy głębokiej inhalacji braci.

- Dlaczego mają kaptury na głowach?

Mnich złożył dłonie, uniósł je do nosa, po czym wzniósł oczy ku niebu.

- Aby lepiej uchwycić boską emanację, unoszącą się z kielicha, mój synu.

- Bukiet - powiedział Bennett do Anny. - Oni wachają bukiet.

- W tych disnejowskich kapturach? Nie wierzę.

Wokół stołu podniósł się szmer głosów, litania spostrzeżeń, którymi dzielili się mnisi, zdając sprawę z tego, co ustaliły ich nosy. Do uszu Bennetta dolatywały strzępy słów, które przekazywał zdezorientowanej Annie.

-Nuta wanilii... Dobrze wyważona gama owoców... Pewna przedwczesna dojrzałość, nie uważacie, braciszku? Całkiem zaawansowane, jak na wino z tego rocznika... Korzenie, ostreżyna, tak... niewyrafinowane, ale obiecujące.

Ojciec Gilbert, siedzący u szczytu stołu, podniósł swój kielich.

- Doskonale, bracia. Teraz kaptury z głów i skosztujmy skurczybyka. - Zsunął swój kaptur i już miał pociągnąć łyk, kiedy spostrzegł Annę, Bennetta i towarzyszącego im mnicha. - Chwileczkę. Kogo my tu widzimy? - Wstał i przyłożył palec do podbródka, przyglądając się Bennettowi uważnie. - Czyżbym rozpoznawał spragnionego wędrowca z ubiegłej zimy? Anglika spod znaku licznych butelek? Ależ tak! Pójdź, synu, niech cię przywitam!

Bennett znalazł się w aromatycznym uścisku, w którym winne opary mieszały się z zapachem sztucznego nawozu i rozgrzanej wełny, i został entuzjastycznie ucałowany w oba policzki. Twarz ojca Gilberta - duża, okrągła i spieczona na kolor

starej terakoty - promieniała (radością, jak Bennett miał nadzieję, chociaż litr wina wypity do obiadu mógł mieć swój udział w żywym kolorycie oblicza dobrego ojczulka). Anna została przedstawiona, przywitana ciepło i poprowadzona wraz z Bennettem do stołu, aby mogli zawrzeć znajomość z pozostałymi braćmi.

Zgromadzeni braciszczkowie byli nie mniej rumiani niż ich przełożony, niektórzy nawet przewyższali go intensywnością zabarwienia nosa i policzków. Skłaniali kolejno głowy, wznosząc z uśmiechem kielichy, podczas gdy ojciec Gilbert objaśniał ich klasztorne obowiązki.

- Brat Luc jest naszym menedżerem do spraw eksportu. Produkujemy bardzo cenione alkoholizowane wino mszalne dla krajów Trzeciego Świata. Brat Yves czuwa nad opracowywaniem nowych produktów, głównie likierów, chociaż wciąż usiłuje kombinować z absyntem. Niegodziwiec.

Anna spojrzała na brata Yvesa, małego człowieczka o ptasiej posturze, dobrotliwym wyrazie twarzy i błyszczących oczkach, kompletne zaprzeczenie niegodziwości.

- Co w tym złego?

Ojciec Gilbert przybrał najpoważniejszy wyraz twarzy, jaki udało mu się przywołać.

- To zakazany trunek, moje dziecko. Od wielu lat. Ale muszę przyznać, że wyborny. Jeżeli coś zostało, możemy chlapnąć sobie kapkę po kolacji. Dobrze robi na żołądek i sprowadza cudowne sny.

Kontynuowano prezentację. Poszczególni bracia odpowiadali za najróżniejsze sprawy, od pakowania i opracowywania planów finansowych, po marketing i public relations. Jak wyjaśnił ojciec Gilbert, istniał odwieczny związek pomiędzy życiem monastycznym a dobrodziejstwem alkoholu. On tylko prowadzi dalej szlachetne dzieło, z tą drobną różnicą, że wziął całkowity rozbrat z wymogami natury duchowej. To klasztor równych szans, otwarty na wszelkie denominacje. Albo, inaczej rzecz ujmując, niewielka korporacja, wygodnie urządzone w zakonnym rajach podatkowym.

- Nie płaciecie podatków? - zdziwił się Bennett. - W ogóle?

- Na Boga, nie. Ani centyma. - Ojciec Gilbert skrzywił się z niesmakiem. - Cóż to za skandaliczny wynalazek! Nie mamy z tym nic wspólnego. Dom Perignon nie płacił żadnych podatków. Dlaczego my mielibyśmy to robić?

- Nie produkujecie szampana, prawda? - zapytała Anna.

- Nie, moje dziecko, nie produkujemy. Warunki nie są tu odpowiednie. Ale cóż to znowu takiego, ten szampan? Winogrona puszczające wiatry, nic więcej, chociaż nasi przyjaciele z Reims z pewnością by z tym polemizowali. - To mówiąc, wziął dwie czarki, nappełnił je do połowy czerwonym winem i podał Annie i Bennettowi. - Spodziewam się, że zostanieie na kolacji. Mamy dzisiaj młodego dzika, który wpadł niedawno pod traktor brata Louisa. - Uśmiechnął się do nich. - Widzicie? Opatrzność o nas nie zapomina.

- Z przyjemnością - odparł Bennett. - Prawdę mówiąc, byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli zostać przez parę dni. Mamy mały problem.

Ojciec Gilbert zwinął ze stołu butelkę z winem i poczłapał przodem w stronę wypełnionej książkami bocznej wnęki.

- Usiądźcie, moi drodzy, i powiedzcie mi, co was trapi.

Podczas gdy pozostali bracia zaczęli się krzątać wokół przygotowań do kolacji, Anna i Bennett opowiedzieli o wypadkach, które zaprowadziły ich aż tutaj. Ojciec Gilbert kiwał głową nad swoim kieliszkiem, otwierając szeroko usta ze zdumienia, kiedy relacjonowali swoją ucieczkę z „Ragazzy”.

- Jakież to wszystko fascynujące - rzekł, kiedy skończyli. - Jakie ciekawe życie wy, młodzi, prowadzicie. Obawiam się, że u nas wyda się wam bardzo nudno. Ale powiedzcie mi jedną rzecz. - Strzepnął od niechcienia pulchnymi palcami, jak gdyby pytanie było bez znaczenia. - Ta formuła, to magiczne serum - czy to autentyczne, jak myślicie? Czy to działa?

- Tak mi mówiono - powiedział Bennett. - Podobno miało bardzo wysoką skuteczność: siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent.

Ojciec Gilbert z namysłem nappełnił kieliszek.

- Byłoby to niezwykle cenne uzupełnienie naszej działalności tu, w klasztorze. Winogrona i trufle, jedno obok drugiego. Któż mógłby sobie wyobrazić przyjem-



niejszą kombinację? - Spojrzał na Bennetta spod uniesionych brwi. Czy nie byłoby możliwości jakiegoś porozumienia? Powiedzmy, na zasadach partnerstwa?

- No cóż... - zaczął Bennett.

- To wykluczone - ucięła sprawę Anna.

- Widzisz, ojciec - wyjaśnił Bennett. - Ta formuła właściwie nie należy do nas. My się nią jedynie, w pewnym sensie... opiekujemy.

- Tak mi tylko przyszło do głowy - uspokoił go ojciec Gilbert. - Cóż, wypijmy.

Młody dzik, lśniący od tłuszczu, którym go obficie podlano, został upieczony na rożnie w kuchennym kominku i leżał teraz na środku stołu na drewnianym półmisku, z dużym pieczonym kartoflem w pysku. Ojciec Gilbert kroił i nakładał ciemne płaty dziczyzny na wyszczerbione cynowe talerze, zawinawszy po łokcie rękawy habitu, z zarumienioną twarzą, jaśniejącą w blasku świec. Kieliszki zostały napełnione, a płaskie, okrągłe bochenki wiejskiego chleba pokrojone w grube pajdy. Jedyne, co wskazywało na dwudziesty wiek, była para gości we współczesnych strojach. Wszystko inne, wszyscy pozostali mogliby należeć do średniowiecza.

Rozmowa obracała się wokół wiejskich spraw: prognoz co do najnowszego rocznika wina, kaprysów pogody, zagrażającej winnicom pleśni, plonów, jakie przynosił klasztorny ogród warzywny. Żadnych sporów, żadnych podniesionych głosów, które zakłócałyby panującą przy stole atmosferę zadowolenia. Anna była zaintrygowana. Skąd się wzięli ci wszyscy mężczyźni, którzy wydawali się szczęśliwi, przeniesieni w średniowieczne czasy?

- Wszyscy jesteśmy uciekinierami ze świata biznesu - wyjaśnił ojciec Gilbert. - Ja pracowałem kiedyś w Banque Nationale de Paris, inni w Elf Aquitaine, IBM, Bourse, Aerospatiale. Nienawidziliśmy świata wielkich korporacji. Kochaliśmy wino. Piętnaście lat temu zrobiliśmy zrzutkę, kupiliśmy klasztor, który stał pusty od czasów przedwojennych, i zostaliśmy mnichami. - Mrugnął do Anny. - Dość nieortodoksyjnymi mnichami, jak widzisz.

Anna patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Mogę wam zadać jedno pytanie? Czy żaden z was nie miał żony?

Ojciec Gilbert odchylił się w swoim krześle, obserwując cienie, jakie świece rzucały na sklepiony sufit.

- To jeszcze jedna łącząca nas sprawa, którą odkryliśmy - odparł. - Nie dla nas rozkosze damskiego towarzystwa. Przypomnij mi... jak się kogoś takiego nazywa w twoim kraju?

- Gej? - podsunęła Anna.

- O właśnie. Nader nieodpowiednie zastosowanie jakże uroczego słowa. - Pokręcił głową. - Wesoly\*<sup>20</sup>. Zabawne. Można by wobec tego powiedzieć, że żyjemy w stanie nieustającej wesołości. Byłaby to dla nas wszystkich niemała pociecha. - Roześmiał się i wyciągnął swój kieliszek w stronę Anny. - Za wesołe dni, oby jak najliczniejsze!

Podano ser, rozwijając go ceremonialnie z opakowania winnych liści. Ale połączenie nadmiaru gościnności i niedoboru snu sprawiło, że Anna i Bennett najpierw umilkli, a potem głowy zaczęły im ciążyć. Wybronił się przed bratem Yvesem i jego absyntem domowej roboty i podążyli za ojcem Gilbertem do celi przeznaczonej dla gości, znajdującej się w sypialnym skrzydle klasztoru. Ojciec Gilbert zostawił im nową świecę, uprzedzając ich wesoło na odchodnym, że klasztorne życie rozpoczyna się niedługo po wschodzie słońca.

Cela była mała i surowa: wąska szczelina okna, stół z miską i dzbankiem wody oraz dwa wąskie piętrowe łóżka pod dwiema przeciwległymi ścianami. Anna wyciągnęła się na jednym z nich i jęknęła cicho.

- Zdaje się, że wypłam za dużo wina. - Usiadła i spojrzała na swoje stopy. - Zrobisz coś dla mnie?

- Kieliszeczek absyntu?

Anna wzdrygnęła się na tę propozycję.

- Ściągnij mi buty. Ja nie dam rady.

Bennett próbował ściągnąć dopasowany but z wysoką cholewą, ale bez skutku.

---

<sup>20\*</sup> Pierwotne znaczenie ang. słowa gay

- Będę musiał to zrobić starym sposobem - powiedział. - Przepraszam za pozycję.

Odwrócił się tyłem, stanął okrakiem nad jej nogami, pochylił się i po chwili trzymał w dłoni pierwszy but.

- Bennett? - Głos Anny był senny. - To, co dzisiaj zrobiłeś, to, co robisz... Jestem ci wdzięczna.

- Wszystko w ramach świadczonych usług. - Bennett mocował się z drugim butem.

Cichy, senny chichot.

- I masz całkiem ładny zadek, jak na Anglika.

Kiedy układał jej nogi na pryczy, Anna już spała. Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z czoła, a ona uśmiechnęła się, ocierając się niczym kot o jego dłoń, nim przewróciła się na bok. Bennett zdmuchnął świecę. W ciepłych ciemnościach słyszał jej równy oddech.

Ostatnią jego myślą przed zaśnięciem było, że musi zapytać ojca Gilberta, czy mają w klasztorze takie udogodnienie, jak podwójne łóżka.

Polluce patrzył, jak szkarłatne paznokcie migają, skrobiąc o papier, kiedy dziewczyna przeliczała jeszcze raz pięćsetfrankowe banknoty, które przed chwilą jej wręczył, nim złożyła je starannie i włożyła do torebki. Napracowała się nad nim tej nocy. Była to miła transakcja, wieńcząca jakże udany dzień biznesmena.

Dziewczyna opuściła apartament hotelowy i Polluce podniósł słuchawkę telefonu, żeby zamówić śniadanie. Za oknem widział Stary Port, a za nim ciemnobłękitny przestwór Morza Śródziemnego. Znów będzie gorący dzień, idealna pogoda na lunch w ogrodzie hotelu „Passedat” przed odlotem na Korsykę. Polluce zawsze lubił Marsylię.

Wziął prysznic, ogolił się i ubrał, z przyjemnością nakładając koszulę z lekkiej jak piórko, bladoniebieskiej materii i ciemny jedwabny garnitur o dyskretnym połysku. Uważał, że mężczyzna powinien się ubierać stosownie do wieku. Nie jak ten bufon Tuzzi, z jego absurdalnymi kaftanami i koszulami rozpiętymi po włochaty pępek. Sprawdzał, czy mankiety koszuli wystają tyle, ile trzeba, z rękawów marynarki, i poszedł otworzyć kelnerowi, który właśnie zapukał do drzwi.

Przy śniadaniu puścił wodze wyobraźni, myśląc o pieniądzach i możliwościach intrygowania, których przysporzy jemu i jego kolegom z Union Corse nowo zakupiona formuła. Tak jak ich ojcowie i dziadowie, nie pałali zbytnim sentymentem do sąsiadów z kontynentu. Porządny Korsykanin, prawdziwy Korsykanin pragnie niepodległości. Jeżeli Francuzi nie chcą jej dać po dobroci, to trzeba ją sobie wziąć siłą.

Polluce, który rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje, uśmiechnął się na myśl o manipulowaniu francuskim rynkiem truflii i wyciąganiu milionów z francuskich kieszeni. Union Corse niewątpliwie uzna za stosowne przeznaczyć część tych zysków dla korsykańskiego ruchu narodowego, przysparzając w ten sposób jeszcze większych kłopotów Francuzom, kłopotów finansowanych z ich własnych pieniędzy. Polluce omal się nie roześmiał, co zdarzyło mu się po raz ostatni przed wielu laty w Bastii, kiedy jego teściowa-jędza spadła z wysokiego barowego stołka po wypiciu zbyt wielu szklaneczek porto i wyzionęła ducha.

Spojrzał na zegarek. Za pół godziny będzie miał wyniki analizy, którą zamówił poprzedniego popołudnia. Miał akurat czas na wypalenie cygara. Normalnie nigdy by sobie na to nie pozwolił przed lunchem, ale to był szczególny dzień, dzień świętowania i folgowania drobnym słabostkom. Wyjął montecristo z futerału z polerowanej skóry i delikatnie ścisnął w palcach pękaty, niemal soczysty kształt. Przyciął końcówkę, przypalił starannie i wciągnął pierwszy haust ciężkiego, wonnego dymu.

Słupek popiołu zbliżał się do banderolki, tej ascetycznej obwódki barwy czekolady, z prostymi, białymi literami, którą tak lubił. Zaciągał się właśnie po raz ostatni, kiedy pojawili się goście: Bruno, jego młody kuzyn i osobisty ochroniarz, oraz Arrighi, chemik analityk o pociągłej, wymizerowanej twarzy, w ciemnym ubraniu i z równie posepną miną.

Po wstępnych uprzejmościach Arrighi położył walizeczkę, spojrzał na Polluce'a, po czym powoli pokręcił głową.

- Przykro mi to mówić, ale - tu machnął pogardliwie ręką w stronę walizeczki - to nie jest to, czego się spodziewaliśmy. Dokumenty są bezwartościowe. Zwykle statystyki, które można nabyć za sto franków w Towarzystwie Rolniczym.

Wyraz twarzy Polluce'a się nie zmienił, kiedy odkładał cygaro.

- A serum?

- Woda i herbicydy. Co najwyżej zabije kilka chwastów, to wszystko. - Arrighi rozłożył szeroko ręce i wzruszył kościstymi ramionami. - Niewymownie mi przykro.

Polluce patrzył w okno, zaciskając zęby, aby nie okazać gniewu. Ten włoski kmiot i jego tresowany arystokrata musieli wiedzieć. Oszukali go. Hamując wściekłość, do jakiej zdolny jest jedynie oszust okantowany przez innych oszustów, odprawił Arrighiego, a kuzynowi kazał zaczekać na dole w samochodzie.

Zadzwoił do biura Tuzziego w Cannes i został połączony z „Ragazzą”.

- Tuzzi? Tu Polluce.

- Jak się masz, przyjacielu? Stęskniłeś się za życiem na morzu? - Tuzzi zasłonił dłonią słuchawkę i posłał jednego z majtków po lorda Glebe'a.

- Myślę, że wiesz, dlaczego dzwonię.

Tuzzi robił, co mógł, żeby sprawiać wrażenie zaintrygowanego.

- Zapomniałeś czegoś na jachcie?

- Nie zgrywaj się, Tuzzi. Zrobiłem analizę. Ta formuła to merde. To środek chwastobójczy.

Nastąpiła eksplozja udanego zaskoczenia.

- Nie mogę w to uwierzyć! Non epossibile! Zaczekaj, idzie Glebe. - Starając się mówić na tyle głośno, żeby było go słychać po drugiej stronie słuchawki, Tuzzi zaczął wyrzucać z siebie potok słów. - Mój druh Polluce mówi, że formuła jest nic niewarta, że to podstęp. Został nabity w armatę. Jest w szoku. Ja jestem w szoku. Co robić? Przysięgłem na głowę mojej matki. Moje dobre imię zostało unurzane w chodniku...

- W rynsztoku, staruszkę - poprawił go Glebe. - Daj mi go, ja z nim porozmawiam.

Tuzzi podał mu słuchawkę i nadstawił ucha, kiedy ten zaczął sprzedawać Polluce'owi wersję wydarzeń, którą uzgodnili poprzedniego wieczoru.

- Mister Polluce, tu Glebe. Ubolewam nad tym, co się stało, ale to wyjaśnia pewne wypadki, które zdarzyły się wczoraj wieczorem na „Ragazzy” i których nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć. Pamięta pan tego Anglika Bennetta i dziewczynę?

- Oczywiście.

- Nie zastałem ich na jachcie, kiedy wróciłem z naszego małego spotkania w Marsylii. Ulotnili się potajemnie i w pośpiechu. Nikt nie widział, jak opuszczali pokład, zostawili wszystkie rzeczy w swoich kabinach. Skłonni jesteśmy przypuszczać, że popłynęli do brzegu wpływ. Słucha mnie pan, mister Polluce?

Polluce musiał zdać sprawę z rozmowy swoim kolegom z organizacji, więc zaczął robić notatki.

- Proszę kontynuować.

- Teraz wszystko zaczyna się zgadzać, rozumie pan? Musieli zabrać zawartość walizeczki, czyli prawdziwą formułę, i podłożyć spreparowane materiały. - W głosie Glebe'a dźwięczało oburzenie. - Mister Polluce, wszyscy zostaliśmy oszukani. Wszyscy - powtórzył z mocą. - Trzeba ich pociągnąć do odpowiedzialności. Muszą



ponieść konsekwencje. - Glebe zmarszczył brwi, patrząc na Tuzziego, który uniósł pięść do góry triumfalnym gestem, uśmiechając się szeroko. Ci przekłęci Włosi muszą się zawsze wszystkim ekscytować.

- Poniosą konsekwencje - odparł Polluce. - Ale najpierw musimy ich znaleźć.

- Nie sędzę, żeby daleko ujechali. Tak się śpieszyli, że zostawili swoje paszporty. Znaleźliśmy je w ich kabinach.

- Mogą być podrobione.

- To niemożliwe - rzekł Glebe. - Jeden z nich jest brytyjski.

Polluce nagryzmolił jakieś nazwisko w swoim notatniku.

- Przekażcie mi je. Mam znajomych w policji. Mając paszporty, zdobędę jakiś punkt zaczepienia.

- W policji? - zapytał Glebe. - No, nie wiem, przyjacielu. Naprawdę jest pan zdania, że powinniśmy ich w to angażować?

Tuzzi kręcił gwałtownie głową, na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Monsieur Glebe, połowa policji w Cannes to Korsykanie, w tym także prawdziwi Korsykanie. Współpracowaliśmy już w przeszłości.

Glebe spojrział na Tuzziego i skinął głową.

- Znakomicie, znakomicie. W takim razie wszystko ustalone. Maszerujemy ramię w ramię z chłopcami w błękitnych uniformach. Zawiniemy niezwłocznie do najbliższego portu i do wieczora będzie pan miał paszporty. Gdzie się pan zatrzymał?

Polluce podał mu adres i numer telefonu do swojego hotelu.

- Do wieczora, tak?

- Słowo Anglika to chyba wystarczająca gwarancja, mój drogi Polluce.

- Czy odnosi się to również do Bennetta?

- Obawiam się, że to niechlubny wyjątek. Pewnie dostał w dzieciństwie po głowie od swojej niani albo został posłany do niewłaściwej szkoły.

- *Merde*. - Polluce odłożył z obrzydzeniem słuchawkę i zszedł na dół do samochodu. W sprawie tej wagi najlepiej będzie porozmawiać z kapitanem w cztery oczy. Kazał Brunonowi włączyć klimatyzację i ruszył w stronę Cannes.

Tuzzi pochylił się i uszczypnął pieszczotliwie Glebe'a w policzek - objaw uznania, który jego lordowska mość uważał za wyjątkowo niesmaczny.

- Brawo, mój przyjacielu, brawo. Co za występ! Ja myślę, że będę cię nazywał Machiavelli.

Glebe wytarł policzek i zapalił cygarko.

- Chyba wyszło nie najgorzej, muszę przyznać. Zaczekamy dwadzieścia cztery godziny, po czym powiemy im, że z tego, co ustaliliśmy, Bennett pracuje dla Pogo. W ten sposób włożymy kij w mrowisko.

- W mrowisko?

- Nieważne, Enzo, nieważne. Figura retoryczna. - Glebe wypuścił kłęb dymu, który zawisł w nieruchomym powietrzu. Uśmiechnął się. - Coś mi się zdaje, Enzo, że z tego podniecenia przeoczyłeś najistotniejszą rzecz.

-He?

- Polluce zapomniał zażądać zwrotu pieniędzy.

Tuzzi plasnął się dłonią w czoło, po czym otworzył szeroko ramiona.

- *Maestro!* Całuję twoje stopy!

- Proszę cię, nie rób tego - powstrzymał go Glebe. - Załoga zacznie plotkować.

Poe podniósł wzrok znad biurka, słysząc warkot helikoptera wracającego z Monako z milionem dolarów, których, zgodnie z jego mocnym postanowieniem, Bennett i ta niewdzięczna suka nie mieli nigdy wydać. Zazwyczaj był człowiekiem umiejącym czekać na chwilę satysfakcji, wyznawał pogląd, że zemsta to danie, które powinno być serwowane na zimno. Ale jego cierpliwość została wystawiona na zbyt wiele prób. Najpierw były lata cackania się z tym małym, drętwym profesorkiem, spełnianie jego zachcianek, kiedy żądał coraz więcej czasu, coraz więcej pieniędzy, domagał się ustawicznych pochwał. Potem cały plan znalazł się w niebezpieczeństwie przez takiego pajaca jak Tuzzi. A teraz jeszcze zagrało mu na nosie tych dwoje amatorów, z ich żalosną zabawą w chowanego. Cóż, czekała tę parę niespodzianka. Ta myśl poprawiła mu humor i pogwizdywał pod nosem, schodząc na dół, żeby się spotkać z Shimo.

Japończyk rozpiął suwak taniej nylonowej torby. Poe patrzył, jak wyklada na stół równe paczuszki studolarowych banknotów.

- Mam nadzieję, że wkrótce przywieziesz je z powrotem, Shimo. Przykro by mi było się z nimi rozstać. Jestem do nich bardzo przywiązany.

Shimo skinął głową.

- To ich wyciągnie z kryjówki, a wtedy ich mamy. Czy Anglik telefonował?

- Jeszcze nie. - Poe wziął do ręki torbę i zaczął oglądać jej wnętrze. - Gdzie powinniśmy to umieścić, jak myślisz?

Shimo wyjął z kieszeni małe plastikowe pudełko wielkości połowy karcianej talii.

- Możemy wszyć to w podszewkę, tu w rogu, pod pieniędzmi. Zasięg nie jest zbyt duży, mniej więcej pięćset metrów, ale urządzenie o większej mocy trudniej byłoby ukryć.

Poe się uśmiechnął, patrząc na mały przedmiot, spoczywający w dłoni Shimo.

- Uważaj, Bennett. Jesteś namierzony.

- Mister Julian, martwi mnie jedna sprawa. - Shimo odłożył miniaturowy nadajnik i zapalił papierosa. - Przypuśćmy, że Anglik gra na kilka frontów, żeby więcej dostać. Ze pertraktuje, dajmy na to, z Tuzzim.

Poe musiał przyznać, że istniała taka możliwość. Prawdę mówiąc, było to dokładnie to, co sam by zrobił na miejscu Bennetta. Spróbowałby, czy nie uda się zarobić dodatkowych kilkuset tysięcy dolarów dzięki paru telefonom.

- Masz rację, Shimo - powiedział. - Chyba będę musiał porozmawiać z panem Tuzzim. Jeszcze gotów pokpić sprawę. Bóg widzi, że jest na to dostatecznie głupi.

Tuzzi i Poe wymienili przez telefon kurtuazyjne formuły powitalne, niczym starzy znajomi, nawiązujący kontakt po długim niewidzeniu. Wyrazili zadowolenie, że każdy z nich znajduje swojego rozmówcę w dobrym zdrowiu - Tuzzi unikając poruszania drażliwej kwestii swych wciąż obolałych genitaliów - i upewnili się wzajemnie o kwitnącym stanie swoich interesów, po czym Poe przeszedł do rzeczy.

- Enzo - oświadczył - wygląda na to, że obaj padliśmy ofiarą kradzieży. Mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię.

- O formule?

- Otóż to. Tobie skradziono ją raz, mnie dwa razy, chociaż gotów jestem puścić dawne sprawy w niepamięć.

- *Bene, bene.* Jesteśmy ludźmi praktycznymi, ty i ja. Cywilizowanymi ludźmi.

Poe starał się usilnie, żeby jego ton nie zdradzał pogardy, którą czuł.

- To prawda, Enzo, jesteśmy. I nade wszystko jesteśmy ludźmi interesu. Tak więc proponuję połączyć siły, żeby odszukać Anglika i dziewczynę, wymienić się informacją i tak dalej. Co o tym sądzisz?

- Mój drogi przyjacielu - Poe wzdrygnął się na te słowa - to dla mnie wielki zaszczyt pracować ręką w rękawiczkę z takim człowiekiem, jak ty. - Tuzzi zniżył konspiracyjnie głos. - Powiedz, nie odezwali się przypadkiem? Był jakiś kontakt?

Poe spojrzał na piętrzące się przed nim pliki banknotów.

- Ani słowa. A u ciebie? Jakiś punkt zaczepienia?

Tuzzi pomyślał o paszportach jadących do Polluce'a do Marsylii i o rychłym zaangażowaniu w sprawę kilku korsykańskich policjantów. Westchnął głośno.

- *Niente*. Rozpłynęli się w powietrzu, puff! I zostaliśmy z niczym. Teraz musimy szukać kropli w stogu siana, co?

- Twoi ludzie ich szukają?

- Oczywiście. A twoi?

- Oczywiście. To co, jesteśmy w kontakcie, tak?

- Moja informacja należy do ciebie, przyjacielu. Na głowę mojej matki.

Tuzzi uśmiechał się szeroko, odkładając słuchawkę telefonu. Nawiedzała go już wcześniej myśl, że Bennett i dziewczyna mogli pójść z formułą prosto do Poego, co stanowiłoby poważną komplikację. Teraz musiał po prostu dopaść ich pierwszy, a z Polluce'em i jego przyjaciółmi z policji w odwodzie jego szanse wyglądały nie najgorzej. Wydał dyspozycje, żeby „Ragazza” zawróciła do Marsylii. Dziewczęta z Ibizy mogły poczekać. Poszedł szukać lorda Glebe'a, zapominając niemal, pod wpływem dobrego humoru oraz dzięki technice kuśtykania w szerokim rozkroku, którą sobie przyswoił, o bolesnej sprawie między nogami.

Poe nie spodziewał się zbyt wiele po tej rozmowie i z zasady nie ufał ani jednemu słowu Tuzziego. Ale był przekonany, że gdyby Włoch miał jakiegoś asa w rękawie, nie oparłby się pokusie zrobienia do niego aluzji albo spróbowałby mu go sprzedać. Tak więc był to wyścig, kto pierwszy znajdzie Bennetta i dziewczynę, a oni już nawiązali z nim kontakt. Poe również był zdania, że jego szanse wyglądają nie najgorzej. Pogodził się z tym, że resztę dnia spędzi przy telefonie, czekając na dalsze wieści.

Anna i Bennett wstali późno i kiedy zajrzeli do kuchni w poszukiwaniu kawy, przekonali się, że klasztor zdążył już całkowicie opustoszeć. Wszyscy bracia byli przy pracy w winnicy; odległy dyszkant ich traktorów brzmiał równie monotennie i usypiająco, jak brzęczenie pszczoł w lawendzie.

Anna czekała, aż zagotuje się woda w rondlu stojącym na opalanej drewnem kuchni, podczas gdy Bennett usiłował pokroić to, co zostało z okrągłego bochenka praśnego chleba. Jak dotąd, poranek upływał w dość krępującej dla obojga atmosferze bliskości, przemieszanej z oficjalną, niezręczną kurtuazją. Odwiedzili na zmianę otwartą, znajdującą się przy końcu dormitorium łazienkę o kamiennej po-

sadzce. Jedno czekało dyskretnie w celi, podczas gdy drugie stało pod strumieniem lodowatej wody. Skorzystali z tego samego mydła. Wytarli się tym samym szorstkim ręcznikiem. Pojawiło się między nimi napięcie, którego nie było wcześniej, jakby nerwowe oczekiwanie tego, co może nastąpić lub nie nastąpić za chwilę. Francuz czy Włoch próbowaliby się przystawiać. Bennett spróbował zrobić tosty.

Anna przyglądała mu się, jak marszczy w skupieniu czoło nad pajdami chleba, rumieniącymi się na żeliwnej kuchennej płycie. Jego włosy, wciąż wilgotne po kąpieli, były zaczesane do tyłu, odsłaniając opalone czoło, co nadawało Bennettowi wygląd sepiowej fotografii z lat dwudziestych. Mogła go sobie wyobrazić w białych pumpach, wykonującego zamach drewnianą rakieta tenisową. Bennett nadział kromkę na koniec noża i przewrócił na drugą stronę.

- Tost to delikatna sprawa - wyjaśnił, podnosząc na nią wzrok. - Cała rzecz w tym, żeby wyczuć właściwy moment.

- Czy tak nie jest ze wszystkim?

Bennett patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, uświadamiając sobie, że uśmiechają się do siebie nawzajem.

- Tak - potwierdził. - Chyba tak.

Woda zabulgotała w rondelku i Anna się obejrzała.

- Jak myślisz, gdzie ci mnisi trzymają kawę?

Zjedli śniadanie na kamiennej ławce w cieniu klasztornych krużganków, po czym zaczęli się przymierzać do następnego kroku. Zażądać miliona dolarów to jedna sprawa. Znaleźć sposób, żeby go bezpiecznie odebrać, to zupełnie inna kwestia. Poe z pewnością wyśle kogoś, żeby obserwował przejęcie gotówki, przypuszczalnie więcej niż jedną osobę. Uczęszczane miejsce, takie jak dworzec kolejowy, zapewni im chwilowe bezpieczeństwo, ale gdy je opuszczą, sytuacja zacznie być groźna. Miejsce położone na uboczu, bez świadków, byłoby jeszcze bardziej ryzykowne. W miarę jak upływały poranne godziny, a kolejne ewentualności były rozważane i odrzucane, rosło poczucie, że wmanewrowali się w pułapkę.

Traktor zadygotał po raz ostatni i zatrzymał się przy grupie cyprysów. Brat Yves, który miał tego dnia dyżur kuchenny, wrócił wcześniej z winnicy, żeby przygotować południowy posiłek. Bennett patrzył, jak mnich kroczy śpiesznie ścieżką w stronę drzwi wejściowych, ocierając czoło wielką, niezbyt czystą chustką. Musi



być piekielnie gorąco w takim habicie, pomyślał. I w tym momencie doznał olśnienia.

Zerwał się na nogi i zaczął chodzić tam i z powrotem ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi przed sobą.

- Anno - powiedział wreszcie - posłuchaj. To może być to, o co chodzi. Powiemy mu, żeby zostawił pieniądze w kościele. Są ich dziesiątki tu w okolicy, wszelkich kształtów i rozmiarów, większość stoi pusta z wyjątkiem niedziel.

Anna zmarszczyła brwi.

- No, nie wiem. Kościół byłby niezły, ale zgarną nas, kiedy będziemy wychodzić. - Uderzył ją wyraz twarzy Bennetta. - Nie mam racji?

- W tym cała rzecz. Nie będziemy wchodzić do środka. Poprosimy ojca Gilberta, żeby odebrał dla nas te pieniądze. Tamci spodziewają się mężczyzny i kobiety. Nie zwrócą uwagi na zakonnika wchodzącego do kościoła.

Anna skinęła powoli głową, po czym uniosła rondo wymyślanego kapelusza.

- Bennett, ty stary szalbierzu. Interesy z tobą to czysta przyjemność.

- Potrzebujemy przewodnika po kościołach. Chodź. Dostaniemy go w Forcalquier.

Siedzieli w kawiarni za Place du Bourget, z otwartym przewodnikiem po kościołach i innych zabytkach, leżącym pomiędzy nimi na stole, popijając różowe wino i folgując nadziei na pomyślne zakończenie sprawy. Bennett wytypował na popołudniowy rekonesans trzy spośród czterech możliwych kościołów. Mieli wybrać jeden z nich, zadzwonić do Juliana Poe, po czym przekonać ojca Gilberta, żeby się podjął przeszmuglowania pieniędzy poza obręb przybytku. I tu, na nieszczęście dla Bennetta, Anna zaczęła mieć wątpliwości.

- To naprawdę kupa forsy - przypomniała. - A ty prawie nie znasz tego człowieka. Ufasz mu?

Bennett wpatrywał się w swój kieliszek. Sam powiedział, że ojciec Gilbert to stary łobuz, oszust podatkowy, biznesmen w zakonnym przebraniu. Przypomniał sobie, jak zaufał Brynford-Smithowi w sprawie jachtu i czym się to skończyło.

- No, nie jestem pewien - westchnął.

- To znaczy, że mu nie ufasz. - Anna pokręciła głową. - Ja też nie. Nie, kiedy w grę wchodzi milion dolców.

Euforia opadła. Bennett opróżnił kieliszek i dał znak kelnerowi, żeby mu nalał następny. Kawiarnia zaczęła się zapełniać przed lunchem: młode ekspedientki w letnich sukienkach, zwaliscy mężczyźni o nalanych twarzach, wykorzystujący obowiązkową dwugodzinną przerwę w pracy swoich biur, dwaj żandarmi po służbie. Z kuchni dochodził zapach czosnku, steków i smażonych ziemniaków. Chudy pies przystanął w drzwiach, węsząc z nadzieją, nim kelner go nie przegonił, puszczając soczystą wiązanke.

Nagle Anna parsknęła śmiechem, zakrywając usta dłonią.

- O co chodzi? - obruszył się Bennett. - To był prawie świetny pomysł.

- Nadal jest. Nie rozumiesz? Wszystko, czego potrzebujemy, to odpowiedni mnich. Mnich, na którym można polegać, któremu można powierzyć milion dolarów. Tak się składa, że przypadkiem znam kogoś takiego. - Pochyliła się i poklepała go po ramieniu. - Brat Bennett. - Znów się roześmiała. - To mi się podoba.

Polluce i kapitan Bonfils zajęli stolik w głębi sali i zamówili ricarda. Właściciel „Poisson d'Argent”, jednej z kilku restauracji, otaczających Pałac Festiwalowy, znał Bonfilsa i wiedział, że czasem omawia tutaj poufne sprawy. Ceniąc sobie policyjną klientelę w tych niebezpiecznych czasach, zadbał o to, żeby sąsiednie stoliki były puste. Mogli rozmawiać spokojnie.

- Chin. - Bonfils pociągnął łyk anyżówki. Jego oczy, na skutek wieloletniego nawyku, ani przez chwilę nie pozostawały nieruchome, cały czas obserwując salę. Jego awans z mundurowego „krawężnika” z Croisette na kapitana w garniturze był błyskawiczny - wspomagany, trzeba przyznać, przez Polluce'a i jego przyjaciół z Union Corse. Pociągnięto odpowiednie sznurki. Taka przysługa wymaga od czasu do czasu małego rewanzu. To normalne. Bonfils spojrział na szykownego starszego mężczyznę siedzącego naprzeciw niego i skłonił głowę z szacunkiem. - Przyjechał pan aż z Marsylii w taki upał. Sprawa musi być pilna, nieprawdaż?

Polluce studiował przez chwilę swój manikiur, zastanawiając się, ile powinien ujawnić.

- Pilna i być może delikatna. Skradziono coś cennego mnie i moim przyjaciołom. Coś bardzo cennego. Odzyskanie tej rzeczy to sprawa zasadniczej wagi. - Przesunął palcem po stojącym przed nim kieliszku, zostawiając przezroczysty ślad na jego spotniałej powierzchni. - Na szczęście wiemy, kto to zrobił: mężczyzna i kobieta, podróżujący razem. Dziś wieczorem będzie pan miał ich paszporty. - Uśmiechnął się kątem ust. - Użyteczna wskazówka, jak przypuszczam.

- O ile są autentyczne. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, monsieur Polluce, że teraz, ze Wspólnotą Europejską, sprawa nie jest już taka prosta jak kiedyś. Włochy, Hiszpania, Belgia... mogą przejechać pół Europy niekontrolowani. - Bonfils wyjął z kieszeni paczkę gitane'ów i oderwał filtr, zanim zapalił papierosa. - Ale paszporty będą oczywiście pomocne. To Francuzi?

- Brytyjczyk i Amerykanka.

Bonfils klasnął językiem o podniebienie. Nie cierpiał spraw, w które zamieszani byli cudzoziemcy. Człowiek musiał dmuchać na zimne. Pamiętał historię sprzed roku, kiedy pewien młody bęcwał został zapuszkowany za włóczęgostwo, po czym okazało się, że jego tatuś jest niemieckim ambasadorem. Dyżurny sierżant został zmieszany z błotem i odesłany z powrotem do patrolowania ulic.

- To niedobrze. Chyba że mieszkają na stałe we Francji. Wie pan, oficjalnie. Jeśli tak, to ich dane są w komputerach i będziemy w stanie wyciągnąć stamtąd wszystko, od daty urodzenia po kolor samochodu.

- No i oczywiście będzie pan miał ich fotografie. - Polluce się nachylił, stukając palcem o blat dla podkreślenia wagi swoich słów. - Oni muszą zostać odnalezieni. Będzie to miało dobroczynny wpływ na pańską karierę, zapewniam pana.

Noga Bennetta nie powstała w kościele od lat. Jak wielu ludzi w jego wieku i z jego środowiska, uważał, że wszelkie sprawy, które mógłby mieć do Wszchemocnego, można załatwić, ograniczając do minimum wizyty w kwaterze głównej. Zatrzymał się w drzwiach, żeby się oswoić z obcym otoczeniem.

Przeszłość często powraca do nas przez nos. Wciągając w płuca zapach świętego miejsca: ową szczególną mieszaninę odwiecznego kurzu, pleśniejących modlitewników i murszejącego kamienia, Bennett przeniósł się nagle wyobraźnią w czasy dzieciństwa. Stały mu przed oczyma niedzielne poranki, które spędzał, wierząc się w twardej kościelnej ławce, podczas gdy szkolny kapelan grzmiał z amboiny, ostrzegając swoją młodą trzódkę przed grzechami ciała, co jedynie pobudzało ich ciekawość. Ojciec Bennetta, człowiek, który przedkładał pogrzeby nad śluby („krótsza ceremonia i nie trzeba posyłać prezentu”), nie dawał mu zbyt budującego przykładu, jeśli chodzi o sprawy ducha, podczas rzadkich wizyt składanych w szkole. Położyła im pewnego dnia kres pogawędka przy szklaneczce schłodzonego sherri, podczas której ojciec poinformował kapelana, że religia odpowiada za więcej wojen, tortur i niewinnych zgonów niż cokolwiek innego na przestrzeni dziejów. Po tym incydencie Bennett cieszył się krótkotrwałą sławą jedyne go chłopca, którego ojciec został wydalony ze szkoły.

Pokręcił głową, jakby chciał odpędzić widma przeszłości, i zaczął oceniać przybytek pod kątem przydatności do roli miejsca zrzutu. Miał przybyć i oddalić się pieszo. Potrzebowali kościoła, który nie byłby zbyt odizolowany od otoczenia - żeby nie trzeba było pozostawać zbyt długo na widoku, maszerując z milionem dolarów pod pachą. Z drugiej strony, kościół zbyt uczęszczany, pełen pobożnych, ale wścibskich i bystrookich wiernych, byłby równie niewskazany. Ten na pewno nie był odpowiedni. Bennett przywołał Annę, która oglądała witraż, przedstawiający męczeństwo jakiegoś prowincjonalnego świętego.

- Nie wydaje mi się, żeby to było to, jak sądzisz? Jest za mały. Może powinniśmy się zdecydować na katedrę?

Przez resztę popołudnia przeczesywali okolicę w poszukiwaniu kościołów, zatrzymując się w Banon, w Simiane-la-Rotonde i w St-Saturnin, nim zawrócili w stronę Mont Ventoux. Bennett prowadził, podczas gdy Anna przerzucała się od przewodnika do mapy i z powrotem, torując sobie drogę wśród dziesiątków kaplic i opactw, hospicjów i bazylik. Wreszcie natrafiła na coś, co, jak miała nadzieję, było strzałem w dziesiątkę.

- Posłuchaj - powiedziała. - Notre Dame de Poulesc, położona tuż przy rynku tętniącego życiem targowego miasteczka..- Pokręciła głową. - Dlaczego targowe miasteczka zawsze muszą tętnić? Czy nie mają nic innego do roboty? W każdym razie brzmi to całkiem nieźle. Gotów do zwiedzania? - Zaczęła czytać, naśladowując ton przewodnika wycieczek: - Święta Katarzyna została pochowana w Poulesc. Odnalezienie jej ciała pod koniec XII wieku dało impuls do budowy kościoła, który stał się z czasem celem tak licznych pielgrzymek, że musiano go znacznie rozbudować w XVI wieku. Południowy portal, choć ogołocony z rzeźb podczas rewolucji, jest najbardziej interesującym spośród zachowanych elementów architektury romańskiej, a nawa kościoła, zdaniem wielu specjalistów, stanowi jeden z najsugestywniejszych przykładów gotyckiego stylu w Prowansji. - Anna podniosła wzrok znad przewodnika. - Mam nadzieję, że robisz notatki. Dalej jest jeszcze lepsze. Nawa kościoła posiada boczne kaplice, zawierające piękne okazy siedemnastowiecznej sztuki witrażowej, a relikwie świętej Katarzyny spoczywają w odrestaurowanej dwunastowiecznej krypcie. - Anna zamknęła książkę. - Tak więc jest duży, znajduje się w rynku i ma te małe boczne wnęki, ciągnące się wzdłuż głównej nawy. To jest to, Bennett, wierz mi.

Bennett uśmiechnął się, widząc jej entuzjazm.

- Już raz ci uwierzyłem. I zobacz, w co się wpakowałem.

- Będziesz bardzo przystojnym mnichem, wiesz o tym? Jednego ci tylko brakuje...

- Jeśli myślisz, że dam sobie zrobić tonsurę, to zapomnij o tym. - Bennett zerknął na Annę, widząc pytający wyraz jej twarzy. - Fryzurę z wygoloną dziurą pośrodku.

- Nie ma sprawy. Będziesz miał kaptur na głowie. Problem w tym, że jesteś za chudy. Mnisi są tłuści, zgadza się? Jowialni, jak braciszek Tuck albo ojciec Gilbert. - Przyglądała się przez chwilę jego szczupłej sylwetce, po czym uderzyła dłonią o

pulpit, na co Bennett odruchowo nacisnął hamulec. - Mam! Wiesz co, dorobimy ci brzuch. Na- pchamy ubrań pod habit. Zostawisz je w kościele, a na ich miejsce włożysz pieniądze. Wejdiesz i wyjdiesz brzuchaty i z pustymi rękami. I jak ci się to podoba? Co ty byś beze mnie zrobił?

Brwi Bennetta uniosły się w górę na to pytanie.

- No, nie wiem. Wiódlbym spokojny, przyjemny żywot w Monako, jeździłbym mercedesem, opędzał się od dziewcząt, jadał wyśmienite potrawy, spał w wygodnym łóżku...

Anna pochyliła się i pocałowała go w policzek. Poczuł przy uchu jej lekki, ciepły oddech.

- Dupek.

Poulesc tchnęło spokojem w łagodnym świetle wczesnego poranka - prowincjonalne prowansalskie miasteczko, czekające na łowcę pocztówkowych ujęć. Po jednej stronie placu grupka mężczyzn w płóciennych czapkach i spłowiałych koszulach oddawała się grze w bule, oszukując, kłócąc się i śmiejąc pod parasolem cienistych, rosnących długim rzędem platanów. Anna i Bennett przystanęli, żeby popatrzeć, kiedy temperatura dyskusji zaczęła rosnać, a gesty stawały się coraz bardziej gwałtowne.

- Myślałam, że to miła, spokojna gra dla miłych, spokojnych staruszków - zauważyła Anna. - Spójrz na tych ludzi. Wyglądają, jakby się mieli pozabijać.

- Nigdy nie widziałem, żeby do tego doszło, ale to brutalna gra. Krykiet jest taki sam. Gracze robią sobie nawzajem straszne świństwa. - Bennett wskazał mężczyznę, który podchodził właśnie do narysowanej na ziemi linii. - Widzisz tego w zielonej koszuli? Założę się, że zbombarduje przeciwników.

Zielona Koszula przykleknął, ręka trzymająca bulę wykonała jeden zamach, drugi... po czym stalowa kula wystrzeliła stromym, wysokim łukiem, zamigotała srebrem w słońcu i wylądowała z tępym kłaśnięciem pomiędzy innymi bulami, wybijając jedną z nich z pozycji tuż obok drewnianej kuli, stanowiącej cel. Pozostali podbiegli truchcikiem, żeby ocenić sytuację, dokonać pomiarów, przedyskutować sprawę.

- Jak długo coś takiego trwa?



- Godzinami, czasem całymi dniami. Dopóki się nie ściemni albo dopóki żony po nich nie przyjdą i nie zaciągną ich do domu.

- Łatwo jest spędzać tu miło czas, nic nie robiąc, prawda?

- To nie jest nic. To jest życie. Na wsi wciąż jeszcze istnieje coś takiego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tutejsi ludzie wyznają dziwaczny pogląd, że życie to coś więcej niż praca i telewizja. - Bennett wzruszył ramionami. - Nie twierdzę, że nie mają swoich problemów. Codziennie można usłyszeć, jak utyskują po barach na wszystko, od ceny chleba poczynając, a na polityce nuklearnej rządu kończąc. Ale umieją cieszyć się życiem. Grają w swoje bule, polują, dużo się śmieją, są nałogowymi gadułami, spędzają całe godziny za stołem. - Uśmiechnął się, wciąż obserwując grę. - Kto oprócz Francuza potrafiłby przeżyć orgazm na widok worka trufli?

Anna obserwowała jego uśmiech, kiedy przyglądał się błazenadzie graczy, i zastanawiała się, jaki będzie dalszy ciąg ich znajomości, kiedy przymusowa bliskość dobiegnie końca, kiedy nie będą już musieli uciekać. Czy wróci sama do Nowego Jorku? Czy Bennett powróci do swojej wioski? Nie chciała o tym myśleć. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Z największą przykrością muszę ci zakomunikować, że mamy do obejrzenia kościół.

Gospodynie przecinały plac we wszystkich kierunkach, kursując między rzeźnikiem, sklepem spożywczym i piekarnią, dokonując wyboru produktów na wieczorny posiłek.

- Widzisz? - powiedział Bennett. - One tętnią życiem, tak jak napisali w przewodniku.

Pod markizą kawiarni młody ciemnowłosy kelner flirtował z dwiema jasnowłosymi dziewczynami z plecakami i niemieckim akcentem. Samochody były zaparkowane na chybił trafił w najróżniejszych miejscach i pozycjach, z typową niefrasobliwością mieszkańców południa Francji. Jedne stały częściowo na chodniku, inne były wciśnięte w niemożliwie ciasne przestrzenie, jeszcze inne stały po prostu na środku jezdni, migając światłami, podczas gdy ich właściciele wychylali przy barze ostatnią szybką kolejkę przed powrotem do domu. Po zachodniej stronie placu, w miejscu ogrzewanym od stuleci ostatnimi promieniami słońca, stał kościół.

Wnętrze było puste, przepastne i mroczne - melancholijny cień, który po kilku wiekach wydaje się zdobywać sobie trwałe obywatelstwo w miejscach kultu religijnego był niemal składnikiem jego architektury. Anna i Bennett przeszli środkiem długiej nawy, pomiędzy rzędami pustych ławek, po czym rozdzielili się, żeby spenetrować jeszcze ciemniejsze boczne kapliczki po obu stronach kościoła. Dyskretne kryjówki znajdowały się tu w obfitości: ciemne zakamarki, nieodwiedzane kąty, nisze za potężnymi kamiennymi przyporami, gdzie kurz leżał nietknięty od miesiący, a może i lat. Bennett naniósł szybko parę uwag na marginesie przewodnika, po czym ruszył w stronę ołtarza.

- Psssst!

Syk rozciął ciszę niczym strzała, każąc mu zatrzymać się gwałtownie.

- Tutaj!

W rogu za ołtarzem dojrzał wąski, ciemny otwór, na którego tle zamajaczyła mu biała plama sportowej koszulki Anny. Wszedł po stopniach, skręcił za ołtarz i ujrzał drzwi, niewiele szersze niż jego barki.

- Bennett, spójrz. Idealna sprawa.

Znajdowali się w niewielkim, kwadratowym pomieszczeniu, ze stołem i krzesłem pod jedną ścianą i rzędem sfatygowanych drewnianych wieszaków, umocowanych na drugiej. Była to prymitywna szatnia, gdzie ksiądz mógł się przebrać w niedzielne szaty liturgiczne. Na zewnętrznej ścianie Bennett ujrzał przyczynę entuzjazmu Anny: drugie drzwi, które odryglowała i zostawiła uchylone. Bennett otworzył je na oścież. Wychodziły na uliczkę biegnącą na tyłach kościoła, łączącą się z obu stron z ulicami prowadzącymi do rynku. Mógłby wejść do kościoła niezauważony i tak samo z niego wyjść. . Tak, to było idealne.

Uczcili odkrycie szklanką piwa w kawiarni, a w drodze powrotnej uzgodnili, w którym zakamarku mają zostać zdeponowane pieniądze. Nazajutrz zadzwonią do Juliana Poe i przekażą mu swoje instrukcje. Zainkasują milion, po czym czmychną przez granicę do Wioch. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Atmosfera przy kolacji była jeszcze bardziej biesiadna niż zazwyczaj, gdyż ojciec Gilbert zdecydował, że rocznik 92 dojrzał do gruntownej, nieśpiesznej analizy. Butelki pojawiały się i znikwały jedna za drugą, każda, jak zgodnie uznawali zgromadzeni, jeszcze lepsza niż poprzednia, i kiedy Anna i Bennett wymówili się w

końcu od dalszego udziału w tej ceremonii, w głowach szumiało im przyjemnie pod wpływem musującej mieszanki alkoholu i optymizmu. Wychodząc, Bennett zabrał ze sobą zapasowy habit, pożyczony od ojca Gilberta - czemu towarzyszyło uniesienie brwi oraz figlarne zaproszenie do wstąpienia w szeregi zgromadzenia, które bardzo potrzebuje świeżej krwi. Ścieżka pachnąca lawendą zaprowadziła ich do celi.

Anna usiadła na brzegu swojego łóżka. Jej oczy lśniły w blasku świecy.

- Dobra, młody człowieku - powiedziała. - Zobaczymy, jakiego mnicha uda nam się z ciebie zrobić.

- Teraz?

- Oczywiście.

Bennett przyłożył do siebie habit, czując jego ciężar.

- Dalej - zachęciła Anna. - Włóż to. Muszę zobaczyć, ile miejsca mamy z przodu do wypełnienia.

Bennett rozebrał się do bokserek, zaczerpnął tchu i dał nura pod grubą, wełnianą tkaninę. Czuł się jak w jednoosobowym namiocie. Ujął garść luźnego materiału na wysokości brzucha i odwrócił się bokiem, żeby Anna mogła zobaczyć go z profilu.

- W tym sezonie - rzekł - dopasowane habitury zdecydowanie wychodzą z mody. Króluje swobodny, niewymuszony styl, któremu szczypty tajemniczości dodaje najmodniejsze ostatnio nakrycie głowy. - Naciągnął kaptur, zasłaniając niemal całkowicie twarz. -1 jak?

Anna uśmiechnęła się, patrząc na workowatą, bezkształtną sylwetkę, w której nie sposób było rozpoznać Bennetta.

- Miałam rację - oświadczyła. - Jesteś bardzo przystojnym mnichem. A teraz cię trochę utuczmy. - Zwinęła dzinsy, parę podkoszulków oraz bawełniany sweter i przepchnęła to wszystko z pewnym trudem przez wycięcie habitu. Kłęb ubrań zatrzymał się na wysokości piersi. Popatrzyli na siebie, poważniejąc nagle, rozdzieleni nowym, obfitym gorsem Bennetta.

- Wydaje mi się, że konieczne będą małe poprawki, panno Hersh. - Głos Bennetta był lekko schrypnięty.

- Wiem. - Anna przyklękła i podniosła na niego wzrok. - Muszę cię prosić, żebyś uniósł szatkę.

Bennett zdrętwiał, kiedy dłonie dziewczyny przesunęły się po jego klatce piersiowej. Poczł jej oddech na brzuchu, koniuszek języka dotknął jego skóry. Usłyszał chichot, stłumiony przez zwoje materii.

- Zaczyna się robić tłok tutaj na dole.

Bennett wsunął palce w krótkie włosy na jej karku i podniósł ją delikatnie na nogi. Roześmiana, zarumieniona, zrzuciła mu z głowy kaptur.

- Bennett, ściągniesz wreszcie to paskudztwo, czy nie?

TLR

Wietrząc awans, kapitan Bonfils nie tracił czasu, przetrząsając gorliwie zawartość komputerów. Polluce powinien być zadowolony. Bonfils zamknął szklane drzwi swojego gabinetu i zadzwonił z prywatnego numeru.

- Niewiele dało się ustalić na temat dziewczyny - powiedział. - Standardowy amerykański paszport, przekroczyła granicę cztery dni temu w Nicei, niekarana. Ale mieliśmy więcej szczęścia z Anglikiem. - Oderwał filtr i zapalił papierosa, po czym zaczął odczytywać notatki, które sporządził. - Bennett, Luciano. Obywatel brytyjski, zamieszkały we Francji, ważna *carte de sejour*, w zeznaniach podatkowych jako źródło utrzymania podaje „wolny zawód”, jeździ białym peugeotem 205 rocznik 93, numer rejestracyjny 29 SKN 84. Wygląda na to, że jak dotąd, nie wchodził w kolizję z prawem.

Polluce odchrząknął.

- Teraz wszedł. - Zakrawa na ironię, pomyślał, że francuska rozdęta machina biurokratyczna, ze swoim irytującym, niepohamowanym wścibstwem, ze swoją maniacką skłonnością do rejestrowania każdego szczegółu osobistego i zawodowego życia człowieka, machina, która tak często bywała jego wrogiem, stała się teraz chwilowym sprzymierzeńcem. Przynajmniej będzie miał coś pokrzepiającego do zakomunikowania swoim kolegom z Calvi. - To początek, Bonfils. Dobry początek. Co dalej?

- Robię wszystko, co mogę, monsieur Polluce. Szczegółowe dane już są kolportowane: fotografie i wszystko inne. Mamy spore szanse, o ile nie opuścili kraju. Zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział.

- - *Bon*. Dobrze się pan spisał. Nie zapomnę o tym.

Bonfils odłożył słuchawkę z uczuciem satysfakcji, ale nie trwała ona długo. Drzwi gabinetu się otworzyły i naprzeciw jego biurka stanął Moreau, z nareczem papierów, posysając fajkę, która wydawała się nigdy nie opuszczać jego ust. Moreau był szefem Bonfilsa, „cudzoziemcem” z Charente, mającym opinię irytująco nieprzekup- nego nudziarza. Dwaj mężczyźni nie pałali do siebie sympatią. Moreau zdawał sobie sprawę, że Bonfils ma wpływowych przyjaciół, których wsparcie

wywindowało go na wysoki szczebel służbowej drabiny i że jego pozycja zawodowa nie odzwierciedla kompetencji. To mu działało na nerwy, obserwował więc Korsykanina uważnie i krytycznie. Bonfils, ze swojej strony, nienawidził szefa równie gorąco, jak pożywał jego stanowiska.

Moreau rzucił papiery na biurko.

- Z pewnością ma pan na to wszystko wytłumaczenie - wskazał głową w stronę stosu wydruków - ale czegoś tu, muszę przyznać, nie rozumiem. Wygląda na to, że wydział uznał nagle za priorytetową sprawę rzekomej kradzieży, nie wiedząc, co zostało skradzione. Nie ułatwia to sprawy, przyzna pan. Skąd ludzie mają wiedzieć, czego szukać? Bałaganiarska robota, Bonfils, strasznie bałaganiarska.

Moreau, jak zwykle, robił, co mógł, żeby Bonfils poczuł się winny albo niekompetentny. W tej chwili skurczybyk patrzył na niego takim wzrokiem, jakby go przyłapał na gorącym uczynku. Bonfils starał się, żeby jego ton brzmiał obojętnie.

- Otrzymaliśmy sygnał na temat tej pary. W tej chwili czekam na opis skradzionych przedmiotów.

Fajka Moreau wydawała ciche dźwięki, przypominające cmokanie, kiedy jej właściciel patrzył z góry na Bonfilsa.

- Ja również, kapitanie. Proszę dopilnować, żeby znalazł się na moim biurku dziś po południu, bez poślizgu. - Zebrał papiery i wyszedł, kręcąc głową.

*Merde.* Bonfils pozbawił filtra kolejny papieros. Skoro Polluce mu nie powiedział, to znaczy, że nie chciał mu powiedzieć. Co przypuszczalnie oznaczało narkotyki. Nagle poranek stracił cały swój urok. Bonfils odszukał numer hotelu Polluce'a i sięgnął po słuchawkę.

O sto mil stamtąd, na poczcie w Poulesec, Anna i Bennett stali ściśnięci w budce telefonicznej i czekali na połączenie, udzielając sobie nawzajem moralnego wsparcia fizycznej natury. Usta Bennetta oderwały się od szyi Anny, z którą od dłuższej chwili zawierały bliższą znajomość, kiedy w słuchawce odezwał się głos Juliana Poe.

Rozmowa była krótka, chłodna i rzeczowa. Pieniądze mają być zostawione w kościele, zgodnie ze wskazówkami Bennetta, o piątej po południu. Po ich odebraniu



Poe otrzymał informację, gdzie należy się zgłosić po walizeczkę. Wszystko trwało raptem trzy minuty.

Po raz drugi tego ranka przeszli wzdłuż kościelnej nawy, zatrzymując się przy ustalonej kryjówce, wyszli przez tylne drzwi, sprawdzili ulicę, gdzie Anna będzie czekała w samochodzie, po czym opuścili Poulesc i pojechali w kierunku Simiane-la-Rotonde, do małej restauracyjki z czterogwiazdkowym widokiem, na pierwszy lunch, który mieli zjeść jako kochankowie. I, jak na świeżo upieczonych kochanków przystało, robili plany na przyszłość. Włochy to miał być tylko pierwszy przystanek. Wystąpią o wydanie nowych paszportów i przycupną na jakiś czas w Villa d'Este. Kiedy paszporty będą gotowe, pojedą do Szwajcarii i znajdą mały cichy bank, gdzie zdeponują pieniądze. A potem - cóż, cały świat należał do nich.

Anna wyciągnęła rękę nad stołem i zdjęła Bennettowi ciemne okulary.

- Tak jest lepiej. Teraz widzę twoje oczy. Wiesz o tym, że będę musiała pojechać do Stanów, prawda? Przynajmniej na jakiś czas. Pojedziesz ze mną?

Opuścić St-Martin, z żadnym zemsty Julianem Poe tuż za miedzą, to nie był dla Bennetta wielki problem. Opuścić Francję to znacznie trudniejsze. Ale rozstanie, jak to sobie uświadomił, byłoby jeszcze gorsze.

Odsunął karafkę z winem i nakrył dłoń Anny swoją dłonią.

- Oczywiście, że pojedę.

- Na pewno?

- Obiecaj mi tylko jedną rzecz. Że nie każesz mi nosić bejsbolowej czapki.

Zamówili kawę i przenieśli swoje krzesła pod kamienny murek, otaczający taras. Pod nimi teren opadał stromo w dół, staczając się po pochyłości aż po odległą górę Luberonu, osnute mgiełką w popołudniowym upale. Krajobraz był niczym płótno pejzażysty, stonowana paleta delikatnych barw w obramowaniu błękitu. Z głową Anny spoczywającą na jego ramieniu Bennett patrzył w dal, widząc oczyma duszy przyszłość i uśmiechając się do tego widoku.

Zatrzymali się przy szosie, nie dojeżdżając do Poulesc. Bennett zniknął w zaroślach, by ukazać się po chwili jako mnich - zażywny mnich, ze sporym brzuchem, podtrzymywanym przez skórzany pas. Zdecydowali, że papier będzie lżejszy i chłodniejszy niż kłęb ubrań, i Bennett czuł teraz łaskotanie pogniecionych kartek,

pochodzących z kilku egzemplarzy „Le Provençal”. Ostrożnie ulokował się na siedzeniu obok kierowcy. Spięci i milczący, wjechali powoli do miasteczka, zatrzymując się o kilka ulic od kościoła.

Bennett wziął głęboki, nerwowy wdech.

- Życz mi szczęścia.

Gdyby ktoś przechodził tamtędy w owej chwili, ujrzałby niecodzienny widok: młodą kobietę, całującą mocno w usta duchownego w habitcie. Po raz ostatni poprawiając pas, Bennett naciągnął kaptur na twarz i ruszył w kierunku uliczki na tyłach kościoła, z pochyloną głową i złożonymi rękami, cicho szeleszcząc przy każdym kroku.

Uliczka była pogrążona w głębokim cieniu. Musiał zamrużyć oczami, kiedy w nią skręcił, żeby się przestawić po oślepiającym blasku otwartej przestrzeni. Po chwili stał przed drzwiami kościoła. Obejrzał się szybko w lewo i w prawo. Nikogo. Nacisnął klamkę i pociągnął. Idiota. Drzwi otwierają się od wewnątrz. Jeszcze raz nacisnął i pchnął. Żołądek podszedł mu do gardła. Ktoś musiał zasunąć tę cholerną zasuwę od czasu ich porannej wizyty. Będzie musiał wejść od frontu.

W rynku Gerard i jego wspólnik siedzieli w nieznośnym żarze samochodu. Dźwięk był ściszony, z odbiornika dochodziło jednostajne buczenie, sygnalizujące obecność nadajnika ukrytego w torbie, którą zostawili w kościele. Gerard marzył, żeby jego kolega przestał wreszcie sobaczyć na upał.

- My to pół biedy - powiedział. - Popatrz na tego nieszczęśnika, zakutanego w wołoki.

Spojrzeli na korpulentną postać mnicha, który wszedł śpiesznie po schodach i zniknął we wnętrzu kościoła.

- Taki widok to dosyć, żeby zrobić z człowieka ateistę. - Gerard zerknął na twarz sąsiada, której wyraz sygnalizował brak odbioru. - Nieważne. Nie łam sobie nad tym głowy.

Bennett stał u wylotu nawy. Przed ołtarzem stara kobieta podniosła się z kłęczek i zapaliła świecę. Bennett czekał. Kobieta się odwróciła, podeszła do niego i skłoniła z szacunkiem głowę.

- Ojciec.

Bennett przeżył chwilę paniki. Co, u licha, powinien powiedzieć? Skinął głową w odpowiedzi.

- Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością. To jednak niesamowite, pomyślał, czego potrafi dokonać uniform.

Dał nura do jednej z bocznych kapliczek i wsunął rękę za poczerniały relikwiarz. Końce jego palców dotknęły nylonowego pokrowca i Bennett odetchnął głęboko, z uczuciem ogromnej ulgi. Jego dłonie poruszały się nerwowo i niezdarnie, kiedy odpinał pasek i zamieniał wczorajsze doniesienia na milion dolarów, upychając kłęb gazet tam, gdzie przed chwilą znajdowała się torba. Zmuszając się, żeby nie ruszyć biegiem, przeszedł wzdłuż nawy i wyszedł przez tylne drzwi. Niecałe dwie minuty później siedział w samochodzie, napompowany adrenaliną. Ujął dłoń Anny i położył na swoim wypchanym brzuchu.

- Jakie to uczucie być milionerem?

Gerard podkręcił potencjometr. Sygnał zaczynał słabnąć. Torba została zabrana. Gerard włączył silnik i skrzywił się, kiedy przenikliwy dźwięk niespodziewanie zaświdrował mu w uszach. Biały peugeot wyjechał z bocznej uliczki i przeciął plac. Kiedy się oddalił, sygnał znów zaczął słabnąć.

- Psiakrew! Musi być drugie wyjście!

Ruszyli za peugeotem, trzymając się w pewnej odległości.

Bennett rozpiął pas i torba upadła na podłogę pomiędzy jego stopy. Odsunął zamek błyskawiczny i zaczął pogwizdywać cicho, patrząc na pliki studolarowych banknotów - więcej gotówki, niż widział kiedykolwiek w życiu. Anna, uśmiechnięta, jechała szybko krętą, wznoszącą się coraz wyżej szosą, na której końcu znajdowała się bezpieczna kryjówka klasztoru, postukując palcem o kierownicę do wtóru Bennettowi, wykonującemu gwizdaną wersję „Faceta, który rozbił bank w Monte Carlo”.

- Udało nam się - powiedziała. - Jasny gwint, udało się.

Bennett odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Nic, tylko drganie rozpalonego powietrza nad pustkowiec. Poziom adrenaliny zaczął opadać, ustępując miejsca euforii.

- Przypadkiem wiem - rzekł, przysuwając usta do ucha Anny - że w Yilla d'Este mają ogromne łoża z lnianymi prześcieradłami.

- A obsługę kelnerską w pokojach?

- Dzień i noc. Jutro kolacja w łóżku. Jak ci się to podoba? Lepsze niż klasztor-na piętrówka?

- Patrzcie go, jeszcze marudzi. Wy, rozpuszczeni faceci z forszą, jesteście wszyscy jednakowi. - Przyhamowała i skręciła w bitą drogę, prowadzącą do klasztoru. - Osobiście uważam, że poradziliśmy sobie na piętrówce całkiem nieźle.

Bennett zostawił Annę zajętą przeliczaniem pieniędzy, a sam uwolnił się od habitu i stał pod prymitywnym prysznicem, czekając, aż strumień lodowatej wody zmyje z niego napięcie ostatnich kilku godzin. Jutro o tej porze będą poza Francją, zostawią za sobą Poego i Tuzziego, skończą się ich kłopoty. Wytarł się, ubrał i wrócił do celi, czując pod bosymi stopami gładkie, chłodne płyty posadzki.

Anna nadal układała na łóżkach pliki banknotów, systematycznie sprawdzając każdą paczkę, żeby się upewnić, czy Poe nie podłożył zamiast pieniędzy pociętego papieru. Podniosła wzrok, kiedy Bennett stanął w drzwiach.

- Jak dotąd, wszystko w porządku - poinformowała. - Czyż to nie piękny widok? - Sięgnęła do torby po ostatnie paczki banknotów i nagle Bennett ujrzał, jak jej uśmiech znika, a na czole pojawia się chmura.

- Co się stało? Zapomniał zostawić napiwku?

- Coś tu jest, w rogu. - Anna odwróciła torbę na lewą stronę. - Widzisz? Tutaj. Patrzyli na niewielki skrawek mocno naciągniętej podszewki. Bennett dźgnął w nią palcem, starając się namacać kształt. - Wygląda na pudełko.

Anna przyniosła pilniczek do paznokci ze swojej kosmetyczki i nadpruła szew, po czym oderwała podszewkę i wyjęła biały plastikowy prostopadłościan o zaokrąglonych rogach. Podniosła go do światła z powagą na twarzy.

- Widywałam już takie rzeczy w Izraelu. Niektórzy faceci zabierali to ze sobą na patrol.

- Co to jest?

- Urządzenie naprowadzające krótkiego zasięgu. - Rzuciła przedmiot na łóżko, na stertę pieniędzy. - Boże. To znaczy, że goryle Juliana za nami jechali. Wiedzą, gdzie jesteśmy. I nie są daleko.

TLR

Bennett pierwszy przerwał milczenie, mając nadzieję, że znajdzie jaśniejszy punkt w całej sytuacji.

- Mogło być gorzej. Przynajmniej Poe nie wie, że to znaleźliśmy. Poza tym nie będzie niczego robił, dopóki mu nie powiemy, gdzie schowaliśmy walizeczkę. Inaczej zgarnęliby nas na szosie.

Anna nie wyglądała na przekonaną.

- Może po prostu czekają, aż się ściemni. Wtedy nas dopadną, zawiozą gdzieś w ustronne miejsce i... - Wzdrygnęła się. - To wredny sukinsyn, wierz mi. Może nas zmusić, żebyśmy mu powiedzieli.

Bennett pomyślał o kciuku Shimo przebijającym bambusowy pręt. Wziął nadajnik i zważył go na dłoni.

- A gdybyśmy go zniszczyli?

- To sygnał się urwie i wtedy po nas przyjdą. Będą wiedzieli, że go znaleźliśmy.

Podczas gdy wieczór przechodził niepostrzeżenie w noc, a cela pogrążała się w coraz głębszym mroku, harmonizującym z nastrojem jej mieszkańców, Anna i Bennett rozważali kolejne scenariusze działania, nie znajdując zbyt wielu elementów, które mogłyby im dodać otuchy. O ile nie mieli zamiaru oddalić się pieszo, z klasztoru można się było wydostać tylko w jeden sposób - drogą zbiegającą w dół do szosy. A tam, na dole, czekali na nich ludzie Juliana Poe.

- Słuchaj, właściwie to nie mamy pewności, czy tak jest - powiedział Bennett. - Mogliśmy ich zgubić. Jaki może być, twoim zdaniem, zasięg tego urządzenia?

- Nie jestem pewna. Może jakieś pół mili.

- Dobra. Więc żeby nas namierzać, musieliby czekać na szosie.



O ile za nami jechali, a tego właściwie nie wiemy. A więc musimy się upewnić. - Wstał i zmierzwił dłonią włosy Anny. - Zejdę na dół i rozejrzę się. Spakuj pieniądze do swojej torby. Wrócę za kilka minut.

- Bennett, uważaj na siebie.

Bennett włożył buty i przywołał na twarz uśmiech, który, jak miał nadzieję, w przekonujący sposób wyrażał pewność siebie.

- W skautowskich czasach ukończyłem zaawansowany kurs podchodów. Zdobylem nagrodę za skradanie się na palcach.

Stał pod murem klasztoru, wsłuchując się w noc, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Z głównego budynku za jego plecami dobiegł go śmiech ojca Gilberta, a potem stuk żelaznego rondla o kuchenną płytę. Przed nim kamienisty trakt rysował się niewyraźną smugą pomiędzy czarnymi jak atrament plamami krzewów i drzew. Lepiej trzymać się z dala od drogi. Jeśli ludzie Poego zdecydowaliby się skrócić dystans, to właśnie wtedy by nadjechali. Zaczął posuwać się wśród zarośli jak na zwolnionym filmie, wysuwając jedną stopę, przenosząc na nią ciężar ciała, zanim oderwał od ziemi drugą, z rękami wyciągniętymi przed siebie, niczym lękliwy i całkowicie przytomny lunatyk.

Minęło dziesięć minut, nim dotarł do miejsca, skąd widać było szosę. Czuł zapach rozgrzanego asfaltu i gumy. Nie widział ani nie słyszał niczego. Czekał, mając nadzieję, że nadjedzie jakiś samochód. Kolejnych dziesięć minut.

Nareszcie. Dwa żółte snopy światła na tle nieba i odgłos wyętej pracy silnika, z trudem pokonującego wzniesienie. Bennett przyklęknął, nie spuszczać wzroku ze zbliżającego się tunelu światła.

I wtedy zobaczył: krótki jak mgnienie błysk, kiedy reflektory nadjeżdżającego pojazdu wydobyły na ułamek sekundy z mroku przednią szybę samochodu, zaparkowanego na poboczu, na wpół ukrytego w kępach janowca, nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od niego. Zobaczył dosyć.

Anna usłyszała jego kroki i powitała go w drzwiach celi, zarzucając mu z ulgą rękę na szyję.

- Zaczynałam się obawiać, że wystawiłeś mnie do wiatru.

- Ktoś tam jest na dole, w samochodzie przy drodze. Nie mogliby nas nie zauważyć, gdybyśmy próbowali się wymknąć, nawet przy zgaszonych światłach. - Bennett spróbował zdobyć się na wesołość.

- Masz może ochotę na małą przechadzkę?

- Dokąd?

- Do Włoch. - Usiadł na łóżku, bawiąc się nadajnikiem. Anna nachyliła się i zabrała mu urządzenie.

- Nie moglibyśmy wykorzystać tego? Wiesz, jako przynęty. Bennett popatrzył na pudełeczko, po czym skinął powoli głową.

- Jasne. Damy je ojcu Gilbertowi i powiemy mu, żeby wyrywał, ile sił w nogach.

Oczy Anny się rozszerzyły, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Bennett - powiedziała, pociągając go za rękę, żeby wstał. - Czasem jesteś bystrzejszy, niż ci się wydaje. Chodźmy.

Ojciec Gilbert odstawił kieliszek.

- Upewnijmy się, czy was dobrze zrozumiałem, moi drodzy. Chcecie, żebym wziął tę pustą torbę i pojechał traktorem na przełaj przez pola...

- Równolegle do drogi - podkreśliła Anna. - To bardzo ważne. Ojciec Gilbert spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Może to i ważne, drogie dziecko, ale teren tu u nas nierówny i kamienisty, a po ciemku... cóż nasze traktory są stare i dosyć kruche. Bardzo bym nie chciał uszkodzić któregoś z nich, o co nietrudno pośród skał. Dzikie, dzikie skały. - Urwał, żeby dolać sobie wina.

- Nie dalej jak w zeszłym roku straciliśmy ważny element podwozia, a było to zaledwie kilka metrów od winnicy. - Tak przez ciekawość

- dodał z chytrym uśmieszkiem - czy ta nocna akcja, którą planujecie, ma coś wspólnego z tamtą sprawą trufli?

- No... tak - powiedział Bennett. - W pewnym sensie.

- W takim razie śmiał przypuszczać, że w grę wchodzi znaczna suma pieniędzy. - Stary mnich spojrział w zadumie na swój kieliszek. Kiedy podniósł wzrok, w jego oczkach płonęły pożądliwe iskierki. - Gdybyście widzieli możliwość wspomoczenia klasztoru...

Bennett podchwycił aluzję.

- Jak najbardziej. - Spojrział na Annę. - Z przyjemnością. Co ojciec by sugerował?

- Dwa nowe traktory?

- Jeden - rzuciła Anna.

- John Deere?

- Umowa stoi.

Kwadrans później, kiedy zwitek studolarowych banknotów został bezpiecznie ulokowany pod obłuzowaną płytą posadzki, na której stało jego łóżko, ojciec Gilbert wyruszył w drogę. Na podłodze traktora, pomiędzy jego stopami, spoczywała torba z nadajnikiem. Miał się posuwać, w miarę możliwości, równoległe do biegnącej w dół szosy, po czym, po jakichś dwóch lub trzech kilometrach, zostawić torbę pod krzakiem i wrócić do klasztoru.

Gdy Bennett zobaczył, że blade światło pojedynczego reflektora traktora dotarło do przeciwległego krańca winnicy, zaczął schodzić powoli w dół. Anna jechała jakieś pięćdziesiąt jardów za nim, z wygaszonymi światłami, niemal po omacku, orientując się według białej plamy jego koszuli.

Gerard zapiął rozporok i przeciągnął się, zanim usiadł z powrotem za kierownicą. Miał za sobą długi, upalny dzień i wyglądało na to, że czeka go równie długa noc, jedna z wielu, jakich należało się spodziewać. Jego współnik, z głową odrzuconą do tyłu i rozdziawionymi ustami, chrapał tak przeraźliwie, że byłby w stanie zagłuszyć każdy dźwięk z wyjątkiem syreny strażackiej. Gerard potrząsnął kolegę za ramię, budząc go z drzemki, po czym nachylił się nad odbiornikiem, nasłuchując. Czy mu się zdawało, czy sygnał zaczynał słabnąć? Podkręcił głośność i nadstawił ucha. Merde. Zdecydowanie był coraz słabszy. A więc nie mogli schodzić drogą w dół, a nie było dróg prowadzących w innych kierunkach, przynajmniej na mapie. Musieli pójść na przełaj, żeby wydostać się na szosę gdzieś dalej. W lewo czy w prawo? Zaraz się przekona. Włączył silnik i skierował się w prawo.

Z niewielkiego wzniesienia w połowie drogi Bennett widział, jak zapalają się reflektory samochodu, jak zaczynają się posuwać wzdłuż szosy, mijają zakręt i podążają dalej w kierunku, w którym oddalił się traktor ojca Gilberta. Ruszył biegiem do siedzącej w samochodzie Anny. Stoczyli się po pochyłości z wyłączonym silnikiem, nadal bez świateł, po czym odczekali, aż ostatni ślad poświaty zniknie z nieba.

Mieli przed sobą długą jazdę autostradą do Włoch i Bennett zaproponował, żeby się przespać parę godzin w Cavaillon, ale przecenił gorliwość prowincjonalnych hotelarzy, jeśli chodzi o udzielanie gościny spóźnionym przybyszom. Było po północy i Cavaillon nie przyjmowało gości. Kiedy, po licznych próbach, stało się jasne, że żaden z okolicznych hoteli nie daje znaku życia, uznali, że nie pozostaje im nic innego, jak spędzić noc na miejskim parkingu.

Anna ułożyła głowę na ramieniu Bennetta.

- Wiesz, jak rozpieszczą dziewczynę, prawda?

Bennett pogładził ją po włosach, uśmiechając się w ciemności. Jutro będzie inaczej.

Cavaillon jest miasteczkiem targowym, położonym u wylotu autostrady, kilka lokali było więc otwartych już o świcie, oferując poranny zastrzyk kofeiny kierowcom ciężarówek i śniadaniową szklaneczkę calvadosu ludziom pracującym przez całą noc na targowisku. Anna i Bennett wygramolili się z samochodu, rozprostowując zesztywniałe plecy w rześkim chłodzie poranka. Z parkingu widzieli kawiarnię, położoną niemal dokładnie naprzeciw posterunku żandarmerii, pełną ludzi pomimo wczesnej pory. Bennett znalazł stolik, podczas gdy Anna poszła eksperymentować z kawiarnianym systemem wodno-kanalizacyjnym, który czasem bywa nader skomplikowany.

Jeszcze kilka godzin, pomyślał, i wyjdziemy na prostą. Zastanawiał się, jak długo ludzie Juliana Poe będą warować przy pustej torbie leżącej pod krzakiem. Mieli szczęście, że Anna znalazła nadajnik, i jeszcze większe, że wiedziała, co to takiego. Wyglądało na to, że los wreszcie okazał się dla nich łaskawy.

Przy sąsiednim stoliku mężczyzna ostrzyżony najeża, o przedramionach niczym miniaturowe uda, przerzucał kartki porannego wydania „Le Provençal” w poszukiwaniu kolumny sportowej. Bennett rzucił od niechcienia okiem na pierwszą stronę, znajdującą się niewiele dalej niż metr od niego, spodziewając się typowej

dla pierwszych tygodni lata mieszanki doniesień o Tour de France, mistrzostwach gry w bule i lokalnych wydarzeniach politycznych. Zamiast tego, stwierdził, osłupiały, że patrzy na zdjęcie swojej własnej twarzy.

Anna też tam była, pod nagłówkiem wypisanym wielkimi, krzyczącymi literami: CZY KTOŚ WIDZIAŁ TĘ PARĘ?

Bennett odwrócił gwałtownie wzrok, pokonując chęć rzucenia się do ucieczki, zmuszając się do zachowania spokoju, modląc się, żeby mężczyzna przewrócił stronę. Włożył okulary przeciwsłoneczne i spuścił głowę. Gdzie, u licha, podziewa się Anna?

Anna wyszła właśnie z pomieszczenia w głębi sali i usiadła, kręcąc głową.

- Boże, wydawało mi się, że klasztorna łazienka to średniowiecze. Powinieneś zobaczyć tę tutaj. Nie do wiary. - Nagle uderzył ją wyraz twarzy Bennetta, zastygłej w pełnym napięcia grymasie. - Co się stało?

- Mów ciszej. Włóż okulary - wyszeptał, pochylając się w jej stronę. - Trafiliśmy na pierwsze strony gazet. Zmywamy się stąd.

Przystanęli na chwilę pod kawiarnią. Po drugiej stronie ulicy poranna zmiana meldowała się właśnie na posterunku żandarmerii. Odwracając głowy w przeciwną stronę, podążyli śpiesznie w kierunku parkingu. Bennett zostawił Annę w samochodzie, zmobilizował całą odwagę i wszedł szybko do bar-tabac, czując się, jakby miał na piersi trzydziestocentymetrowej wysokości napis „Poszukiwany”. Stojąca za ladą kobieta o burkliwym usposobieniu i zaczerwienionych oczach wzięła, nie patrząc na niego, pieniądze, które jej dał za gazetę, i wzruszyła ramionami, kiedy wyszedł, nie biorąc reszty.

Siedzieli w samochodzie i czytali artykuł. Po zapierającym dech wstępie: dwoje cudzoziemców poszukiwanych w związku ze śledztwem w sprawie sensacyjnej kradzieży, siły policyjne w stanie pełnej gotowości - następował dość wodnisty akapit na temat poziomu przestępczości w Prowansji oraz numer telefonu, pod który należało dzwonić. Każdy, kto miałby jakąkolwiek informację do przekazania, byłby połączony bezpośrednio z kapitanem Bonfilsem z Cannes, który kierował śledztwem. Tekst kończył się mglistą aluzją do niesprecyzowanej nagrody.

Dziennikarze wyjątkowo nie przekreśliли żadnych szczegółów. Wszystko się zgadzało: nazwiska, wiek, wzrost, kolor oczu i włosów, marka i kolor samochodu, numer rejestracyjny.

- Boże - zdumiała się Anna. - Skąd oni wzięli te wszystkie informacje?

- Z naszych paszportów i dowodu rejestracyjnego samochodu. Tuzzi musiał przekazać je policji. - Bennett patrzył ponad parkingiem. Cavaillon budziło się do życia. Przed narożnym warzywniakiem kobieta w fartuchu i rannych pantoflach układała swój towar w zgrabne, wielobarwne piramidy, po czym opuściła markizę, żeby zasłonić go od słońca. Policjant z drogówki ziewnął, sprawdzając pierwszy tego dnia parkomat. - Cóż - powiedział Bennett. - Nie możemy tu zostać. Autostrada jest pięć minut stąd. Masz ochotę zaryzykować?

- A mamy wybór?

Wyjechali z Cavaillon, przejechali przez most nad rzeką Durance i zaczęli zjeżdżać w kierunku autostrady. Bennett ujrzał kolejkę ciężarówek czekających na wjazd, a za nimi - tuż za nimi - coś, na widok czego zahamował gwałtownie, skręcając na lewo, na szyję na pobocze.

- Jasny piorun. Spójrz tam.

Przy wjeździe na autostradę było sześć rogatek, w których pobierano opłaty od kierowców. Naprzeciw każdej z nich stał w tej chwili żandarm, z założonymi rękami, zwrócony twarzą w stronę nadjeżdżających samochodów. Złowrogi, równy rząd sześciu postaci, w identycznych *kepis*, okularach przeciwsłonecznych i koszulach z krótkimi rękawami.

- Może to nie o nas im chodzi - rzekł Bennett. - Latem coś takiego to częsta sprawa. Ale za dużo tych zbiegów okoliczności. Nie możemy ryzykować.

Anna milczała, kiedy wykonał niedozwolony zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem w stronę Cavaillon. Po ich szukał. Tuzzi ich szukał. A teraz jeszcze na dodatek policja. Kolacja w Villa d'Este wydawała się w tej chwili bardzo odległa.



Moreau wytrząsnął starannie popiół ze swojego cogolina - fajki z drzewa różanego, którą córka podarowała mu na ostatnie urodziny i która miała odejść razem z nim na emeryturę. Ubijając w cybuchu świeżą porcję tytoniu, przejrzał raz jeszcze notatki, które zrobił podczas rozmowy z kapitanem Bonfilsem. Tak, pomyślał. To możliwe. To najzupełniej możliwe. Pamiętał, że czytał gdzieś, jak rząd usiłuje od lat uzyskać dokładnie to, o czym opowiedział mu Bonfils.

Zapalił fajkę i zapatrzył się w okno. Za brudnymi szybami jego gabinetu lśniło słońce, które, według danych departamentu turystyki, ogrzewało ulice i plaże Cannes przez trzysta dni w roku. Jak on nie cierpiał południa: krzykliwych barw, niedorzecznej roślinności, braku śniegu, ogorzałych, uśmiechniętych, kutych na cztery nogi południowców. Liczył miesiące do czasu, kiedy będzie mógł się przenieść do odziedziczonego po matce domu w Charente, gdzie zarówno klimat, jak i temperament mieszkańców odznaczały się większym umiarkowaniem i rozsądkiem. A odejść z honorami, po efektownej, zakończonej sukcesem akcji, to byłby dodatkowy plus.

Otworzył notes, przewracając strony zapisane drobnym, starannym pismem, dopóki nie odnalazł numeru Chevaliera, swojego starego przyjaciela, pochodzącego, jak i on, z Charente. Chevalier był funkcjonariuszem służby cywilnej, grubą rybą w ministerstwie rolnictwa, człowiekiem, o którym Moreau wiedział, że ma poważne koneksje na wysokich szczeblach.

Po zwyczajowych ubolewaniach, że tyle czasu upłynęło, odkąd się po raz ostatni widzieli, Moreau przystąpił do rzeczy.

- Mam powody przypuszczać - zaczął - że komuś udało się opracować metodę hodowli trufli. Powiedziano mi, że formuła została gruntownie przetestowana i że efekty były bardzo przekonujące. Teraz powiedz mi, czy - twoim zdaniem, zdaniem eksperta - taka rzecz jest możliwa?

Nastąpiła chwila namysłu, nim Chevalier udzielił wyważonej odpowiedzi rasowego polityka. Zawsze mówił oględnie, jakby istniało niebezpieczeństwo, że jego słowa zostaną zarejestrowane i wykorzystane jako materiał dowodowy.

- Zasadniczo nie ma powodu, dla którego takie odkrycie nie mogłoby zostać dokonane, chociaż muszę ci powiedzieć, że tu, w ministerstwie, patronowaliśmy w przeszłości wielu eksperymentom o podobnym charakterze. - Chevalier pozwolił sobie w tym miejscu na nietypową nutę szczerości. - Wszystkie, niestety, rozczarowały nas, jeśli chodzi o wyniki. - Urwał, żeby ochłonać po złożeniu tak ryzykownego oświadczenia. - To jednak nie wyklucza, że taka metoda mogłaby zostać opracowana, przez, nazwijmy to, niezależnego specjalistę, działającego bez upoważnienia władz. Oczywiście, gdyby do czegoś takiego doszło, bylibyśmy bardzo zainteresowani. - Kolejna pauza, tym razem dla podkreślenia wagi dalszych słów: - Gdyby ta formuła miała się okazać autentyczna, jest sprawą zasadniczej wagi, żeby trafiła we właściwe ręce.

Moreau nie miał trudności z rozszyfrowaniem tej aluzji.

- Na przykład w twoje.

Chevalier zachichotał.

- Zgadza się, mój drogi Moreau, zgadza się. Gdyby się okazało, że istnieje możliwość opanowania produkcji trufli, pojawiłoby się zainteresowanie na bardzo wysokim szczeblu. - Ostatnie słowa zostały wypowiedziane „dużymi literami”. - Jak ci wiadomo, nasz prezydent pochodzi z Correze. To niemal wiejski chłopak, można by rzec, pod warunkiem, że się tego nie mówi zbyt głośno. Myślę, że byłby uszczęśliwiony, gdyby eksploatacja jednego z naturalnych bogactw Francji znalazła się pod kontrolą państwa. Wawrzyn ozdobiłby niejedno czoło, Moreau. Twoje i moje przede wszystkim. Kiedy mógłbyś mi dostarczyć tę formułę?

Moreau przeszedł do wyjaśniania okoliczności sprawy. Chevalier przerywał mu od czasu do czasu, prosząc o uściślenie jakiejś kwestii albo o dodatkowe szczegóły. Moreau czuł, że przedstawiciel ministerstwa jest coraz bardziej podekscytowany — o tyle, o ile zawodowi politycy w ogóle pozwalają sobie na ekscytację. Na zakończenie Chevalier obiecał oddzwonić, kiedy wybada, jak się wyraził, „prezydencki grunt”.

Ku zaskoczeniu Moreau, nastąpiło to po niespełna godzinie. Prezydent był zaintrygowany. Więcej niż zaintrygowany, był zdecydowany nie dopuścić, aby ktokolwiek prócz matki Francji miał położyć łapę na owej tajnej agrarnej broni. Należało dołożyć wszelkich starań, relacjonował Chevalier, żeby odszukać i zatrzymać dwoje zbiegów i odzyskać formułę. Stawką mógł być los francuskiej gastronomii i

wszelkie dostępne środki, w tym, jeżeli zajdzie potrzeba, cały garnizon stacjonujący w bazie wojskowej w Draguignan, miały zostać oddane do dyspozycji Moreau.

Bonfils został wezwany do gabinetu szefa i poinstruowany o krokach, jakie należy poczynić. Więcej policji, fotografie i dyrektywy odnośnie do priorytetu sprawy na wszystkich posterunkach żandarmerii, kontrole na wszystkich głównych drogach, wzmożona czujność na całym terenie i awans dla tych, którzy zaaresztują zbiegów. Kiedy podnosił się z miejsca, żeby wyjść z gabinetu, jego szef dzwonił właśnie do bazy w Draguignan i kapitan słyszał, jak prosi, wysyłając serię krótkich sygnałów dymnych ze swojej fajki, o połączenie z dowódcą garnizonu.

Bonfils miał nie lada zgryz. Sprawa wymykała się z rąk, a już na pewno spod jego kontroli. Siedział za biurkiem, znącając się nad papierosami i odwlekając moment, kiedy będzie musiał zdać relację Polluce'owi. Wojsko, niech to szlag trafi. Wszystkie siły policyjne, jakie dało się zmobilizować na całym południu. Helikoptery, blokady dróg, stan najwyższego pogotowia. Takiego polowania nie było na wybrzeżu od czasów, kiedy legendarny kasiarz Spaggiari wyskoczył z okna gabinetu sędziego prosto na czekający w dole motocykl i uciekł z Nicei. I nie złapali go, pomyślał z nutą wysoce nieprofesjonalnego podziwu, podnosząc słuchawkę telefonu.

Polluce był daleki od zrozumienia. Jego głos, który nigdy nie grzeszył zbytnim ciepłem, tym razem był lodowaty.

- Liczę na pana, Bonfils. Moi koledzy również. Muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Jak tylko pan będzie o tym wiedział. Niezwłocznie, czy to jasne?

*Merde.* Co miał teraz zrobić, u diabła? Jakikolwiek obrót sprawy przybiorą, i tak dostanie po głowie, albo od Polluce'a, albo od Moreau. Wpadł jak śliwka w kompot. Przystępując do wykonania poleceń, nie mógł się oprzeć cichej nadziei, że ten zafajdany Anglik, razem ze swoją zafajdaną dziewczyną i całą ichnią zafajdaną formułą, znajduje się w tej chwili daleko poza granicami Francji.

Odludna kraina, rozciągająca się wokół małej wioszczyny o nazwie Boux, leżącej na północ od Bonnieux, słynie z rozległej panoramy, urody swoich tajemniczych dolin, oraz dziesiątków, a może setek opuszczonych kamiennych chat i szłasów, które służyły pasterzom kóz i rolnikom uprawiającym górskie poletka przed nastaniem ery mechanizacji rolnictwa. Z wielu z nich pozostały dzisiaj jedynie ściany (budynek z dachem podlega opodatkowaniu) albo sterty kamieni, przypomi-

nające kształtem pszczeli ul. Było zaawansowane przedpołudnie, kiedy Anna i Bennett znaleźli wreszcie to, czego szukali.

Zarośnięta, wznosząca się coraz wyżej droga zaprowadziła ich do niewielkiej polany, gdzie przed wiekami postawiono niską kamienną szopę, powiększono ją, uszczelniono, aby w końcu porzucić na pastwę żywiołów. Dach był w połowie zapadnięty, ściany wybrzuszyły się ze starości, trzymając się miejscami tylko dzięki porastającym je kolczastym pędom jeżyn. Ale w jednym końcu było miejsce na ukrycie samochodu, był cień i krzepiąca odległość kilku mil, dzielących ich od najbliższego posterunku żandarmerii.

Od chwili kiedy zobaczyli blokadę na autostradzie, Bennett łamał sobie głowę nad sposobem ucieczki, który nie byłby uzależniony od samochodu i nie narażał ich na kontrole na lotniskach czy dworcach kolejowych. Wcześniej dowcipkował na temat pieszej wędrówki do Włoch. Teraz należało rozważyć taką ewentualność. Jak by to było: omijać wioski, trzymając się z dala od głównych dróg, zapadać w chaszczki, przemykać się ukradkiem, spać pod gołym niebem? Sam marsz też nie byłby sprawą łatwą. Dobrze będzie, jeśli uda im się robić dwadzieścia mil dziennie. Boże, to by trwało całe tygodnie. Wpatrywał się w mapę, kiedy poczuł, że palce Anny rozmasowują jego zeszywniały pod wpływem napięcia kark.

- Wiesz co? Nie powiedziałeś ani słowa od dziesięciu minut.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Wiem, że to do mnie niepodobne. Ale jesteśmy w lekkich opałach.

Anna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma, w których malowała się powaga.

- Bennett, wiem, że to nie najlepszy moment, żeby poruszać tę sprawę. - Pochyliła się i ucałowała jego chmurne czoło. - Ale umieram z głodu.

Kiedy jedli po raz ostatni? Bennett nie mógł sobie przypomnieć, ale zdał sobie nagle sprawę z pustki w swoim żołądku.

- Masz rację - przytaknął. - Musimy się zaopatrzyć. - Perspektywa działania, jakkolwiek trywialne by ono było, dodała mu otuchy. - Chodź - powiedział. - Przejedziemy się do Apt. Nie zapomnij swoich sztucznych wąsów.

Podeszli do samochodu. Bennett przykucnął, nabrał garść ziemi, splunął i posmarował błotnistą mazią obie tablice rejestracyjne, aby złamać nieco jaskrawą biel

liter i cyfr. Kiedy wsiadał do środka, jego wzrok padł na torbę leżącą na tylnym siedzeniu, torbę zawierającą milion dolarów. Sięgnął po nią, zaniósł do szopy i ukrył w ciemnym kącie pod stertą gruzu - wszystko to pod pytającym spojrzeniem Anny.

Wrócił, wycierając dłonie z kurzu, pajęczyn i błota.

- Nie chcę wozić jej ze sobą po Apt, tu jest bezpieczniejsza niż w samochodzie. Wiesz - oznajmił, włączając silnik - że latem w Vaucluse co pięć minut ktoś kradnie samochód? Złodzieje nie mogą się doczekać września, kiedy będą mogli trochę odsapnąć.

Jego nastrój zmienił się radykalnie. We właściwym momencie pojawił się rozwiązanie, tak jak pojawiała się zawsze w ciągu ostatnich kilku dni. Czuł się lżejszy, uskrzydłony nadzieją, czuł, że fortuna mu sprzyja. Położył dłoń na udzie Anny i ścisnął je delikatnie.

- Dobra, przyjmuję zamówienia na śniadanie, obiad i kolację. Co sobie życzysz?

- Rogaliki - powiedziała Anna. - Dwie kanapki z szynką, pizzę, kawałek tego tłustego pieczonego kurczaka, które tu robią, frytki, ser, butelkę czerwonego wina...

- Kielbasek nie?

- To sobie zostawię na obiad.

Przejechali szosę D 232 i zjechali krętym, opadającym w dół szlakiem, który doprowadził ich do południowych peryferii Apt. Tłoczno tu było od samochodów oraz tak ukochanych przez francuskich nastolatków motocykli o niskiej mocy, ale maksymalnym poziomie decybeli. Po krótkich przepychankach Bennett wygrał potyczkę o miejsce do parkowania z rumianą parą, siedzącą w angielskim samochodzie. Słyszał ich oburzone gdakanie, kiedy przejeżdżał tuż przed ich nosem.

- Typowe! zapięła kobieta głosem jak gniewna trąbka.

- Typowe! Myśmy je pierwsi zobaczyli, a ten zabojad wciska się przed nami.

Bennett skinął jej głową i uśmiechnął się do niej, wyłączając silnik. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny *entente cordiale*.

Za radą Anny zatrzymali się najpierw przy małym sklepiku za placem targowym, oferującym szeroki wybór espadryli, koszyków, taniej i prawie autentycznej



prowansalskiej ceramiki, produkowanej na Tajwanie, korkociągów z fikuśnymi rączkami z drzewa oliwnego oraz kapeluszy. Anna miała teorię, że kapelusze stwarzają przynajmniej częściowy efekt maskujący, odwracając uwagę od dwu twarzy, wyeksponowanych w tak spektakularny sposób na pierwszych stronach gazet. Wybrała dla siebie słomkową wersję fedory, a Bennett - płaską płócienną czapkę, jaką nosił we Francji niemal każdy leciwy adept gry w bule. Naciągając swoje nowe nabytki na oczy osłonięte ciemnymi okularami, ruszyli na poszukiwanie żywności, trzymając się za ręce - młoda para, spędzająca miło czas na wakacjach.

Targowisko w Apt ciągnie się, rozgałęziając się na liczne odnogi, z jednej strony miasteczka na drugą, wylewając się na małe placiki, wciskając w wąskie uliczki, oferując na sprzedaż wszystko, od widokówek i pamiątek po kosiarki do trawy i pułapki na osy. No i żywność: na straganach, na blatach ustawionych na kozłach, w maleńkich, pełnych aromatycznych woni sklepikach. Anna nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Były tam kozie sery: wilgotne, delikatne i mlecznobiałe, albo twarde i bladożółte po miesiącach marynowania w zalewie z oliwy. Był świeży tuńczyk wielkości młodego chłopca, z którego na życzenie odcinano grube, krwawe płaty. Był chleb - o konsystencji gładkiej lub chrupkiej, wielkie, krągłe bochny i małe, cieniutkie bagietki, praśne, słodkie lub pikantne, pieczone z oliwkami, rozmarynem, serem lub skwarkami. Były tęczowe galerie owoców i warzyw. Byli rzeźnicy specjalizujący się w krowach, świniach albo koniach. I, przechadzający się w popołudniowym słońcu pośród tej cieszącej oko obfitości, czujni policjanci z marsem na czole.

Bennett zauważył, że siły miejscowej żandarmerii zostały wzmocnione ludźmi z CRS\*<sup>21</sup>, jednostek zarezerwowanych normalnie do tłumienia rozruchów albo do akcji antyterrorystycznych - facetami o twardych obliczach, w wysokich butach na miękkich podszewkach, z karabinkami z czarnej, matowej stali. Zauważył też coś, na widok czego stanął jak wryty, po czym wciągnął Annę do najbliższej kawiarni.

- Idiota ze mnie - powiedział. - Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć. - Jego palce wybijały entuzjastyczny rytm na blacie stołu, kiedy wyglądał przez okno kawiarni. - Tam, po drugiej stronie ulicy. Widzisz ten autobus? Jedzie do Hiszpanii. Latem kursuje regularnie na tej trasie.

Patrzyli, jak autokar rusza z przystanku.

---

<sup>21</sup> \*Les Compagnies Republicaines de Securite.



- Następny postój w Barcelonie. Nie potrzeba paszportów. Znam kogoś, kto kiedyś z tego skorzystał. Ubikacja przestała funkcjonować za Perpignan, ale mówił, że poza tym było w porządku.

Anna spojrzała na uśmiechniętą entuzjastycznie twarz pod niebieską czapką: mały chłopiec z dwudniowym zarostem.

- Zapakuję swoje kastaniety - oświadczyła, odwzajemniając jego uśmiech.

Bennett poszedł do biura podróży, pozostawiając Annie złożenie zamówienia. Dziwnie było pomyśleć, że tydzień wcześniej w ogóle go nie znała. Teraz wydawało jej się, że są jak papużki nierozłączki. Zamówiła u kelnera rogaliki i kawę i zapatrzyła się w tłum przelewający się leniwie za oknami. Nic tutaj nie tętniło, cokolwiek twierdziły w tej sprawie przewodniki dla turystów. Próbowwała wyobrazić sobie Bennetta w Nowym Jorku, w jej małym mieszkanku przy Wooster Street. Czy byłby cywilizowanym lokatorem? Przypuszczalnie niezbyt. Z tego, co zdążyła zaobserwować, była to jedna wielka katastrofa. Czy miało to jakieś znaczenie? Najmniejszego.

Bennett wrócił po dziesięciu minutach, w nieco gorszym nastroju, niż kiedy wychodził. Tego dnia nie było więcej kursów, w niedzielę również. Poniedziałek, poświęcony jakiemuś szczególnie poważanemu świętemu, był wolny od pracy, więc w tym dniu również żaden autobus nie odchodził - ani z Apt, ani z Awinionu, ani z Cavaillon. Nie pozostało im nic innego jak przeczekać w ich ustronnej ruinie do wtorku. Sporządzili listę zakupów na odwrocie podkładki pod piwo i poszli dołączyć do reszty świata, czyli na targ.

Bennett wspinał się za Anną stromą uliczką, prowadzącą do placyku, na którym zostawili swój samochód, dźwigając w objęciach niebieskie plastikowe torby, a w nich wystarczający zapas żywności i wina na długi, trzydniowy piknik. Odczuwał lekki zawód, spowodowany opóźnieniem, ale nic więcej. Przynajmniej przez jakiś czas nie będą musieli uciekać. Obserwując wypukłość pośladków Anny pod cienką powłoką opinających je džinsów, pomyślał o rzece płynącej w dolinie poniżej Boux. Kiedy się ściemni, będą mogli pójść się wykapać, zabrać koc z samochodu i butelkę wina, leżeć nago pod gwiazdami... Tak, pomyślał, weekend na łonie natury ma swoje uroki. Nucąc pod nosem, przyśpieszył kroku, żeby się zrównać z Anną.

Umieścili torby z zakupami na dachu samochodu. Bennett uśmiechnął się do dziewczyny, szperając w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków od samochodu.

- Znów to robisz - rzuciła karcącym tonem.

- Co takiego?

- Uśmiechasz się obleśnie.

' Bennett zsunął z nosa ciemne okulary i puścił do niej oko.

- Zainspirowany twoim spektakularnym derriere - wyjaśnił. - Planowałem kąpiel przy świetle księżyca, nago, jak nas pan Bóg stworzył, a potem piknik o północy. Chyba że masz inne plany.

Nim Anna zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się boczne, przesuwane drzwi nie-  
rzucającej się w oczy, pozbawionej jakichkolwiek napisów furgonetki, zaparkowa-  
nej obok ich samochodu. Obejrzel się i stwierdzili, że patrzą na czterech żandar-  
mów.

- Okulary i kapelusze. Zdjąć. - Żandarmi, ogorzali w swoich niebieskich, letnich uniformach, ustawili się luźnym półkolem naprzeciw samochodowi. Lśniące, lustrzane okulary przeciwsłoneczne, jakie nosili zazwyczaj policjanci z patroli motocyklowych, nieprzeniknione i groźne, połyskiwały pod daszkami czapek.

Podczas gdy Anna i Bennett stali z gołymi głowami, mrugając oczyma w słonecznym blasku, jeden z żandarmów wyjął z kieszeni koszuli kartkę papieru, rozłożył ją, porównał twarze z fotografią i chrząknął potakująco.

- Bon. Nie ma wątpliwości. Sprawdźcie, czy są czyści.

Badawcze, podejrzliwe dłonie, poruszające się wolno i metodycznie, obszukały ich, nie znajdując nic bardziej niebezpiecznego niż kluczyki od samochodu Bennetta. Dowódca wskazał bezceremonialnym ruchem głowy furgonetkę.

- Wsiadać. - Odwrócił się do najmłodszego żandarma. - Des- fosses, pojedziesz za nami ich samochodem.

Była to specjalna furgonetka, używana do sobotnich nocnych patroli, z przegrodą z grubej siatki, oddzielającą przednią część od pasażerów. Z tyłu nie było miejsc siedzących. Na wysokości głowy biegła przez środek żelazna sztaba, do której można było przykuć każdego, kto zostałby uznany za niebezpiecznego lub sprawiałby kłopoty. Kiedy kierowca ruszył, Anna zachwiała się i chwyciła Bennetta za ramię, żeby nie upaść. Popatrzyli na siebie szklanymi oczyma, w których malował się szok. Wszystko stało się tak nagle. Poprzez piski i trzaski słyszeli rozmowę kierowcy z komendą.

- Anglik i dziewczyna, właśnie ich zgarnęliśmy. Żadnych problemów. Szykujcie ordery. Powiedzcie kapitanowi. Będziemy za dziesięć minut.

Furgonetka nabrała szybkości, kiedy wyjechali z Apt i wjechali na szosę N 100, kierując się na zachód. Trzej żandarmi, siedzący z przodu, zapalili papierosy i zaczęli się spierać na temat szans Marsylii w następnym sezonie rozgrywek piłkar-

skich. Anna i Bennett mogli być dwoma workami kartofli w tyle samochodu, niebudzący- mi niczyjzego zainteresowania tobołkami, które należało dostarczyć na miejsce.

- Co im mamy powiedzieć?

Bennett pokręcił głową.

- Chciałbym to wiedzieć. Chyba najmniej jak się da. Utrzymywać, że nic nie wiemy. Domagać się widzenia z konsulem brytyjskim. Nie wiem.

- A może by tak powiedzieć prawdę? - Anna zastanawiała się przez chwilę. - Po prostu odzyskaliśmy skradzioną własność i zwróciliśmy właścicielowi, to wszystko.

- Zwróciliśmy?

- No, coś w tym rodzaju.

: Resztę drogi spędzili w pełnym przygnębienia milczeniu. Zbliżanie się do miejsca przeznaczenia nie dodawało im otuchy. Posterunek żandarmerii w Les Beaumettes, pomimo barwnych skrzynek z kwiatami, zdobiących okna, działał na Bennetta tak samo, jak wszystkie oficjalne instytucje. Wzbudzał w nim poczucie winy. Tym razem niebezpiepodstawnie.

Zabrano ich do pozbawionego okien pomieszczenia na tyłach budynku, gdzie mieli potwierdzić, że ich nazwiska to Hersh, Anna, Amerykanka, i Bennett, Luciano, Anglik. Zanotowano ich jednosy- labowe odpowiedzi, po czym zamknięto ich i zostawiono samym sobie. Minęła godzina oczekiwania i niepewności.

Dla kapitana kierującego posterunkiem żandarmerii była to godzina triumfu, godzina upajania się sukcesem. Moreau z Cannes nie szczędził wyrazów uznania, chwalać sumienność i czujność ludzi z Les Beaumettes. Kapitan przyjął te komplementy z całą skromnością, na jaką był się w stanie zdobyć. Po części jest to zawsze szczęśliwy traf, jak zauważył, ale pozwolił sobie dodać, że dobrze wyszkolił swoich chłopców: sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać. Nic nie zastąpił zmudnej, rutynowej policyjnej roboty. Dowiódł tego młodzieńcy Desfosses, jeszcze niemal z mlekiem pod nosem. Po sprawdzeniu tablic rejestracyjnych wszystkich peugeotów 205, jakie udało mu się znaleźć - chyba ponad trzydziestu - trafił wreszcie w dziesiątkę.

Co najważniejsze, z punktu widzenia kapitana, w drodze był już helikopter, który miał zabrać dwoje podejrzanych do Cannes i uwolnić go od dalszej odpowiedzialności. Odpowiedzialność to bardzo niewygodna rzecz, zwłaszcza gdy cudzoziemcy są zamieszani w coś, co wygląda na poważną sprawę. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Kapitan spojrzął na zegarek, zadowolony, że dał cynk chłopcom z Cavaillon. Fotograf i reporter powinni już być na miejscu, gotowi uwiecznić dramatyczny moment w dziejach walki z przestępczością.

Kapitan zdawał sobie doskonale sprawę, jak dobroczynny wpływ na karierę oficera policji może mieć rozgłos medialny, a ten materiał trafiłby niewątpliwie na pierwszą stronę. Szkoda, że było za późno na niedzielne wydanie. Podeszedł do niewielkiego lustra, wiszącego na drzwiach gabinetu. Czy powinien włożyć kurtkę od munduru? Lepiej nie. Niech go zobaczą jako policjanta przy pracy, nieprzywiązanego wagi do wyglądu zewnętrznego. Musnął wąsiki i wyszedł na zewnątrz, aby wesprzeć swoim autorytetem kontrolowany chaos, w jakim zaczynała się pograżać szosa N 100.

Problem polegał na tym, żeby znaleźć miejsce, gdzie helikopter mógłby wylądować. Wzgórze za posterunkiem nie wchodziło w grę, winnica po przeciwnej stronie drogi była święta i nietykalna. Tak więc postanowiono wstrzymać ruch w obu kierunkach, aby helikopter mógł usiąść na szosie, w odległości dwudziestu jardów od budynku. Jako że droga N 100 była ważną magistralą, a sobota dniem targowym, efekt blokady okazał się, jak to odnotował z aprobatą kapitan, imponujący.

Kolejka samochodów, ciężarówek i przyczep kempingowych ciągnęła się w obu kierunkach pod pulsującą chmurą spalin. Kilku kierowców wysiadło z samochodów i podeszło do prowizorycznych zasieków z pomarańczowych słupków, w nadziei że zobaczą pozostałości efektownego wypadku. Zawiedzeni brakiem śladów krwi i szczątków pojazdów na asfalcie, zaczęli się domagać informacji od żandarmów, którzy milczeli, czerpiąc z tego niemałą satysfakcję. Temperatura rosła, gesty stawały się coraz bardziej ożywione. Podniesione głosy i pięści z jednej strony, obojętne wzruszenia ramion z drugiej.

Wszystko to zostało utrwalone przez reportera i fotografa, którzy ulokowali się zgodnie ze wskazówkami kapitana na dachu budynku, aby móc lepiej podziwiać panoramiczny widok gigantycznego korka, ciągnącego się w dal, jak okiem sięgnąć. I właśnie wtedy, w samą porę, z warkotem śmigła nadleciał od wschodu helikopter.

Zawisł w powietrzu, opuścił się i usiadł tak ostrożnie, jakby sprawdzał temperaturę asfaltu. Dając skinieniem głowy znak fotografowi (byłoby tragiczne, gdyby przegapił ten moment), kapitan wydał dyspozycje, żeby wyprowadzić podejrzanych. Idąc osobiście na czele eskorty, posłał po drodze w obiektyw długie, twarde spojrzenie nieprzejednanego wroga przestępczości.

Anna i Bennett czuli się, jakby trafili przez przypadek do strefy objętej działaniami wojennymi. Otoczeni przez uzbrojonych, umundurowanych mężczyzn, podszli do przysadzistego wojskowego helikoptera nijakiej, oliwkowej barwy, której jednolity mat robił jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie w blasku słońca. W środku inni uzbrojeni i umundurowani mężczyźni zaprowadzili ich do dwóch znajdujących się z tyłu foteli o żelaznych poręczach i przypięli ich pasami do siedzeń. Helikopter uniósł się w powietrze i zawrócił na wschód. W dole widzieli malejące figurki żandarmów, usuwających z szosy przenośne słupki i wznawiających ruch pojazdów. Nikt się do nich nie odezwał. Sami też prawie się do siebie nie odzywali. Nie było zbyt wiele do powiedzenia.

Pierwsza strona sobotniego wydania „Le Provençal” wzbudziła większe niż zazwyczaj zainteresowanie niektórych czytelników z Vaucluse. Cała wioska St-Martin gubiła się w domysłach na temat poczynań swojego brytyjskiego mieszkańca. Starzy wieśniacy, rezydujący przy stoliku w głębi kawiarni, zrobili zrzutkę i po raz pierwszy, odkąd Leon sięgał pamięcią, zapłacili za gazetę. Skupili się wokół niej niczym muchy wokół padliny, kręcąc głowami i posysając to, co pozostało z ich zębów. Cudzoziemcy. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Wszystkiego się po nich można spodziewać. Co on takiego ukradł, ten Bennett?

Papin z okienka na poczcie, jednoosobowa agencja wywiadowcza, miał własne teorie, którymi dzielił się nader chętnie ze swoją klientelą, równie chętnie nadstawiającą ucha. Narkotyki, twierdził z przekonaniem płynącym z całkowitej niewiedzy. Spokojny gość, ten Anglik, ale pozory jakże często mylą. Cicha woda brzegi rwie. Beh, oui. To ponad wszelką wątpliwość afera narkotykowa. Prozaiczne włamanie, sprawa powszednia na wybrzeżu, w tym gnieździe zepsucia, w tej wylegarni wszelkiej niegodziwości, nigdy by nie trafiło na pierwszą stronę.

Georgette, rzecz jasna, ze względu na uprzywilejowaną pozycję, jaką dawała jej bliska zażyłość ze zbiegiem, była uważana za osobę wiedzącą więcej niż inni, co nie było pozbawione podstaw. Była pewna, że walizeczka spoczywająca pod żwirem w jej piwnicy to właśnie ów skradziony przedmiot. Zamknawszy okiennice i



zaryglowawszy drzwi przed niewyczerpaną ciekawością sąsiadów (czemu nie pilnują swoich spraw?), wydobyla walizeczkę i spędziła pół godziny na nerwowych próbach rozszyfrowania kombinacji, która ujawniłaby tajemnicę. Była przekonana, że jej Anglik, jej mały milord, nie popełnił nic poważniejszego niż drobne wykroczenie - to nie leżało w jego naturze. A jednak... nie ma dymu bez ognia. Potrząsnęła walizeczką w poczuciu bezsilności, mając nadzieję, że usłyszy coś, co ją naprowadzi na właściwy trop - pobrękiwanie monet, grzechot przesypującej się biżuterii - ale zawartość, jakakolwiek była, zbyt szczelnie wypełniała pojemnik. Georgette uklękła na podłodze i umieściła z powrotem powierzony jej depozyt w płytkim zagłębieniu, które zrobiła w warstwie żwiru, po czym wygładziła jego powierzchnię. Spróbuje jeszcze raz później, kiedy będzie mniej narażona na wścibstwo ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty niż wtykać nos w nie swoje sprawy.

Julian Poe, który gustował raczej w gazetach typu „Wall Street Journal” niż w „Le Provençal”, przeczytał notatkę na temat Anny i Bennetta z wielkim zainteresowaniem, ale bez specjalnego zaniepokojenia. W końcu wiedział, gdzie są. W Haute-Provence, pod ścisłą obserwacją, zapędzeni w ślepy zaułek. Gerard dzwonił niedawno, donosząc, że sygnał wciąż dochodzi z nadajnika, miarowy niczym bicie serca. Mimo wszystko to czekanie stawało się męczące. Jeśli nie wykonają jakiegoś ruchu przed zapadnięciem zmroku, każe Gerardowi ich zgarnąć i przywieźć do siebie. Z zasady unikał przemocy, uważając ją za prymitywną ostateczność. Ale jego cierpliwość miała swoje granice i doszedł do wniosku, że Bennett powinien spędzić parę godzin z Shimo, człowiekiem obdarzonym wielką zdolnością przekonywania, zwłaszcza kiedy się do tego przyłoży. Jutro o tej porze walizeczka i pieniądze znajdą się z powrotem na swoim miejscu. W poczuciu satysfakcji, jakie daje gładkie rozwiązanie problemu, Poe zwrócił się myślą w stronę Tuzziego i zaczął obmyślać zemstę. Ten włoski kmiotek powinien dostać solidną nauczkę.

Na lotnisku w Mandelieu czekały na helikopter dwa policyjne wozy. Jazda do Cannes nie zajęła im wiele czasu, jako że ryk policyjnego klaksonu skutecznie torował im drogę wśród innych pojazdów. Anna i Bennett, wciąż oszołomieni swoją błyskawiczną przemianą w oficjalnie zatrzymanych przestępców, skonsternowani środkami bezpieczeństwa, bardziej stosownymi wobec terrorystów niż wobec dwojga złodziei amatorów, dodawali sobie otuchy, trzymając się za ręce na tylnym siedzeniu samochodu. Ich emocje znajdowały się w stanie głębokiej hibernacji. Mogliby jechać na swoją własną egzekucję.

Zaprowadzono ich do pomieszczenia, zwanego eufemistycznie „repcją” głównej komendy policji w Cannes: nieprzyjaznego, bezdusznego, z zapaszką grozy unoszącym się w powietrzu. Opróżniono im kieszenie, zdjęto odciski palców, poddano procedurze ewidencjonowania niczym dwa znaleziska, które należało „przyjąć na stan”. Sierżant dyżurny sięgnął do tablicy informacyjnej, na której były wywieszane ich fotografie, zerwał papier i wrzucił do kosza. Jeszcze jedno polowanie zakończone, jeszcze jedna sprawa rozwiązana.

Kapitan Bonfils, po cywilnemu, w dżinsach i rozpiętej pod szyją koszuli bez krawata, wyszedł ze swojego gabinetu w głębi budynku i stał, przyglądając się im z chmurnym wyrazem twarzy. Jeśli tych dwoje kretynów musiało dać się złapać, czy nie mogli, u diabła, zrobić tego w dzień powszedni? Musieli zepsuć mu weekend? Machnął niecierpliwie ręką, każąc im iść za sobą, po czym poprowadził ich korytarem do gabinetu swojego szefa.

Moreau uważał się, nie bez racji, za człowieka obdarzonego umiejętnością skutecznej indagacji. Swoją technikę wypracował w ciągu wielu lat, podczas tysięcy godzin spędzonych na wyciskaniu informacji z przestępców, odsiewaniu kłamstwa od półprawdy, wyciąganiu na zwierzenia. Udoskonalił rytm zadawania pytań, wyostrzył zmysł obserwacji. Odruchowe zaciśnięcie dłoni, nagle mrugnięcie oka, bezwiedne poruszenie się na krześle - wszystko to mówiło mu równie wiele jak słowa. Często myślał o przesłuchaniu jako o partii szachów: serii ruchów, prowadzących stopniowo, często nie bezpośrednio, ale nieubłaganie do pozycji, z której nie ma ucieczki. Szach i mat. Lubił wyczekać na właściwy moment: coś, czego Bonfils, jak się wydawało, nie potrafił się nauczyć. Ale Bonfils, siedzący teraz z boku z notesem na kolanie, był typem krzykacza szafującego groźbami, człowiekiem, który miał agresję wypisaną na twarzy.

Moreau przyglądał się uważnie siedzącej przed nim parze. Oboje przystojni, pomyślał, ale zestresowani, na co wskazywało napięcie w okolicy ust i oczu. To wyglądało obiecująco. Moreau wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się.

- I co, panie Bennett, już pan nie jeździ rolls-royce'em?

Bennett nie wiedział, czego ma się spodziewać, ale z pewnością nie tego.

- Rolls-royce'em? - W ustach czuł suchość, jego głos zabrzmiał słabo, obronnie. - Jakim rolls-royce'em?

Moreau wskazał końcem fajki przedmioty ułożone na jego biurku: paszporty, pieniądze, karty kredytowe oraz kluczyki od samochodu Bennetta, przymocowane do wysłużonej skórzanej dewizki z emaliowanym, ozdobnym emblematem RR.

- Ach, to. To prezent. Dostałem od kogoś wiele lat temu w Londynie.

Moreau zwrócił się do Anny, przybierając współczujący wyraz twarzy.

- Moje kondolencje, panno Hersh. Zdaje się, że stan pani matki nie jest najlepszy.

Anna świetnie wyczuwała jego intencje. Powinna była doznać wstrząsu, poczuć, że traci grunt pod nogami.

- Skąd pan wie?

- Mamy telefony. Mam bardzo uczynnych kolegów w Nowym Jorku. Informacja to w dzisiejszych czasach rzecz bardzo łatwa do uzyskania. Świat się skurczył. Coś takiego jak prywatność już prawie nie istnieje. To straszne. Prawda, Bonfils? - Mistrz zerknął spod oka na ucznia.

Zamknij się i rób swoje, ty stary, nadęty bałwanie.

- Zgadza się, szefie, to straszne.

Niespodziewanie Moreau skierował całą uwagę na swoją fajkę, wyskrobując komorę narzędziem przypominającym wąską łyżeczkę, wystukując zwęglone resztki do popielniczki, przedmuchiując delikatnie ustnik. Oprócz niegłośnych dźwięków, towarzyszących tym operacjom, w pomieszczeniu panowała kompletna cisza. Bonfils łypał złowrogo ze swojego kąta. Anna i Bennett zamieniali pytające spojrzenia. Czy po to przywieziono ich na syrenie do Cannes, żeby mogli popatrzeć, jak inspektor policji robi przegląd techniczny swojej fajki? Bennett odchrząknął. Moreau nie zwrócił na niego uwagi i zaczął nakładać świeżą porcję tytoniu z pomarszczonego kapciu-cha ze sztucznej skóry.

W końcu Bennett nie mógł dłużej znieść milczenia.

- Mógłby pan nam powiedzieć, dlaczego zostaliśmy aresztowani? Co takiego zrobiliśmy?

Moreau podniósł wzrok z wyrazem lekkiego zaskoczenia, jak gdyby zapomniał, że tu są.

- Może pan mi to powie?

Po chwili namysłu Bennett udzielił nieszkodliwej, jak mu się wydawało, odpowiedzi. ,

- No więc zostaliśmy poproszeni o zabranie ze statku pewnej walizeczki.

- Przez kogo poproszeni?

- Przez dawnego znajomka panny Hersh. Właściwie to było zlecenie. Mieliśmy otrzymać zapłatę.

- Od dawnego znajomka?

- Zgadza się.

- A któż to taki, ten znajomek?

- Człowiek nazwiskiem Poe. Julian Poe.

- Ach tak. - Moreau znów zajął się fajką, zużywając trzy zapalki, nim uznał, że tytoń pali się równo i prawidłowo. - A w tej walizeczce, która się znajdowała na statku i za której dostarczenie pan Poe miał wam zapłacić, co takiego się znajdowało?

Bennett zawahał się chwilę przed pierwszym kłamstwem.

- Była zamknięta. Nie wiem.

- Nie wie pan? - Moreau wziął do ręki dwa paszporty. - Zostawiliście to na statku - powiedział, wkładając je do szuflady swojego biurka. - To duża nieostrożność z waszej strony. Czyżbyście opuścili pokład niespodziewanie? W pośpiechu? - Wyjął z kieszeni pęk kluczy i zamknął paszporty w szufladzie.

- Musieliśmy o nich zapomnieć. - Drugie kłamstwo.

- Rozumiem. O której godzinie opuściliście statek? Plus minua

- No, nie wiem. W jakiś czas po kolacji.

- Z walizeczką?

- Tak.

- Hm, to by było... ile? Dwa dni temu? Trzy?

Bennett naprawdę nie pamiętał.

- Coś koło tego, tak.

- I potem, oczywiście, dostarczyliście walizeczkę panu Poe, a on wam zapłacił?

- No, właściwie to nie mieliśmy okazji...

- Bennett - przerwała mu Anna, kręcąc głową. - Daj spokój. To bez sensu.

Moreau przyjrzał się jej zza chmury dymu i skinął głową z aprobatą.

- Cóż za rozsądna młoda kobieta z pani, panno Hersh. Tak więc, panie Bennett, zaczniemy od początku. Przedtem podam panu kilka informacji, które powinien pan uwzględnić w swoich zeznaniach. - Wyjął z ust fajkę i wycelował cybuch w Bennetta. - Po pierwsze: walizeczka zawiera formułę umożliwiającą hodowlę trufli, o czym, jak jestem przekonany, wiecie. Po drugie: wyście tę walizeczkę ukradli.

- Ale ona już przedtem została...

Moreau uciszył go, unosząc dłoń.

- Ja tylko podaję fakty, zgodnie z naszą wiedzą. Możecie tę wiedzę wzbogacić i mam nadzieję, że to zrobicie, dla waszego własnego dobra. W tej chwili oboje jesteście podejrzani o rabunek. Nie ulega wątpliwości, że potrafimy wam to udowodnić, ale przygotowania potrwałyby kilka miesięcy, a wy naturalnie spędzilibyście ten czas w więzieniu. - Moreau zaczął od nowa ceremoniał przypalania fajki, zużywając kolejne zapalki. - Potem zostaniecie skazani. I tu pojawiają się okoliczności, które nie są dla was korzystne. Kiedy rząd francuski zacznie się interesować jakąś sprawą, tak jak się stało w tym wypadku, przestanie to być kwestia pospolitej kradzieży. Sprawa robi się znacznie poważniejsza, a to oczywiście pociąga za sobą cięższy wyrok.

- Ależ to oburzające. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z rządem.

- Teraz już ma. - Moreau się uśmiechnął, samymi wargami, bez wesołości. - Z pańskich akt, panie Bennett, wynika, że mieszka pan we Francji od wielu lat. Z pewnością zdążył pan zauważyć, że władze mają w tym kraju spore prerogatywy - niektórzy cudzoziemcy uważają je nawet za wyjątkowo rozbudowane. Trzeba przyznać, że z naszego, policyjnego punktu widzenia jest to bardzo użyteczne.

Moreau odczekał chwilę, aby groźba zdążyła do nich dotrzeć. Trochę przesadził, ale tylko trochę. Dwie twarze naprzeciwko niego zdradzały znamiona wyczerpania i upadku ducha. Moreau czuł, że jest o krok od celu. Pora ukazać im przyjemniejszą możliwość.

- Jeśli zdecydujecie się państwo na pełną współpracę, można będzie zaaranżować wycofanie oskarżenia. Nieporozumienia czasem się zdarzają, jak wszyscy wiemy, a ta sprawa zostałaby potraktowana jako niefortunny przypadek błędnie ustalonej tożsamości - z oficjalnymi przeprosinami za wszelkie niedogodności.

Bennett spojrział na Annę. Nie pragnął niczego więcej, jak zabrać ją stąd - a Poe, Tuzzi i francuska policja niech uzerają się dalej między sobą.

- A więc? - Dotknął ręką jej policzka. - Zrobię, jak zechcesz.

Wydawało się, że całe powietrze z niej uszło w jednym wielkim.

przypominającym szloch westchnieniu. Pochyliła się, odwracając twarz od Moreau, i złożyła głowę na ramieniu Bennetta, niczym uosobienie rezygnacji. Tuż przy swoim uchu usłyszał, wydawało mu się, że usłyszał, jej cichutki szept, niewiele głośniejszy niż oddech, który czuł na szyi:

- Nie mów mu o torbie.



Bennett zaczął od początku, nabierając z wolna pewności siebie, kiedy opisywał niewinne początki swoich starań o pracę. Moreau oparł łokcie na biurku i wsparł podbródek na złożonych dłoniach. Fajka tkwiąca między jego zębami wydawała stłumione, hydrauliczne odgłosy. Anna milczała, z pochyloną głową, zaklinając w duchu Bennetta, żeby jej wypowiedziane szeptem słowa dotarły do jego świadomości. Bonfils siedział naburmuszony i notował. Osobiście preferował inne metody, z udziałem pałki i nerek, nie taką ciągnącą się w nieskończoność gadaninę.

Jedynym komentarzem Moreau do relacji Bennetta z pierwszych dni spędzonych w Monako i sprawozdania z utraty walizeczki była uniesiona od czasu do czasu brew. Dopiero kiedy Bennett doszedł do swojej ponownej wizyty w Domaine des Rochers i do wyjaśnień Juliana Poe, dotyczących zawartości walizeczki, fajka opuściła usta inspektora, a w ślad za tym padło pytanie.

- Ten człowiek... ten ekspert od trufli, którego Poe zatrudnił. Jak się nazywa? Skąd pochodzi?

Bennett pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem jego nazwiska. Pracował gdzieś oficjalnie, nim Poe go znalazł, w jakimś departamencie... rolnictwa, jak przypuszczam.

- Rządowym?

- Zgadza się. Pamiętam, że Poe wspominał coś o ministerstwie, o tym, że tamten człowiek czuł się niedoceniany. Zdaje się, że dlatego odszedł.

- Nie spotkał go pan podczas którejś bytności u pana Poe?

Bennett wzruszył ramionami.

- To było niemożliwe. Ten człowiek nie żyje. Poe mówił mi, że zginął w wypadku samochodowym. Awaria hamulców.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że zdążył przedtem ukończyć prace. - Moreau odwrócił się do Bonfilsa. - Proszę sprawdzić w poniedziałek w minister-

stwie rolnictwa: rezygnacje w departamencie nauki w ciągu ostatnich czterech lat, przebieg pracy zawodowej tych ludzi i tak dalej. To, co zawsze. - Odwrócił się z powrotem do Bennetta. Sprawa wyglądała lepiej, niż się spodziewał. Wszelkie badania naukowe, prowadzone z ramienia władz oraz - naciągając trochę sprawę, ale tylko trochę - wszelkie wyniki, mogące być owocem tych badań - są własnością państwa. Prawnicy zajmą się szczegółami. Ponadto człowiek nie żył, więc nie mógł polemizować z tym stanowiskiem. Wszystko się bardzo dobrze składało. Moreau widział już oczyma duszy skromną uroczystość, towarzyszącą jego odejściu na emeryturę. Odznaczenie za zasługi dla Francji. To zrobi bardzo dobre wrażenie w jego wsi w Charente, wyrabiając mu natychmiast reputację *homme serieux*, może nawet ewentualnego kandydata na mera. - Proszę mówić dalej.

Bennett opowiedział, jak otrzymał spreparowany duplikat walizeczki i jak znaleźli się na pokładzie „Ragazzy”, gdzie miała się odbyć licytacja. Bonfils notował pilnie, a teraz również Moreau zaczął robić notatki. - Proszę mi podać nazwiska. Wszystkie, jakie pan pamięta.

- Był tam Tuzzi, właściciel, i jego wspólnik, lord Glebe. Amerykanin nazwiskiem Penato, Kasuga z Tokio i jeden starszy człowiek... mówił, zdaje się, że jest z Korsyki. Polluce? Coś w tym rodzaju.

Na wzmiankę o Korsykaninie Bonfils pochylił się jeszcze gorliwiej nad notatkami. Przez głowę przebiegały mu najróżniejsze możliwości, z których żadna nie wydawała się przyjemna. Widział, jak jego szanse na awans topnieją, ale był to drobiazg w porównaniu z innymi konsekwencjami, grożącymi mu za to, że nie dostarczył walizeczki Polluce'owi i jego kumplom. Mogli go usadzić. Mógł zostać odesłany z powrotem do rozdawania mandatów za nieprawidłowe parkowanie. Albo i gorzej. Union Corse nie patyczkowało się z tymi, którzy nawalili z robotą. Merde.

- Bonfils?

Kapitan podskoczył na dźwięk głosu inspektora.

- Jeden z twoich ziomków. Wiesz coś o nim?

- Nigdy o nim nie słyszałem, szefie. Sprawdzę go. - Jeszcze raz *merde*.

- A więc, panie Bennett - Moreau zerknął do swoich notatek - znaleźliście się na „Ragazzy”, z waszą fałszywą walizeczką. Co było dalej?

Bennett zdał możliwie pobieżnie sprawę z wypadków, które doprowadziły do przejęcia walizeczki i ucieczki z jachtu.

- Potem, kiedy dotarliśmy do Cassis... no więc, pożyczaliśmy samochód i...

- Pożyczyliście samochód?

Bennett milczał.

Moreau dodał w myśli kradzież samochodu do listy przewinień Bennetta, która wydłużała się w satysfakcjonujący sposób.

- Współdział w oszustwie podatkowym, podszywanie się pod inną osobę w celu popełnienia defraudacji, kradzież... - odczytał cicho, z namysłem i ujrzał, jak Bennett porusza się nerwowo na swoim krześle. Po krótkiej przerwie, podczas której znów zaabsorbował go proces spalania tytoniu, Moreau ciągnął dalej. - Logicznie rzecz biorąc, powinniście byli pojechać teraz tym pożyczonym samochodem prosto do pana Poe przekazać mu walizeczkę i zainkasować należność. Ale tego nie zrobiliście. Dlaczego?

Anna odezwała się po raz pierwszy, odkąd Bennett zaczął swoją opowieść.

- To był mój pomysł. Obawiałam się, że mogą być problemy z zapłatą. Ten człowiek jest... jak by to powiedzieć...

Brwi Moreau powędrowały do góry.

- Może nieuczciwy? Czy to właściwe słowo?

Anna skinęła skwapliwie głową.

- Otóż to. To oślizgły gad.

- No proszę. A wy mimo to dla niego pracowaliście. Cóż za ufność. - Moreau spojrzał na Bennetta. - A więc nie zapłacił wam?

Anna wstrzymała oddech. Nie pokpij sprawy, Bennett. Myśl o wydostaniu się stąd z milionem dolarów. Myśl o „Villa d'Este” z obsługą kelnerską w pokojach. Myśl, o czym chcesz, tylko nie pokpij sprawy.

- Prawdę mówiąc - powiedział Bennett - jeszcze się z nim nie widzieliśmy. Byliśmy zbyt zaabsorbowani tym, żeby zejść z drogi Tuz-ziemu. Ukrywaliśmy się, próbując ustalić, co dalej robić.

Anna odetchnęła, zanosząc w duchu ciche dziękczynienie.

- A więc nie oddaliście mu walizeczki?

- Dobry Boże, nie. - W przyływie ulgi, że Moreau nie zaczął drażyć kwestii zapłaty, Bennett pośpieszył z dalszymi wyjaśnieniami. - Jest bezpieczna, oczywiście. Całkowicie bezpieczna. Udało nam się ją ukryć. Nie chcieliśmy zostawiać jej w samochodzie, tyle się słyszy o włamaniach. Szokujące - takie sympatyczne miejsce, jak południe Francji...

- Gdzie jest walizeczka? - uciał Moreau potok jego wymowy.

Bonfils pochylił się do przodu, trzymając pióro w pogotowiu. Jeśli zdołałby przekazać informację Polluce'owi dostatecznie szybko, mogłoby go to wybawić z opresji.

Bennett zastanawiał się przez chwilę. Lepiej nie mieszać w to wszystko Georgette. Po co ściągać kobiecinie na głowę policję? Gotowa jeszcze dostać zawału.

- Właściwie to nie wiem dokładnie - powiedział. - Powierzyliśmy ją zaprzyjaźnionej osobie. Ale gdybym mógł zadzwonić... może być w każdej chwili dostarczona do mojego domu w St-Martin.

- *Bien*. - Moreau siedział ze spuszczoną głową, rozważając możliwe scenariusze. Odzyskanie walizeczki to zasadnicza sprawa. Nie minie go za to wdzięczność, wdzięczność płynąca z samego szczytu. Ale mogłyby ją okraszyć dodatkowe fawory, być może odznaczenie wyższego stopnia. Ten Julian Poe, niewątpliwie oszust podatkowy, mający na sumieniu przywłaszczenie sobie tajnych informacji wagi państwowej, będących własnością departamentu rolnictwa, przypuszczalnie zamieszany w morderstwo. Gdyby go tak przyłapać na gorącym uczynku, podczas odbioru rzeczy, formalnie pochodzącej z kradzieży, spuentowałoby to znakomicie spektakularną akcją policyjną. - *Bien* - powtórzył jeszcze raz. - Tak zrobimy.

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że popołudnie minęło. Będzie potrzebował trochę czasu, żeby wszystko dograć. Sieć musi być szczelna, żeby Poe nie miał szans się wyśliznąć. Ale nie było pośpiechu. Walizeczka pozostawała ukryta w bezpiecznym miejscu. Jutrzejszy dzień to zupełnie wystarczający termin. Podsunął Bennetowi jeden z telefonów stojących na biurku.

- Chciałbym, żeby pan zadzwonił w dwa miejsca. Po pierwsze, w sprawie walizeczki. Chciałbym, żeby dostarczono ją jutro rano do pańskiego domu i tam ją zostawiono. To się da zrobić, tak?

Bennett skinął głową.

- Drugi telefon będzie do pana Juliana Poe. Z informacją, gdzie ma odebrać walizeczkę. Powiedzmy, o dziesiątej rano. W końcu to będzie niedziela. Nie chcielibyśmy zrywać go z łóżka zbyt wcześnie.

- Zatarł ręce, wydając suchy dźwięk, przypominający pocieranie o siebie dwóch kawałków skóry. - Być może będzie to jego ostatnia spokojna noc przed dłuższą przerwą. - Jeszcze raz popchnął aparat w stronę Bennetta. - Do dzieła. Proszę pamiętać, że dzięki tym telefonom odzyska pan wolność.

Georgette podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku. W głębi słychać było radio nastawione na cały regulator.

- To ja, Bennett.

- *Eh, alors!* Widział pan gazetę? Co się dzieje? Gdzie pan jest?

- Wszystko w porządku. Jestem w Cannes. Słuchaj, muszę cię prosić o małą przysługę.

- Chwileczkę. - Georgette położyła słuchawkę i poszła wyłączyć radio. Słychać było jej pośpieszne kroki, kiedy wracała do aparatu.

- Aha? To na pewno sprawa tej walizeczki, prawda? Cała wieś się dopytuje, co wiem. Ten łobuz Papin, madame Joux, wszyscy. Ja nic im nie mówię. Milczę jak grób. Kiedy pan wraca?

- Niedługo. Ale przedtem chciałbym, żeby walizeczka znalazła się jutro rano u mnie w domu, na stole w salonie. Nie zamykaj drzwi na klucz. Dobrze? Ktoś po nią przyjdzie.

- *Ah bon?* I wtedy pan wróci?

- Mam nadzieję. Nie zapomnij. Jutro o dziesiątej rano, a potem wyjdź z domu. Idź do siebie.

- Oczywiście. -I oczywiście nie miała zamiaru stracić tak dramatycznego momentu, o którym mogłaby potem opowiedzieć w obecności całej wsi. Ale Bennett nie musiał o tym wiedzieć. - Zrobię tak, jak pan mówi.

- Dzięki. Wielkie dzięki - powiedział Bennett. - Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się zobaczymy.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Moreau.

- Walizeczka będzie dostarczona.

Moreau zauważył, że Bennett pilnuje się, aby nie wymienić imienia swojego rozmówcy. Pewnie jakiś kumpel ze wsi. Postanowił machnąć na to ręką.

- Doskonale. A teraz do pana Poe.

Shimo odebrał telefon i połączył Bennetta ze swoim chlebodawcą. Poe nie bał się w żadne wstępy.

- Gdzie ona jest?

- W drodze do mojego domu w St-Martin. Alee des Lices, numer trzy. Shimo wie, gdzie to jest. Drzwi nie będą zamknięte na klucz. Walizeczkę znajdzie na stole w salonie. Jutro o dziesiątej rano. W porządku? O dziesiątej.

- Lepiej, żeby była. - Szczęk odkładanej słuchawki.

Bennett odsunął telefon na miejsce. Bonfils wiercił się niespokojnie na krześle. Po chwili wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Szefie? *Pipi*. Zaraz wracam.

Moreau nie odpowiedział, zaabsorbowany przygotowaniami. Dał Bennettowi kartkę papieru i ołówek i poprosił, żeby naszkicował plan wioski. Wyglądało na to, że wszystko idzie jak po maśle. Nie mógł się doczekać, kiedy zadzwoni do Chevaliera i przedstawi mu najnowsze informacje. Ilu ludzi będzie potrzebował? Pół tuzina powinno wystarczyć, w zwykłych, nierzucających się w oczy ubraniach, helikopter w pogotowiu na wszelki wypadek. Podniósł wzrok, żeby wydać kilka poleceń Bonfilsowi, i zmarszczył brwi. Ile czasu ten człowiek potrzebuje, żeby opróżnić pęcherz, do licha ciężkiego?

Bonfils stał przy swoim biurku ze słuchawką przy uchu, z oczyma utkwionymi w szklanych drzwiach gabinetu. Czuł, jak pot spływa mu po piersi, wsiąkając w ko-



szulę. Odbierz, do jasnej cholery, stary draniu! Wreszcie usłyszał znajomy, zimny głos.

- Monsieur Polluce? Tu Bonfils. Muszę się śpieszyć. Walizeczka jest w drodze do wsi St-Martin. Podaję adres: Alee des Lices, numer trzy. Będzie tam jutro o dziesiątej rano. Słucham? Nie, to niemożliwe. Moreau nie spuszcza mnie z oka. Chce z tego zrobić wielkie przedstawienie. Muszę być przy nim. Wiem, bardzo mi przykro, to wszystko, co jestem w stanie zrobić. - Bonfils popędził z powrotem do gabinetu Moreau, czując, że koszula lepi mu się do brzucha.

Polluce pociągnął łyk cynara i spojrzał w dal na morze, gładkie i lśniące w świetle zachodzącego słońca. Sprawa zaczynała się gmatwać. Robiło się paskudnie, niebezpiecznie i nie miał zamiaru się w to osobiście angażować. Jego wpływy w policji, niemałe, jeśli chodzi o Korsykanów, nigdy nie obejmowały Moreau. Robiono w przeszłości przymiarki, dyskretne i delikatne, ale ten zadufany w sobie stary bałwan nie przyjął nawet zaproszenia na lunch, nie mówiąc

uczciwej łapówce. A to on dowodził akcją. Niewykluczone, że istniały pewne szanse, ale ryzyko było zbyt duże, niewarte tego, żeby narażać wartościowego człowieka. Na szczęście znalazł się pod ręką ktoś odpowiedni, ktoś, kogo można było spokojnie odżalować. Sięgnął po telefon i zadzwonił na „Ragazze”, stojącą na kotwicy niecałą milę stamtąd.

- Tuzzi, mam dobrą wiadomość. Nasi ludzie pracowali ciężko

poczynili pewne ustalenia. - W tym momencie przysłała mu do głowy pewna myśl. Jeśli Tuzzi odzyska walizeczkę, będzie jak najbardziej na miejscu, żeby zapłacić za tę informację. Są jednak ludźmi interesu. - Pociągnęło to za sobą pewne koszty, ale mogę ci powiedzieć, że walizeczka będzie dostarczona jutro rano. I mogę ci powiedzieć dokąd.

- *Bene, bene*, mój przyjacielu. Bardzo się cieszę. To dla mnie wielka radość.

- Ale musimy uzgodnić parę szczegółów. Zdobycie tej informacji kosztowało nas pewną sumę, która, moim zdaniem, powinna zostać potrącona z ceny. Mały upust między przyjaciółmi.

Tuzzi milczał. Jak on nie cierpiał rozstawać się z pieniędzmi innych ludzi!

- Sto tysięcy dolarów.

Tuzzi aż się zachłysnął z wrażenia. Pazerna, dwulicowa korsykańska świnia. Ale co mógł zrobić?

- Mój przyjacielu, to się wydaje bardzo rozsądne. Dostaniesz czek w poniedziałek rano. Na głowę mojej matki.

- *Bon* - zgodził się Polluce. - Możesz przywieźć czek razem z walizeczką.

- Z walizeczką? Ja?

- Zastrześliśmy sobie, że ma być oddana wyłącznie tobie do rąk własnych. Nie ma nikogo bardziej godnego zaufania. Polegam na tobie. Teraz słuchaj uważnie.

Pięć minut później Tuzzi relacjonował rozmowę lordowi Glebe'owi, którego nos, niezwykle wyczulony po latach obłudy, mówił mu, że sprawa brzydko pachnie. Pośpiesznie zdystansował się od ekspedycji.

- Żałuję, że nie mogę z tobą pojechać, staruszkule - oświadczył. - Niestety, obowiązki wzywają mnie do Londynu. - Nachylił się i poklepał Tuzziego po ramieniu. - Zresztą nie będziesz mnie potrzebował. To proste zadanie. Weź ze sobą młodego Benita.

- Myślisz, że to uczciwa sprawa? Nie wciskają mi kota?

- Kito, staruszkule. Nie, myślę, że Polluce uruchomił wszystkie swoje szemrane kontakty i to zadziałało.

- Więc czemu sami nie odbiorą walizeczki?

Glebe wyjął cygaro, próbując równocześnie wymyślić jakiś sensowny powód.

- Zabawne towarzystwo ci Korsykanie - powiedział w końcu. - Strasznie honorowi, zresztą tak samo jak wy, Włosi, nieprawdaż? Pewnie Polluce uważa, że do ciebie należy naprawić niedogodność, na którą zostali narażeni.

- Aha - powiedział Tuzii. - *Rispetto*.

- Wyjąłeś mi to słowo z ust. Chciałbym, żeby więcej go było w Anglii. Zawsze znajdzie się jakiś błazen polityk, który da się przyłapać na gorącym uczynku, a prasa od razu robi z tego zagrożenie bytu narodowego. Nie ma respektu dla klas rządzących. Między nami mówiąc - Glebe zniżył konfidencjonalnie głos - właśnie z tego powodu muszę jutro wracać do Londynu. Piekło się rozpętało. Czcigodny parlamentarzysta z tylnych rzędów został znaleziony w Hyde Parku w minispódniczce

i butach na wysokich obcasach. Okropność. Pewnie znów niewłaściwa szkoła. To zawsze z człowieka wyjdzie, prędzej czy później.

Moreau miał przed sobą pracowity wieczór. Niektóre sprawy można było zostawić Bonfilsowi, ale subtelności, istotne niuanse, nie mówiąc o telefonach do wysoko postawionych osobistości - tym wszystkim musiał się zająć osobiście. Spojrzał na szkic zrobiony przez Bennetta. Co nie jest rzadkością w górskich rejonach Vau- cluse, nie było drogi, która przechodziłaby przez St-Martin. Jakby ktoś to specjalnie zaaranżował na potrzeby planowanej przez niego operacji. Kilku dobrze rozmieszczonych ludzi mogło zamknąć całą wieś jak w potrzasku. Wyśmienicie.

Dwoje ludzi siedzących naprzeciw niego zdradzało oznaki wyczerpania długim, ciężkim dniem: blade twarze, pustka w oczach i oczywiste zmęczenie. Moreau przyłapał się na tym, że zaczyna myśleć o nich nieco cieplej. Okazali się wyjątkowo skłonni do współpracy, no i to dzięki nim jego kariera zawodowa miała się zakończyć takim triumfalnym akordem. Może nawet wspomniałby komu trzeba w Paryżu, jak bardzo byli pomocni.

- *Bien* - rzekł. - Na dzisiaj to chyba wszystko, ale jutro zaczynamy skoro świt. Jeśli chodzi o dzisiejszą noc - tu rozłożył przepraszająco ręce - jestem zmuszony prosić was, żebyście skorzystali z naszej gościny. Bonfils zadba, żeby wam było możliwie wygodnie. Najspokojniejsza cela dla państwa, Bonfils, wszak to sobotnia noc, i niech im przyniosą coś do jedzenia z restauracji na rogu. - Odprawiając go skinieniem głowy, sięgnął po słuchawkę telefonu.

Bonfils ruszył przodem w stronę celi, sztywny z irytacji, że traktuje się go jak boya hotelowego - jego, kapitana policji. Pchnął drzwi do celi: dwie prycze, zakratowane okna, przenikliwy zapach środków dezynfekcyjnych - i odsunął się, żeby ich przepuścić. - Ktoś przyniesie jedzenie - powiedział i odwrócił się, żeby wyjść.

- Kapitanie? - Bonfils zatrzymał się na dźwięk głosu Bennetta. - Chcielibyśmy zobaczyć jadłospis. - Bennett przechylił głowę. - Proszę.

Bonfils z trudem pohamował chęć wymierzenia Anglikowi kopniaka w bebechy i pobicia go do nieprzytomności, po czym poszedł warczeć na dyżurnego sierżanta. Jadłospis, jeszcze czego!

Bennett otoczył Annę ramionami, czując, jak jej ciało wpasowuje się w niego, w miarę jak uchodzi zeń napięcie. Spojrzała na niego z powagą, szeroko otwartymi oczyma.

- Niedługo będzie po wszystkim, prawda?

Bennett skinął głową.

- O ile wcześniej nie umrzemy z głodu.

Kolacja okazała się niezapomnianym przeżyciem, nie tyle ze względu na potrawę, ile na okoliczności. Kelner z restauracji, młody Algierczyk, pracujący we Francji bez oficjalnego zezwolenia, był wyraźnie przerażony faktem serwowania posiłku w policyjnym areszcie. Ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania, naczynia podzwaniały na tacy, nie trafił trybuszonem w korek od butelki i przebił sobie palec. Kiedy Bennett przeprosił, że nie może mu dać napiwku, wycofał się tyłem z celi, ssąc skaleczony palec i przewracając oczami ze zdumienia. Czy w ten sposób traktuje się we Francji przestępców? Rzeczywiście jest to niezwykły i wspaniały kraj, tak jak mu opowiadał ojciec w Oranie.

Bennett uniósł kieliszek, odwracając się do Anny.

- Obiecałem ci kolację z dostawą do apartamentu, prawda?

Jedząc, słyszeli kroki, zatrzymujące się pod drzwiami celi, czuli, jak ciekawe oczy lustrują ich zza krat. Nocna zmiana oglądała niedawnych zbiegów, a obecnie uprzywilejowanych lokatorów. Młody żandarm uprzątnął naczynia po kolacji, dał im zgrzebne, więzienne ręczniki i zaprowadził ich do pachnącego kwasem karbowym raję na gorący prysznic. Najedzeni, umyjni i wykończeni, padli na swoje prycze. Kiedy pierwszą sobotnią partię pijaków i uczestników nocnych burd wrzucano do cel, spali oboje jak zabici.

Anna i Bennett szli za Bonfilsem korytarzem biegnącym wzdłuż cel, nie mogąc się powstrzymać od zerkania przez kraty na swoich sąsiadów z minionej nocy. Skulone ciała prezentowały różne stadia wyniszczenia i zarośnięcia brudem. Jedni chrapali lub rzucali się niespokojnie na pryczach, inni siedzieli, pogrążeni w rozpacz, z głową wspartą na dłoniach, wpatrzeni w podłogę i w wizję czekającej ich kary. Niedzielny poranek w pace: smrodliwy, plugawy i żaloszny. Świeże, morskie powietrze, które owionęło ich na ulicy, uderzyło im do głów niczym haust czystej, krystalicznej wody. Była szósta rano.

Pod gmachem komendy czekały trzy duże nieoznakowane Citroeny barwy przydymionego błękitu, którą tak lubi francuska policja, kiedy podróżuje incognito. Moreau, Anna i Bennett wsiedli do pierwszego samochodu. Bonfils sprawdził pasażerów w dwóch pozostałych wozach: siedmiu żandarmów w zwykłych, weekendowych ubraniach: dżinsach, bluzach i okularach przeciwsłonecznych. Przy swoich regulaminowych krótkich fryzurach wyglądali niczym grupa młodych żołnierzy na przepustce. Byli w wyśmienitych humorach, podekscytowani perspektywą odmiany po codziennej rutynie i tajną misją, wykonywaną za podwójną stawkę. Bonfils, opryskliwy i zdenerwowany, wsiadł do drugiego wozu i konwój skrzył w Croisette, kierując się w stronę autostrady.

Moreau, naładowany adrenaliną, wydobywając z fajki energiczne bulgoty, siedział obok kierowcy i robił intensywny, choć raczej zbyteczny użytek z telefonu komórkowego, omawiając raz jeszcze szczegóły, które zostały wyczerpująco omówione poprzedniego wieczoru. Przypomniał dowódcy lotniczej bazy wojskowej w Salon, żeby miał w pogotowiu helikopter, przypominał kapitanowi z posterunku żandarmerii w Les Beaumettes, żeby trzymał swoich ludzi „w blokach startowych” (ale dyskretnie, brachu, dyskretnie, żeby nie spłoszyć ptaszków) na wypadek, gdyby okazało się potrzebne wsparcie sił lądowych. Obudził Leona z w St-Martin, żeby mu przypomnieć, że na zapleczu „Café Crillon” ma być zorganizowane centrum dowodzenia. A kiedy wyczerpały mu się uzasadnione powody, zaczął znów wiercić dziurę w brzuchu Bonfilsowi, siedzącemu w drugim samochodzie.

- Tak, szefie, ludzie są uzbrojeni. Tak, szefie, znają swoje obowiązki. Nie, szefie, nie ma problemów. - Bonfils trzymał telefon przy uchu, wpatrując się ponuro w

jadący przed nim samochód. Ależ bryndza zaczynała się z tego robić! A jeśli Polluce się pojawi? Chyba ma dosyć rozumu, żeby tego nie robić. A jeśli nie? Jeśli jest zdecydowany odzyskać formułę za wszelką cenę i postanowi zaryzykować? Zostanie zatrzymany jako podejrzany i wyląduje w celi, nim jego stopy zdążą dotknąć ziemi. I taki będzie koniec zapowiadającej się tak pięknie kariery kapitana Bonfilsa. Odwrócił się i kazał się przymknąć siedzącym za nim mężczyznom. Rajcują jak stado pensjonarek. Ktoś mógłby pomyśleć, że to jakiś cholerny piknik.

Trzy samochody, niekępowane przez ograniczenia przeznaczone dla cywilów, trzymały się stałej prędkości stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, uciekając przed wstającym za nimi powoli słońcem. Anna i Bennett usiłowali nie okazywać radosnego podniecenia, ale przychodziło im to z najwyższym trudem. Podczas krótkiej, prowadzonej szeptem konferencji tuż przed świtem ustalili, że będą udawać wystraszonych udziałem w policyjnej akcji. Jednak uśmiech cisnął im się mimo woli na usta przy każdym zamienionym ukradkiem, porozumiewawczym spojrzeniu. Trzymając się za ręce, starali się nie patrzeć na siebie, kierując wzrok na otaczający krajobraz.

Kawalkada minęła zjazd do lotniska w Marignane i mknęła dalej przez coraz dzikszą i bardziej górzystą okolicę, stanowiącą surowy kontrast z ugłaskaną zielenią palm i strzyżonych trawników, które zostawili za sobą w Cannes. Moreau spojrzął po raz dwudziesty na zegarek, kiwnął z zadowoleniem głową, po czym połączył się z dwoma pozostałymi samochodami i zarządził krótki postój w Cavaillon. Należało zakupić gazety i rozdać je chłopakom - kamuflaż, mający przydać im porannego, niedzielnego autentyzmu, kiedy będą czekać w kawiarni Leona na pojawienie się zwierzyny.

- Ale nie tę samą gazetę, jasne? Różne tytuły. Kiepsko to wyjdzie, kiedy wszyscy będą się chować za „France-Dimanche”. - Miał rację ten, kto powiedział, że diabeł siedzi w szczegółach, pomyślał. Diabeł i policyjna robota.

Dotarli do Cavaillon o ósmej. Mężczyźni wysiedli, żeby rozprostować nogi, podczas gdy Bonfils nadzorował wybór i zakup gazet. Prośba o kawę została potraktowana odmownie. Moreau chciał się znaleźć jak najszybciej w St-Martin i zainstalować w kawiarnianym centrum dowodzenia. Tam będzie kawa, obiecał, kawa i świeże rogaliki. Z rosnącym podnieceniem poinstruował kierowcę - który nie potrzebował instrukcji, bo nauczył się trasy na pamięć, zgodnie ze wskazówkami sze-



fa - żeby skręcił za Cavaillon w szosę D 2. Powinni być w St-Martin za piętnaście minut.

Enzo Tuzzi położył się spać w swojej kabinie z problemem, a obudził się z rozwiązaniem. Upust w wysokości stu tysięcy dolarów, którego zażądał Polluce, napenił go goryczą. Kwota była wygórowana i pozbawiona racjonalnych podstaw. Na samą myśl o tym dostał przy obiedzie niestrawności i zgagi - rzecz niebywała u człowieka szczycącego się doskonałym zdrowiem i sprawnością swojego organizmu. Ale do rana zgaga ustąpiła, pojawił się natomiast prosty plan. Wystawi Polluce'owi rachunek za doręczenie przesyłki. Na sto tysięcy dolarów. A jeśli ten nędzny korsykański szmondak będzie miał jakieś obiekcje, sprzeda formułę komu innemu. *Bravo, Enzo, bravo*, mówił sam do siebie, wcierając pomadę we włosy, które zebrał następnie starannie w lśniącą kitkę opadającą na kark.

A teraz garderoba: nic rzucającego się w oczy. Wybrał parę ciemnoniebieskich bawełnianych spodni i luźną koszulę w kratę. Z szuflady nocnego stolika wyjął niklowaną, trzydziestkę ósemkę w irchowej kaburze - zbędny środek ostrożności, był o tym przekonany - i przypiął do paska od spodni, pod wypuszczoną na wierzch koszulą. Jeszcze szczodry chlust wody kolońskiej, ostatnie muśnięcie wąsa, ostatni pełen uznania rzut oka w lustro i był gotów. Glebe miał rację. To było proste zadanie. Może zabierze potem młodego Benita na obiad, żeby to uczcić. Chłopak bardzo się starał i miał cennego wujka w branży budowlanej w Neapolu.

Kiedy pojawił się na pokładzie, lord Glebe, w podróżnym garniturze z jasnopopielatego lnu i aksamitnych haftowanych pantoflach udzielał właśnie stewardowi szczegółowych instrukcji w sprawie karmienia i opieki nad Dżyngisem pod nieobecność jego pana. Tuzzi odciągnął go na bok, żeby mu przedstawić swój pomysł w sprawie stu tysięcy dolarów.

- Warto spróbować - powiedział Glebe. - Ale myślę, że należy się spodziewać lekkiego oporu ze strony Polluce'a. Nie będzie zachwycony.

- To co z tego? - Tuzzi machnięciem ręki posłał niezadowolenie Polluce'a za burtę. - My będziemy mieli walizeczkę. Chce ją mieć, niech zapłaci. Albo pójdziemy do kogo innego. - Tuzzi uśmiechnął się szeroko, ściskając lorda Glebe'a za ramię.

Glebe ocenił stan swojego garnituru po tych objawach entuzjazmu i odsunął się na bezpieczną odległość.

- Cóż, jak powiedziałem, warto spróbować. Ale na twoim miejscu, staruszkule, zaczekałbym z telefonem do powrotu na jacht. Ci Korsykanie są w gorącej wodzie kąpani.

- Co to znaczy w gorącej wodzie kąpani?

Glebe westchnął. Będzie to ulga spędzić kilka dni w kraju, gdzie ludzie mówią po angielsku czy też językiem, który dzisiaj uchodzi za angielski.

- To znaczy wybuchowi, zapalczywi, pobudliwi, coś w tym rodzaju.

- Aha - pojął Tuzzi - *vulcanico*.

- Wyjąłeś mi to słowo z ust. No cóż, muszę lecieć. Powodzenia, czy też raczej buona fortuna. - Glebe ruszył w stronę rufy, gdzie czekała na niego motorówka, która miała go zabrać na ląd.

- Przyjacielu! - zawołał za nim Tuzzi. - Liczę dni do twojego powrotu.

Mój Boże, pomyślał Glebe, wykonując cygarem nieokreślony gest, mający oznaczać pożegnanie. Czy w ustach tego człowieka wszystko musi brzmieć jak trzeciorzędna aria?

Tuzzi posłał po kawę i po Benita.

- Don Tuzzi, jestem gotów. - Stał przed nim krzepki młodzian, z piersią wzbieraną entuzjazmem.

Tuzzi skrzywił się na widok napisu biegnącego w poprzek jego sportowej koszulki. „Bez jaj, przyjacielu!”. Hasło budziło bolesne wspomnienia. Poza tym było nieodpowiednie na niedzielny poranek, kiedy wszyscy idą do kościoła. Tuzzi pokręcił głową. Młodzi ludzie potrzebują ukierunkowania. Odesłał chłopaka, żeby się przebrał, sam sącząc w tym czasie przyniesioną kawę. Jutro weźmie kurs na Ibizę, gdzie czeka go zasłużony odpoczynek i miłe chwile spędzone w towarzystwie tych hiszpańskich młodek, pulchnych niczym dojrzałe figi.

Julian Poe stał na tarasie swojego domu, podziwiając szczyty Grand Luberon, skąpane w porannym słońcu. Kusilo go, żeby pojechać do St-Martin przed umówionym czasem, ale ostatecznie postanowił nie robić nic, co mogłoby spłoszyć posłańca z walizeczką. Amatorzy łatwo wpadają w popłoch. Bennett i dziewczyna też pewnie wpadną w popłoch, kiedy Shimo dostanie ich w swoje ręce - w tym chłodnym, nagim pomieszczeniu obok piwnicy. Gerard, biedny Gerard, tkwiący od czte-

rech dni w samochodzie, otrzymał polecenie, żeby ich zgarnąć o dziesiątej, specjalnie się przy tym nie patyczkując.

W sumie dzień zapowiadał się nader przyjemnie. Formuła odzyskana, pieniądze również, no i zemsta na okrasę. Poe spojrział na zegarek i stwierdził, że ma pod dostatkiem czasu na zjedzenie cywilizowanego, angielskiego śniadania. Tego ranka miały być podane ostatnie kiełbaski z Cumberland, zakupione u Harrodsa. Potem zadzwoni do Chou-Chou do Paryża, żeby poczynić ustalenia co do jej powrotu. A może spotkaliby się w Londynie, spędziliby razem kilka dni w Connaught? \*<sup>22</sup> Tak, to będzie piękny dzień. Odwrócił się w stronę domu i zobaczył, że Shimo czeka w drzwiach, nieruchomy niczym posąg.

- Witaj, Shimo. W najlepszym niedzielnym ubraniu, jak widzę.

Przynajmniej raz Japończyk zrezygnował z garnituru na rzecz czarnych, luźnych bawełnianych spodni i takiej samej bluzy, oraz czarnych butów na cienkiej kauczukowej podeszwie. Był to jego strój do walki: luźne spodnie, niekrępujące ruchów przy kopniakach, kauczukowe podeszwy, zapewniające przyczepność. Poe nie przewidywał kłopotów, Shimo przewidywał je zawsze. Miedzy innymi dlatego jeszcze żył.

- Dzień dobry, mister Julian. - Shimo skłonił głowę. - Śniadanie podane.

- Doskonale. - Poe poklepał go po ramieniu, czując pod materiałem stalowy biceps. - Nie dasz się namówić na kiełbaskę? Są wyśmienite.

Shimo pokręcił głową.

- Jadłem o szóstej. Ryż i zupa miso. Zdrowa żywność.

Poe wyczuł w głosie Japończyka lekką dezaprobatę, jak zawsze, kiedy temat rozmowy zahaczał o jego dietę. Shimo wolałby pewnie, żeby się żywił kiełkami fasoli, ale zapach dochodzący z kuchni zagłuszył wszelkie wyrzuty sumienia.

- Masz rację - powiedział. - Wiem, że masz rację. - Ale przepadam za dobrymi kiełbaskami. - Usiadł za stołem, delektując się chłodnym dotykiem lnianej serwetki, kruchym pięknem niemal przejrzystej porcelany z Limoges, miłym ciężarem świetnie leżących w dłoni, starych srebrnych sztućców, całą tą luksusową, doskona-

---

<sup>22</sup> \*Pięciogwiazdkowy londyński hotel.

le uporządkowaną materią swojej uprzywilejowanej egzystencji. A mówią, że przestępstwo nie popłaca, pomyślał. Idioci.

Georgette wstała z łóżka tuż po wschodzie słońca, nie mogąc dłużej spać z ciekawości i podniecenia. Ubrała się szybko i poszła do domu Bennetta, żeby sprawdzić, czy w ciągu nocy jakaś zdechła mucha lub zbłąkany kłaczek kurzu nie ośmielił się sprofanować nieskazitelnego blasku kafelków, szkła lub drewna. Ktokolwiek miał się tam pojawić owego ranka, choćby miał to być sam prezydent Republiki, mieszkanie Bennetta musiało być bez zarzutu, na chwałę całej wsi i jej, Georgette. I było.

Wróciła do domu i wydobyła walizeczkę spod żwiru. Po ostatniej, bezowocnej próbie rozwikłania tajemnicy szyfrowego zamka zaczęła polerować żebrowane aluminium, dopóki nie wydobyła z niego stłumionego, szlachetnego blasku, przypominającego stare cynowe naczynia. Walizeczka towarzyszyła jej przy śniadaniu, leżąc na stole, podczas gdy Georgette maczała przyrumieniony kawałek wczorajszej bagietki w filiżance z *cafe creme*, obserwując powolny ruch wskazówek zegara i myśląc z przyjemnością o chwili, kiedy będzie opowiadać Papinowi i pozostałym o wydarzeniach tego poranka. Będzie dozować rewelacje po kropelce, jeden fascynujący szczegół za drugim, zachowując najlepsze - cokolwiek by to miało być - na ostatek. Skończyła śniadanie, pozmywała naczynia i czekała.

Starzy bywalcy ścigali jeden za drugim do „Cafe Crillon”. Anna i Leon, czujni i wyczekujący za swoim kontuarem, usiłowali stworzyć wrażenie, że jest to niedziela jak każda inna, ale nie udało im się zmylić najstarszego spośród starych rezydentów, wiekowego despoty, którego Leon nazywał dziadkiem dziadków - był w końcu samozwańczym przewodniczącym gremium okupującego stolik w głębi sali.

Dziadek czuł, że coś jest nie tak. Zatrzymał się w drzwiach, tuż za progiem, i rozejrzał podejrzliwie wokół siebie: stary pies gończy, wietrzący ukrytego kota.

Ranny ptaszek, odkąd lekarz kazał mu odstawić mocniejsze trunki, zrobił się jeszcze bardziej zgryźliwy na skutek bezsenności, spowodowanej pozbawieniem ulubionej kapki marca po kolacji. Stał teraz, wsparty na lasce, z głową wysuniętą do przodu, fałdy skóry na jego szyi drżały, kiedy wypatrywał oznak niepożądanego nowiny.

- *Eh, alors* - powiedział w końcu. - *Eh, alors*. Co się dzieje?

Anna udała, że nie rozumie.

- O co chodzi, dziadku?

Starzec potrząsnął laską, wskazując bukiet kwiatów na kontuarze, niecodzienny ład, panujący wśród krzeseł i stołów, z których każdy przyozdobiony był barwną nasturcją w miniaturowej konia- kówce.

- O to - rzekł. - Kwiaty. Te wszystkie bzdury. - Ruszył powoli w stronę swojego stolika w głębi sali, postukując laską w rytm szurania swoich filcowych kamaszy. - A ceny? - zainteresował się. - Pewnie zaokrąglone, żeby zapłacić za te fanaberie? - Oparł rękę w okolicy, gdzie w domyśle miała się znajdować jego wątroba, stęknął i opuścił się powoli na krzesło.

- Wcale nie - zaprzeczyła Anna. - Kwiaty ożywiają wnętrze. Poza tym to w końcu niedziela.

- Też coś - sarknął staruszek. - Spodziewacie się, że Wszechmocny wpadnie do was po mszy? Kwiaty, rzeczywiście. Niedługo pewnie będą kandelabry. Przynieś mi trochę *rose*. Gdzie jest domino? - Poszukiwania domina zostały raptownie przerwane, bo dał się słyszeć warkot samochodów zajeżdżających przed kawiarnię.

- To oni! - Leon obszedł szybko kontuar i zniknął za drzwiami.

- Jacy oni? - Starzec stuknął laską o podłogę, widząc, że Anna podąża za mężem. - *Dieu et Jesus*, czy człowiek ma umrzeć z pragnienia?

Leon skierował trzy samochody na plac za kawiarnią, gdzie zajeżdżały na co dzień ciężarówki z piwem Mutzig i Kronenbourg. Objął Bennetta, uścisnął z szacunkiem dłoń Moreau i wprowadził ich tylnymi drzwiami do składziku.

- *Voilà* - powiedział. - Nie ma tu wielkich wygod, ale jest spokój. A stąd - tu pchnął okiennicę małego lufcika - może pan widzieć każdego, kto wjeżdża do wsi. - Przywołał inspektora, żeby ocenił widok na główną ulicę i parking. - Widzi pan, monsieur? Jest tak, jak panu mówiłem przez telefon. Mam nadzieję, że jest pan usatysfakcjonowany?

Moreau wyjrzał przez okienko, międląc w ustach cybuch fajki. Skinął głową. Tak, był usatysfakcjonowany.

- Bonfils, niech ludzie wysiadają z samochodów. Czterech posadzimy przy stolikach na dworze - tylko nie razem, pamiętaj - a resztę w środku, z przodu. - Od-



wrócił się do Anny i Bennetta. - Wy zostaniecie tu ze mną. - Urwał, nastawiając ucha. - Co to takiego?

Miarowe walenie laski o podłogę stało się głośniejsze i bardziej natarczywe. Leon otworzył drzwi prowadzące na salę.

- Idę, idę! Aniu, spytaj, czego nasi przyjaciele by się napili. *Pastagi*, może odrobinę *calvy*? - Walenie o podłogę nie ustawało. - *Merde*. Idę!

Dziadek, zapomniawszy o grze w domino, obserwował złym okiem niespodziewany napływ młodych mężczyzn z gazetami, którzy sadowili się właśnie przy stolikach w pobliżu drzwi. Nietutejsi, co do jednego. Odchrząknął, kiedy Leon stawił przed nim szklaneczkę *rose*.

- Tłum - burknął. - Człowiek nie może się nawet spokojnie napić przy niedziele. Co to za jedni?

- Turyści - powiedział uspokajająco Leon. - Po prostu turyści.

- Obcy.

Starsze panie z lokalnego komitetu obserwacyjnego, w tej chwili usadowione na krzesłach przed swoimi domami, aby móc śledzić przybywających i opuszczających wieś, doszły do wniosku, że klientela „Cafe Crillon” jest tego ranka wyjątkowo zajmująca. Wszyscy ci schludni, młodzi mężczyźni, i to o tak wczesnej porze! I czemu za każdym razem, kiedy do wsi wjeżdżał samochód, jak na komendę opuszczali swoje gazety? To nie było normalne. To absolutnie nie było normalne.

Anna i Bennett stali na swoim posterunku przy oknie składziku, popijając kawę i starając się nie zwracać uwagi na odgłosy wydawane przez fajkę zaaferowanego Moreau oraz na patrzącego wilkiem Bonfilsa. Moreau siedział na beczulce piwa, przy zaimprovizowanym biurku, zrobionym z dwóch kartonów po winie; notatki i kapciuch z tytoniem leżały w zasięgu jego ręki, wzrok kierował się co chwila na zegarek, dłoń błędziła w okolicy telefonu komórkowego, aż wreszcie nie wytrzymał i zadzwonił do Chevaliera.

Po krótkiej, ale najwyraźniej owocnej konferencji inspektor, którego podekscytowanie rosło z każdym: „Ah boni”, dopóki jego głos nie osiągnął granicy falsetu, podszedł do okna, żeby podzielić się dobrymi nowinami z Anną i Bennettem.



- Paryż jest zadowolony z rozwoju sprawy - oznajmił. - Nadzwyczaj zadowolony. Osobiste zainteresowanie na najwyższym szczeblu. „On” będzie czekał przy swoim biurku na wiadomości. Zabawne zestawienie, nie uważają państwo? Składzik na zapleczu prowincjonalnej kawiarni i Pałac Elizejski. - Spojrzał na zegarek i zaczął nucić cicho pod nosem. Do rozpoczęcia akcji zostały minuty.

Głowa Georgette wysunęła się z najwyższą ostrożnością za drzwi, lustrując okna sąsiednich domów. Wokół panował spokój, koronkowe firanki wisiały nieruchomo. Prawdę mówiąc, większość sąsiadów, zwabiona spekulacjami starszych pań, sprawujących czaty wokół ryneczku, odkryła nagłą potrzebę udania się do kawiarni, gdzie Anna i Leon przeżywali najpracowitszą niedzielę od wielu lat.

Zadowolona, że jej eskapada pozostanie niezauważona, Georgette naciągnęła czapkę na oczy, wzięła do ręki plastikową torbę, zawierającą powierzony jej depozyt, i ruszyła truchtem w stronę znajdującej się za rogiem Alee des Lices. Otworzyła drzwi własnym kluczem i położyła walizeczkę na stole, tak jak jej Bennett polecił, uważając, żeby nie zarysować lśniącego niczym lustro blatu. Upewniła się, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na zamek. Przesunęła ręką po kanapie, wygładzając nieistniejące zmarszczki, i poszła do kuchni, gdzie postanowiła czekać na dalszy rozwój wypadków.

Ciemnozielony range-rover zajechał z piskiem opon przed pomnik ofiar pierwszej wojny światowej. Gazety przed kawiarnią zostały opuszczone do połowy masztu. Starsze panie wokół ryneczku przerwały prowadzone półgębkiem rozmowy, żeby się przyjrzeć pasażerom. Zegar na wieży kościelnej ożył, wydzwaniając ze zgrzytem i chrzęstem dziesięć uderzeń.

Bennett zobaczył, jak otwierają się drzwi samochodu, z którego wysiadł najpierw Shimo, a potem Poe, i skinął głową w stronę stojącego za jego plecami Moreau.

- To Poe.

Anna spojrzała na dawnego kochanka, prezentującego się elegancko w beżu i czerni, i sięgnęła po dłoń swojego towarzysza.

- Punktualny skurczybyk, co? - rzucił z uśmiechem Bennett.

Moreau nie spuszczał wzroku z Juliana Poe.

- Bonfils? Dajemy mu pięć minut i zgarniamy go. Chcę go mieć z walizeczką w ręku, rozumiano?

Poe i Shimo, biorąc odprowadzające ich ciekawe spojrzenia za zwykłe wiejskie wścibstwo, poszli w górę ulicy i skręcili w Alee des Lices. Shimo pchnął drzwi domu numer trzy i weszli do środka. W kuchni Georgette wstrzymała oddech, wsłuchując się w ich ciche kroki na wykładanej kafelkami podłodze.

Poe pochylił się nad walizeczką.

- Upewnijmy się, czy wszystko jest w środku. - Ustawił pokrętła szyfrowego zamka, pstryknął zatraskami i otworzył walizeczkę, kładąc ją na stole.

Wyteżając słuch, Georgette usłyszała dwa pstryknięcia i ciche skrzypnięcie zawiasów. Walizeczka była otwierana. Niecałe dziesięć stóp od niej ujawniano tajemnicę, odsłaniano sekret, który ona jedna w całej wsi miała szansę zobaczyć, a następnie opisać we wszystkich fascynujących szczegółach. Jak mogła się oprzeć?

- *Bonjour, bonjour, bonjour!* - Wypadła z kuchni, strzelając oczyma w stronę otwartej walizeczki. - *Un petit cafe pour les messieurs?*

Dwaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie, Shimo odruchowo przybierając wyjściową pozycję bojową. Ich oczom ukazała się mała i zdecydowanie niegroźna postać w żółtej bejsbolowej czapce.

- Kto to jest, u diabła? - zapytał Poe.

Shimo wrócił do normalnej postawy.

- Gospodyni. - Przesunął się, zasłaniając walizeczkę. - Nie trzeba kawy. - Ruchem głowy wskazał kuchenne drzwi. - Proszę wrócić tam.

Georgette wycofała się tyłem. Oczy niemal wychodziły jej z orbit. Poe wrócił do przeglądania zawartości walizeczki.

- *Bon* - powiedział Moreau. - Idziemy.

Żandarmi odłożyli gazety, podnieśli się jak jeden mąż i zaczęli się wysypywać na główną ulicę pod okiem obserwujących ich z zainteresowaniem mieszkańców St-Martin. Zdecydowanie była to bardzo nietypowa niedziela.

Mercedes Tuzziego, prowadzony z fantazją przez młodego Benita, wjechał na pełnym gazie do wsi i zahamował gwałtownie przed kawiarnią.

- Hej, ty tam! - zawołał Tuzzi z samochodu. - Gdzie jest Alee des Lices?

Ledwie zaskoczony żandarm zdążył wskazać właściwy kierunek, Benito naciśnął pedał gazu i ruszył z kopyta, zostawiając ślady gumy na nawierzchni oraz Bennetta w stanie kompletnego osłupienia.

- Ależ to Tuzzi! - zwrócił się do Moreau. - Co on, u diabła, tu robi?

Benito zatrzymał samochód u wylotu uliczki i wzruszył ramionami.

- Za wąska.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Tuzzi. - Będę z powrotem za dwie minuty.

W pośpiechu zostawił drzwi samochodu otwarte i kiedy Benito wyciągnął rękę, żeby je zamknąć, zobaczył w lusterku wstecznym grupę osób idących w górę ulicy. Cóż to za ruchliwe miejsce, jak na taką małą wioszczynę. Włączył radio Monte Carlo i zaczął myśleć o dziewczynach.

Drzwi domu numer trzy były uchylone. Tuzzi pchnął je, otwierając na oścież, przystanął na chwilę w przedpokoju, po czym ruszył w stronę salonu, bezszelestny w swoich miękkich espadrylach. Już miał wejść do środka, kiedy Poe i Shimo zdali sobie sprawę z jego obecności. Na sekundę, może dwie, wszyscy zastygli w bezruchu - Poe z walizką w dłoni, Shimo nieco z boku, zwalista postać Tuzziego wypełniająca framugę drzwi. Poe poruszył się pierwszy.

- Zajmij się nim, Shimo - rzucił krótko, wykonując wolną ręką zdecydowany ruch, jakby odpychał natrętnego psa.

Japończyk odwrócił się, przyczajony. To, co mu się wydawało najlepsze: lobotomia czołowa\*<sup>23</sup> na skutek kopnięcia z półobrotu w skroń, było niewykonalne, gdyż Tuzziego chroniła futryna drzwi. Zamiast tego musiał zastosować *mawashi-geri-gedan* - kopniak w kość łonową, a następnie *hadaka-jime*, czyli duszenie przedramieniem. Zrobił dwa kroki w przód, widząc jak na zwolnionym filmie, że dłoń Tuzziego sięga do biodra i pojawia się w niej rewolwer.

---

23 Dosłownie: operacyjne przecięcie połączeń nerwowych płata czołowego z korą mózgową.

Przez wiele lat, wobec licznych, słuchających z zapartym tchem audytoriów, Georgette miała później opisywać wydarzenia, które rozegrały się w ciągu następnych kilku sekund, oglądane z perspektywy kuchennych drzwi. Stopa Shimo, z niewyobrażalną szybkością, wypracowaną podczas wieloletnich treningów, uderzyła w upatrzony cel, rozległ się huk eksplozji, kiedy Włoch, zgięty wpół w paroksyzmie bólu, odruchowo nacisnął spust. Kula przeszła o kilka cali od ramienia Shimo, kontynuując lot po wznoszącej trajektorii, dopóki nie natrafiła na przypadkowy cel. Na czole Juliana Poe wykwitło trzecie oko. Umarł, wciąż mając na twarzy wyraz niedowierzania.

Żandarmi wpadli do środka jak burza, biorąc na cel wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu wzroku. Shimo stanął pod ścianą, z rękami skrzyżowanymi na piersi, Georgette podniosła ręce do góry, Poe krwawił cicho na dywanie. Tuzzi, gigantyczny embrion, kwilił skulony na podłodze.

Moreau nie mógłby sobie wymarzyć bardziej dramatycznego finału. Zapominając o fajce, wyszedł na środek pokoju i uklęknął przy zwłokach Juliana Poe.

- Bonfils, proszę zawiadomić Awinion o zabójstwie. Fotograf. Karetka. To, co zawsze.

Georgette, która ochłonęła z pierwszego szoku, dostrzegła szansę włączenia się w dalsze postępowanie.

- Monsieur? Aristide, mój kuzyn, mógłby się zająć tym trupem. Jest kierowcą karetki i zawsze załatwia u nas we wsi takie sprawy. Tego drugiego, co jęczy na podłodze, też mógłby zabrać. To bardzo duża karetka, na cztery osoby.

Moreau podniósł się na nogi i spojrzał na zwłoki Juliana Poe.

- To jest materiał dowodowy, madame. Pod żadnym pozorem nie wolno go ruszać, dopóki nie zostaną zrobione zdjęcia i przeprowadzone pomiary.

Georgette podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się ciału.

- A mój dywan? Co z moim dywanem? Proszę zobaczyć, jak wygląda.

Moreau westchnął, zniecierpliwiony.

- Proszę się uspokoić, madame. Państwo go zrefunduje. Bonfils! Proszę to zapisać. - Podniósł wzrok na stojącego w progu Bennetta. - A teraz, proszę pana, o ile

jest się pan w stanie zorientować, proszę mi powiedzieć, czy to autentyczna walizeczka?

Bennett zostawił Annę w drzwiach i podszedł do stołu, przekraczając leżące ciało.

- Mogę ją otworzyć?

Georgette wyciągnęła szyję, kiedy manipulował zamkiem. 91-61-91. Fiolki, zgrabnie ułożone w zagłębieniach z gąbki, teczki na dokumenty, wydruki... wszystko, o ile pamiętał, wyglądało tak jak wtedy, kiedy oglądał zawartość po raz ostatni, nim powierzył walizeczkę Georgette.

Zostawiając dwóch ludzi na straży przy zwłokach, opuścili dom. Oczom mieszkańców St-Martin ukazał się postępujący wolno pochód, na czele którego włókł się zgięty we dwoje Tuzzi, wsparty na ramieniu Benita - obaj trzymani na celownikach przez żandarmów, tak samo jak idący za nimi Shimo. Rzeźnik, piekarz i madame Joux ze sklepiku spożywczego porzucili swoje poranne obowiązki, dołączając do procesji i zasypując Georgette gradem pytań, na które z lubością odmawiała odpowiedzi.

Bennett otoczył Annę ramieniem, wyczuwając, jak bardzo jest spięta.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie będzie. On nie wiedział, od czego zginął, prawda?

Bennett przypomniał sobie wyraz osłupienia na twarzy Poego, pełen zdumienia grymas otwartych ust.

- Nie, nie wiedział.

- Nie moglibyśmy już pojechać? Zaczynam mieć trochę dosyć policjantów i ich spluw.

Ale były jeszcze - jak ich poinformował rozpromieniony Moreau, kiedy dotarli do kawiarni - pewne formalności, z których pierwszą był telefon do Chevaliera. Zostawił Georgette, Annę i Bennetta przy barze pod opieką Leona, który robił wielkie ceregiele, nalegając, żeby pozwolili się poczęstować jego prawie najlepszym szampanem.

Kawiarnia nigdy jeszcze nie gościła takich tłumów. Wianuszek mieszkańców uformował się wkrótce wokół Georgette, która, delektując się rolą naocznego świadka, dozowała odpowiedzi znacznie bardziej wstrzemięźliwie niż szampana, którym się przy okazji raczyła. Staruszkowie w głębi sali nie słyszeli zbyt dobrze i wołali, żeby mówiła głośniejsze. Anna i Bennett umknęli, znajdując względnie spokojny azyl przy stoliku przed kawiarnią.

Wkrótce pojawił się jaśniejszy zadowolonym Moreau.

- Myślę, że nie ma potrzeby państwa dłużej zatrzymywać - oświadczył, kładąc na stoliku ich paszporty i kluczyki od samochodu. - Kierowca zawiezie was do Les Beaumettes, gdzie odbierzecie swój samochód. Pozostaje mi tylko powiedzieć...

- Monsieur Moreau? - Leon, zaaferowany, z wyrazem niedowierzania na twarzy, stał w drzwiach, trzymając rękę przy uchu gestem imitującym rozmowę telefoniczną. - Kancelaria prezydenta!

W kawiarni zapadła cisza. Inspektor stanął na baczność. Skinął głową kilka razy. Kiedy odkładał słuchawkę, wydawało się, że urósł o kilka cali.

- A więc - zwrócił się do Anny i Bennetta - muszę powiedzieć, że prezydent Republiki jest pełen uznania. - Nie tylko dla sukcesu operacji - tu zawiesił głos, wzruszając skromnie ramionami - ale również dla waszego, jakże cennego, udziału w tym sukcesie. - Zniżył głos. - Między nami... mówi się o oficjalnym podziękowaniu za usługi oddane francuskiemu rolnictwu. Nie zapomnijcie państwo zostawić adresu u kapitana w Beaumettes. - Spojrzał na zegarek i westchnął z irytacją. - Muszą mi państwo wybaczyć. Jest jeszcze sporo do zrobienia. Zmarli oznaczają papierkową robotę, rozumiecie państwo. - Uścisnąwszy obojgu dłonie, wrócił do baru, gdzie Georgette, której czapka zsunęła się nieco na bakier, opowiadała, wśród ogólnego poruszenia, jak poczuła na policzku lekki powiew, śmiertelne tchnienie fatalnego pocisku, który minął ją dosłownie o włos.

Anna i Bennett ruszyli spod posterunku żandarmerii w Les Beaumettes, na wpół oczekując, że usłyszą za sobą policyjną syrenę. Oczy Bennetta co chwila biegły w stronę lusterka - nerwowy tik zbiega, wypatrującego pogoni. Dopiero kiedy dotarli do swojej ruiny w pobliżu Boux, zaczęli wierzyć w odzyskaną wolność.

Bennett otrzepał z kurzu torbę i rzucił ją na tylne siedzenie samochodu. Milion dolarów, minus cena traktora.



- Mamy dosyć, żeby sobie pozwolić na lunch - powiedział. - Myślę, że na niego zasłużyliśmy.

Myślał często o tej chwili w ciągu ostatnich kilku dni - o tym, dokąd pojedą, jakie to będzie uczucie: być razem i nie musiec się niczego obawiać, aż ów wymarzony lunch urósł w jego wyobraźni do rangi czegoś znacznie ważniejszego niż posiłek. Miała to być ich nagroda, punkt zwrotny, świętowanie końca i początku. A na taką okazję nie ma na świecie bardziej odpowiedniego miejsca niż Francja w samo południe, w piękną letnią niedzielę. Jedyna niedogodność, to kłopot z wyborem. Bennett zdecydował się w końcu na „Le Mas Tourteron”, restaurację, do której miał zadawniony sentyment, mieszczącą się w solidnym, kamiennym wiejskim domu przy drodze poniżej Gordes, której kuchnia i wspaniały ogród tworzyły kombinację, jakiej nie sposób się oprzeć.

Bennett wjechał na parking i wcisnął swojego peugeota pomiędzy jaguara ze szwajcarską rejestracją i miejscową odrapaną renówkę. Anna wysiadła z samochodu i zerknęła przez bramę na dziedziniec: stoły przybrane bielą i błękitem, przesiane przez liście światło, ogromne donice kwiatów pod ścianami, klienci, studiujący swoje jadłospisy niczym modlitewniki. Przesunęła ręką po włosach, zerknęła w dół i pokręciła głową.

- Nigdy mnie nie wpuszczą do takiego lokalu.

Bennett popatrzył na jej buty oblepione zaschniętym błotem, na wymięte dżinsy, na mocno sfatygowaną bawełnianą koszulkę. A potem na jej twarz i jaśniejące blaskiem oczy. Człowiek musiałby być ślepy, żeby się oprzeć, pomyślał.

- Wyglądasz na zgłodniałą - zaopiniował. - Wpuszczą cię, zobaczysz.

Podniósł torbę i wziął Annę za rękę. Na dziedzińcu powitał ich uśmiechnięty mąż Elisabeth, szefowej kuchni, który wskazał im stolik w samym rogu, gdzie ich najbliższe sąsiedztwo stanowiła donica z geranium.

- Czy mam się zaopiekować tą torbą, kiedy będą państwo jedli lunch?

Bennett uśmiechnął się do Anny.

- Nie - powiedział. - Dziękujemy. Wolelibyśmy się z nią nie rozstawać.